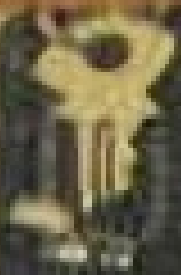
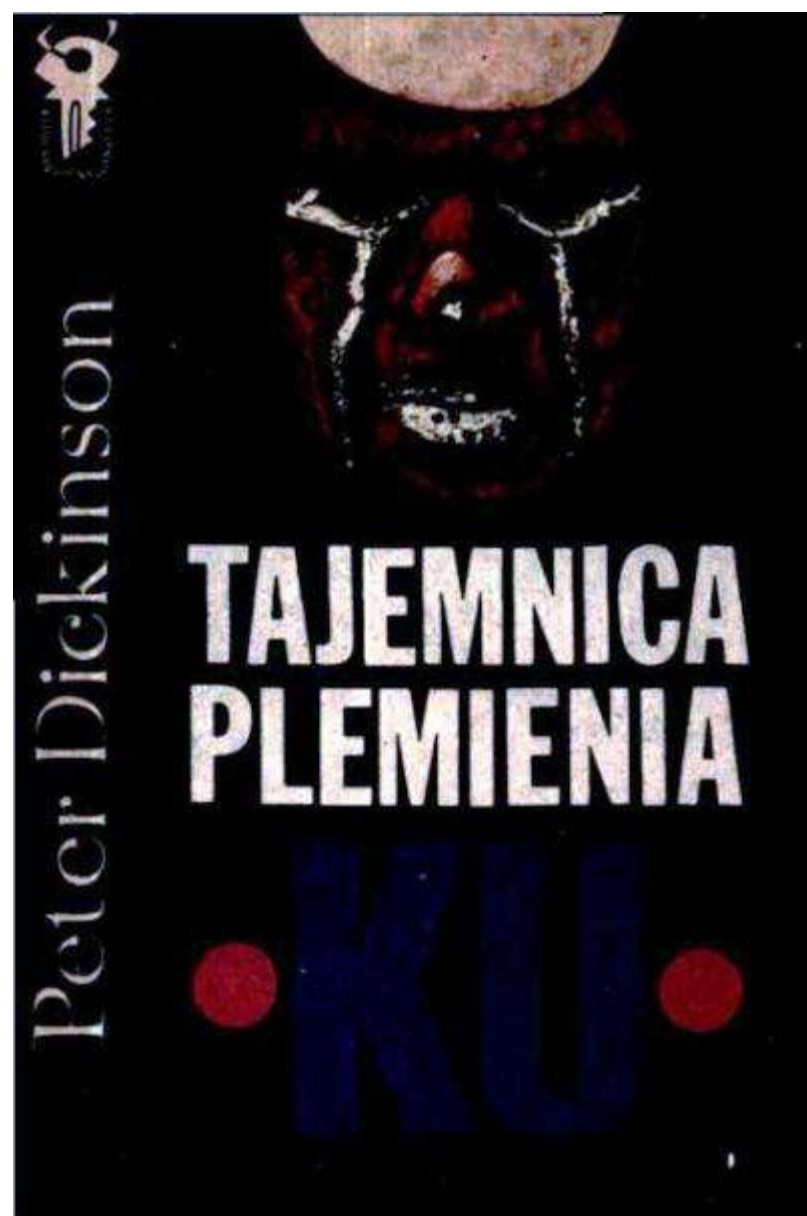


Peter Dickinson



**TAJEMNICA
PLEMIENIA**

KU



Peter Dickinson

Tajemnica

plemienia Ku

Przełożyła Aldona Szpakowska

ISKRY • WARSZAWA • 1975

Tytuł oryginału SKIN DEEP

Okładkę projektował

MIECZYŚLAW KOWALCZYK

Redaktor

ZOFIA UHRYNOWSKA

Redaktor techniczny

BARBARA MUSZYŃSKA

Korektor

JOLANTA SPODAR

Peter Dickinson 1968

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”,

Warszawa 1975 r.

Wydanie I.

Ark, wyd. 9,7 Ark, druk 13,5.

Nakład 100 000 + 275 egz.

Papier druk, mat, kl. VII 60 g, 75 cm rotacja.

Druk ukończono w sierpniu 1975 r.

„Dom Słowa Polskiego”.

Zam, nr 2019/A/75

Cena zł 25.–

Rozdział I

– Proszę wolniej.

Kierowca obojętnie włączył trzeci bieg i wóz począł wlec się szeroką ulicą.

Czy nie zrobił tego zbyt obojętnie? James Pibble wbił wzrok w jego regulaminowo podstrzyżony kark i zastanawiał się, jakie plotki krążą o nim samym w niższych kręgach Scotland Yardu. Kiedyś i on był małą płocią i wraz z innymi tworzył mity na temat grubych ryb: ten to dziwkarz, ów cudotwórca, a tamten łajdak – i na ogół odpowiadały one rzeczywistości. A co obecna generacja płotek widzi w inspektorze Pibble, który się starzeje, traci błyskotliwość i łysiejac zmierza ku emeryturze? Czy się orientują, że swą reputację człowieka posiadającego lekką rękę do trudnych spraw w tak dużym stopniu zawdzięcza po prostu szczęściu? Być może. I czy wiedzą o Wrogu?

Błądząc nieostrożnie po dżungli własnej osobowości Pibble wpadł w zasadzkę. W normalnych warunkach wzięłby ze sobą Mike'a Crewe'a, ale grypa azjatycka zdziesiątkowała Scotland Yard i nie wysłano by dwóch ludzi tam, gdzie wystarczył jeden. Nękał go więc lęk, jak zawsze na początku.

Skąd się wywodził? Może z jakiejś dziecięcej zabawy, w której starszy kolega się z niego wyśmiewał? A może już z łona matki wyszedł napiętnowany lękiem?

5

Nie w każdej nowej sprawie, nie na każdej proszonej kolacji w obcym domu pojawiał się Wróg, wzdurliwy, rozpróżniony mąż-

czynna, który go obezwładniał.

Pibble w lepszych czasach pakował Wroga do więzienia, jak na przykład Walewskiego, ale to go nie niszczyło. Tym razem, być może...

Obronny ruchem, jak gdyby chciał poznać klimat morderstwa, pochylił się do przodu i wpatrywał uważnie w schludne szeregi domków na zboczu: czerwone drzwi, turkusowe drzwi, brązowe drzwi z białym kontrastem, pomarańczowe z czarnym – wiele farby i pieniędzy pochłonęła ta dzielnica od czasu, kiedy tu był ostatnim razem. Do licha, czyż nie tu mieścił się sklep ze starociami? A tutaj co było – sklep z tytoniem? Zniknął tam bar z rybami i frytkami, nie ma już weterynarza. Na drzwiach mosiężne delfiny w charakterze kołatek, na chodnikach stoją wózki dla dzieci zamożnego mieszczaństwa, a w każdym z nich w przyćmionym kurzem blasku majowego słońca spoczywa małeńki Dominik czy Miranda, Kamila czy Adam. Wózki zdradzają, że to już inne czasy. Gdyby mieszkali tu ci sami ludzie co wtedy, piętnaście lat temu, kiedy to Pibble zjawiał się w tej okolicy, aby wyciągać z łóżek drobnych złodziejasków (w każdym domku mieszkały wówczas po trzy rodziny, na każdym podeście schodów znajdowały się kuchenki gazowe, był jeden kran z zimną wodą, klozet na dworze, wilgotny zapach brudu), oczywiście i wtedy stałyby tu wózki, ale inne. Lśniące, opływowych kształtów, dźwięczące chromowaną stalą – nie te stateczne powoziki.

6

No cóż, cały Londyn się straszliwie zmienia. Pośrednicy handlu placami mają tu obfite zniwo, przelewa się nieustannie fala zamoż-

nych młodych ludzi, którzy się wprowadzają mając jedno dziecko, a wyprowadzają z trojgiem. Ładnie to wszystko wygląda, świeża farba uwydatnia proste proporcje budynków. Dziwne, że tu właśnie roz-trzaskano czarnuchowi głowę. Wóz skierował się na północ.

I znowu zaskoczenie – to właśnie tu powinni roztrzaskać czarnuchowi głowę. Osiedle Flagga nie zmieniło się ani trochę. Te same brudne ścierki suszą się w oknach. Hordy zwycięskich młodych urzędników, co napłynęły niczym Wizygoci ze wschodu i przepędzi-

ły ponurych i kulących się ze strachu tubylców do dalszych slumsów Actonu, ominęły Osiedle Flagga. Wobec wrodzonej tej dzielnicy szpetoty bezsilne były pieniądze i dobry gust. Pibble uprzytomnił

sobie nagle, że nie dotrzymał złożonej samemu sobie przed piętnastu laty obietnicy, że znajdzie w jakiejś encyklopedii Flagga i dowie się czegoś o człowieku, który zaprojektował i wznosił coś tak okropnego.

Całość przypominała pseudo-Tudorowski zamek, wywrócony na lewą stronę. Była to ślepa uliczka, przy której stały domki z krenela-

żami, z oknami w tak głębokich wnękach, że musiałyby być zwrócone dokładnie na południe, aby do środka wpadało choć trochę światła. Cegły o barwie byczej krwi, które nie wyblakły od słońca ni deszczu, zestawione były z granatowoczarnymi, tworząc desenie jak na dywanach. Wyglądało na to, że wybór ornamentu zależał tylko od gustu i humoru murarza, układającego poszczególne szlaczki. Jak gdyby tworząc kontrast dla tych beładnych krzyżkowych

wzorków, hydraulicy ze zdumiewającą hojnością rzucili na fasadę każdego domu własny deseń pełnych rozmachu poziomych i pionowych linii – rur doprowadzających wodę i odprowadzających ścieki, wznoszących się ku górze przewodów i rynien. Do frontowych drzwi wiodły kamienne schodki, a w ciemnych łukowych sklepieniach pod nimi pełno było porzuconych butelek po mleku. Nad schodkami wznosiły się ponure ganeczki ze zwieńczonymi dachami, ale bez towarzyszącej im zwykle opuszczonej kraty. W uliczce znajdowało się dwanaście takich domków. Policjant w mundurze – raczej niewysoki, rudobrody – stał przy drzwiach domu pod numerem dziewię-

tym, w połowie uliczki po stronie zachodniej. Gapiło się na niego paru zduszonych przechodniów. Nie ma fotografa, pomyślał Pibble, czarni nie zasługują na wzmiankę w prasie, nawet jeśli im ktoś rozwali głowę. Chyba że Fleet Street przeżywa któryś ze swych okresów liberalizmu. Zastanawiał się, dlaczego Sandy Graham tak szybko zawiadomił Scotland Yard. Jest w tym coś niezwykłego.

– Niezwykłego? Nie, Jimmy. Natrafiliśmy na niewielką, uroczą społeczność, jak z bajki. Coś dla Pibble'a, powiedziałem, jak tylko zobaczyłem tych Ku.

– Ku?

– Każdy mieszkaniec tego domu, mój drogi, nazywa się Ku. To plemię przybyłe gdzieś z Nowej Gwinei. Zamordowany – Ku; podejrzani – Ku; świadkowie – Ku. Tylko że nie ma ani podejrzanych, ani świadków. – Zachichotał po swojemu gardłowo.

– Ktoś z nich mówi po angielsku?

– O tak, mówią, w miarę swoich możliwości. Poza tym jest 8

także pani doktor, Ku. Biała jak ja. Albo ty – dodał niechętnie. – Jest Angielką.

– Brytyjką – sprostował ktoś, kto dotąd milczał, stojąc w mroku z lewej strony za Grahamem. Inspektor zwrócił w tym kierunku swą ciężką postać z wdziękiem godnym mostu zwodzonego.

– Sierzancie Pauncefort, chciałbym prosić, żebyście sprawę cel-tyckich mniejszości pozostawili mnie.

O Boże, westchnął Pibble, niewielką będę miał pociechę z Sandy'ego, skoro już teraz zaczyna dogryzać sierżantowi. Coś tam ukrywa – musi tu coś śmierdzieć. Ale dlaczego właśnie mnie w to wpa-kował? Ten grubas był zawsze dobrym policjantem. Komu można dziś ufać?

– Stary – odezwał się Graham. – Zapowiada się coś śmierdzą-

cego. Ty to rozwiązesz. A ja jestem zajęty po uszy i nie na wiele bym się przydał. Uważam, że to coś w sam raz dla ciebie, naprawdę.

Chodź, rzuć okiem na trupa, a zrozumiesz, co mam na myśli. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Wpadłem we wściekłość na po-czątku, ale potem pomyślałem, że trzeba go zostawić na miejscu, mogły być jakieś rozruchy rasowe czy coś takiego. Na schodach jest dużo krwi tam, gdzie ten biedak oberwał – co do tego nie ma wątpliwości. Przedstawię cię pani doktor Ku, a potem spływam, zostawiając całą sprawę w twoich rękach.

Klatka schodowa nie była tak jasno oświetlona, jak mogłaby sobie życzyć rada miejska. Na dużym podeście paliła się dwudziesto-pięćświecowa żarówka, ale czekoladowo-beżowe tapety wchłania-

ły jej żółte światło i panował tu półmrok niczym w dżungli. Nie było jednak tak brudno, jak obawiał się Pibble. Na szczęście na półpiętrze 9

znajdowało się okno z witrażem, przedstawiającym „Wzgardzoną miłość”. Ciężkie paski ołowiu, w których artysta osadził kawałki szkła, w sposób szczególny podkreślały kształty nagiej postaci, wspartej o odrzwia. Ten niefortunny akcent rekompensowała ilość światła, przenikająca przez blade ciało. W jego pożytecznym blasku Fibbie spostrzegł, że słupki obu poręczy ozdobione są realistycznymi rzeźbami zwierząt: małpy i wiewiórki.

Na drugim półpiętrze panował blask jakby słoneczny. Trochę światła padało z okna, którego dolna część była podniesiona do góry.

Ten witraż przedstawiał „Spotkanie Dantego i Beatrycze”; na blade twarze, napiętnowane wieczystą namiętnością, nakładał się obraz ud i pośladków w liliowych i zielonych spodniach. Ale ostrzejsze, sztuczne światło padało z lamp policyjnego fotografa, skierowanych na ciemne plamy na czerwonym chodniku, obrysowane starannie kredą. Na jednym słupku balustrady przysiadł kot z dębowego drzewa, drugiego ornamentu brakowało.

– My do tego jeszcze wrócimy – powiedział Graham. – Przepraszam, Jack.

Fotograf mamrocząc coś pod nosem przesunął swój trójnóg, by przepuścić dwóch policjantów, a potem zaczął go znowu ustawiać.

Drugi podest schodów był odpowiednikiem pierwszego, kwadra-tem z jednymi drzwiami w głębi i dwojgiem po obu stronach. Wszystko tu wymalowano na brzydki czekoladowy kolor. Z daleka dobiegał nieustanny szum, jak ze starego radia. Graham przystanął przy drugich drzwiach na lewo.

– Człowiek tak się czuje, jakby wchodził do kościoła – powiedział. – Ale pani doktor Ku mówi, że im to nie przeszkadza.

– Oczywiście.

Graham otworzył drzwi.

Zaduch wydostał się gwałtownie na zewnątrz i Pibble poczuł, że aż go w nosie kręci od tej mieszanki zapachów szatni sportowców, spalonych opon, włoskiej restauracji i taniego talku. Wszedł za Grahamem, którego ciężka postać przesłoniła na chwilę czarną plamą jaskrawe światło. Story w oknach były zapuszczone. W pokoju znajdowało się osiem kobiet. Równie szpetnych Pibble w życiu nie widział. W blasku zielonych płomieni strzelających z ustawionego na podłodze naczynia – jedyne oświetlenia pokoju – ich twarze wydawały się granatowe. Miały na sobie swetry i wełniane spódnice, ale nie siedziały jak Europejki, tylko mieszkanki Afryki: na podłodze, ze skrzyżowanymi nogami, pochylone. Ten widok wywoływał

przed oczy postacie o obnażonych piersiach, z zawiązanymi w pasie kawałkami taniego perkalu.

– *Tikaru mindi kmava iraki jissu* – zawodziła starucha, siedząca u stóp zmarłego.

– *Tikaru mindi kmava iraki hodigu* – odpowiedziała jej spod przeciwległej ściany jakaś kobieta-kloc z przeżartą przez ospę twarzą.

– *Tikaru mindi kmava iraku mirri!* – zawołała następna kobieta nie odrywając wzroku od różowej skarpety, którą robiła na drutach.

– *Tikaru m.indi kmava iraku godifadi.*

– *Tikaru mindi...*

Te zaklęcia, powtarzane bezustannie, jak niekończące się śpiewy leśnych ptaków, obiegiły krąg kobiet i zaczęły się od nowa. Siedząca 11

w końcu pokoju przysadzista kobieta dźwignęła się i dorzuciła do ognia świeżych ziół i kawałek kabla elektrycznego. Pokój wypełniła woń palącej się gumy i dziwne jakieś zapachy kuchenne. Dwa babsztyle przy najbliższej ścianie przewróciły kartkę książki, którą trzymały – był to elementarz – i wodząc palcami po literach zaczęły z trudem sylabizować następne zdania. Kiedy przyszła na nie kolej, śpiewały swoje kwestie z opuszczonymi nad książką głowami. Nie było w ogóle mebli. Na samym środku podłogi leżały zwłoki, wyprostowane jak na baczność. Z początku Pibble myślał, że to gra świateł sprawia, że widzi zamordowanego w skrócie, jak na rysunku, ale prędko uprzytomnił sobie, że taką miał on rzeczywiście figurę: niewiele ponad metr trzydzieści wzrostu i niemal tyleż szerokości.

Włosy miał siwe, skręcone mocno po murzyńsku. Padające z ukosa światło uwypuklało rytualne blizny na policzkach, podobne do ma-lutkich ust, rozchylonych w uśmiechu. Prawdziwe usta wśród siwego zarostu wyginały się ku dołowi tak mocno, jak usta masek tragicznych w greckim teatrze. Nos zmarły miał prawie płaski. Ubrany był

w pizamę w prążki, której koloru nie dało się rozpoznać w tym oświetleniu.

Pibble przesunął się między szpetnymi ciemnoskórymi chórzystkami i ukląkł przy ciele. Odwrócił od siebie głowę zmarłego, a wraz z nią poruszyła się zeszywniała ręka. Można by pomyśleć, że aktor komediowy wzrusza ramionami. Z tyłu głowy włosy były sklezione zakrzepłą krwią, a pod lewym uchem nikły, rozgałęziony strumyk znaczył upływ krwi. Skóra była niewiele cieplejsza niż powietrze w pokoju. Pibble wstał, Graham otworzył mu drzwi. Przechylili się 12

ponad balustradą i spojrzeli w dół, w mrok klatki schodowej. Na prawo od nich fotograf potrzaskiwał aparatem, miotając się tu i tam.

– Warto było zobaczyć, Jimmy?

– I powąchać. Dziękuję ci, Sandy, za to doświadczenie. Sęk w tym, że go uderzono lewą ręką.

– To jest bez znaczenia. Pani doktor Ku ci to wyjaśni.

– Czy wiadomo, czym został uderzony?

– Sową.

– Z tej balustrady?

– Wiesz co, Jimmy, jesteś skończony skurwysyn. Mógłbyś przynajmniej choć unieść brew ze zdziwienia. A jak sobie wyobra-

żasz, czy zwykły glina często może powiedzieć koledze, że morderca posłużył się sową?

– Nie powiedziałaś Pauncefortowi?

– Sierzanci nie wchodzą w rachubę.

– Przepraszam, Sandy. Muszę spojrzeć jeszcze raz. Nie ma śladów palców czy czegoś takiego?

– Nie. Zbyt często oglądali telewizję. Nie wychodzili dużo wieczorami, więc w wieku lat siedemnastu znają wszystkie sposoby.

Oglądali telewizję na długo przed Perry Masonem. Coś potwornego.

Banda dzikusów, Marsjan, poznaje świat, gapiąc się w to idiotyczne pudło. Powierzchnowa edukacja, ale skuteczna, jeżeli chodzi o takie rzeczy jak kradzież samochodu, włamanie do sejfu czy...

– Czy stają po stronie Indian przeciw kowbojom?

– Nie pytałem. W każdym razie wiedzą wszystko na temat odcisków palców. Skończyłeś już z tym przeklętym ptakiem, Jack?

Fotograf nie uniósł nawet głowy znad wizjera.

– Nie ma żadnych śladów – powiedział – z wyjątkiem krwi.

Musiał go trzymać przez materiał.

– Może byś sam zobaczył – rzekł Graham. – Tutaj.

Sowa leżała na marmurowym blacie umywalki w drugim pokoju z lewej strony – w małej sypialni z ogromnym łóżkiem. Miała około piętnastu cali wysokości, wyrzeźbiono ją w dębie tak, że znać było cięcia noża, dzięki czemu słoje drzewa dawały złudzenie piór. Za prawym uchem ptaka pozostało trochę zakrzepłej krwi i kilka siwych włosów i można by pomyśleć, że czyhał na niego w ciemnościach jakiś wróg i zderzył go z całych sił z człowiekiem. Obok, na marmurze, leżał pens z królem Edwardem VII.

– Oto klucz do zagadki – rzucił lekceważąco Graham. Odwrócił

monetę. Po przeciwnej stronie była dobrze znana podobizna zmarłego króla Jerzego V. Pibble położył ją tak, jak leżała przedtem. Ukazała się twarz Edwarda VII.

– Rzućmy monetę, aby powróżyć, czy ona ma jakieś znaczenie

– powiedział Pibble.

– Głowę daję, że ma. Zmarły trzymał ją tak mocno, że został

mu znak na dłoni. Pokażę wam, jeżeli czujecie się na siłach stanąć przed tym chórem wieżm.

– A czego się dowiedzieli od doktora?

– Nawet nie mrugnął okiem. Myślę, że byliby szczęśliwi, gdyby wydostał skalpel i zaczął ciąć zmarłego, ale on tego nie zrobił. To był Morton, rozsądny facet. Powiedział, że po prostu komuś się udało uderzyć tak celnie sową... a może ten ktoś dokładnie wiedział, gdzie uderzyć. Morton sądzi, że stało się to około północy, na pół-

piętrze. Są tam ślady krwi, a znaleźli go prawie na górze, więc musiał czołgać się, nim umarł.

Graham wskazał na obrysowane kredą ciemne plamy na skraju podestu. Pibble wszedł na schody i zobaczył, że prowadzą aż do górnych trzech stopni i tworzą tam wyraźnie kształt krępej ludzkiej postaci. Największa z ciemnych plam wypadła tam, gdzie powinna być głowa. Graham wskazał palcem w dół na półpiętro.

– Tu jest tylko jedna lampa uliczna, więc w tym kącie panują kompletne ciemności, nawet przy otwartym oknie, twierdzi pani doktor Ku. To było ubiegłej nocy. Facet pewno zaczął się tutaj w kącie i czekał na starego, który zawsze wchodził wolno, wspierając się na poręczach, bo chorował na

serce. Łatwo go było wtedy napaść.

– Chyba również z telewizji nauczyli się, jak zacierać po sobie ślady?

– Jasne. Cały róg czysto umyty. Morderca spuścił się po linie z okna, a potem ją po prostu zostawił na parapecie, który z jakiegoś powodu także wymył do czysta.

– Pewno przyszedł z dworu.

– Bardziej prawdopodobne, że stał oparty o parapet, czekając na starego.

– Wyszedł w pizamie?

– Tak. Podobno zawsze tak się ubierał. Jak było zimno, kładł

po prostu więcej pizam. Zrozum, Jimmy, że on do czterdziestki najczęściej nic nie nosił.

– Tak, oczywiście. Czy dużo wychodził?

– Nad tym właśnie i ja myślałem, gdy postanowiłem cię wezwać. Pani doktor Ku powie ci resztę. Przedstawię cię i uciekam.

Mamy bardzo brzydką historię z napastowaniem nieletnich. Normal-na rzecz, ale już mi to dojadło. Nie zrozum mnie źle, ale komu to zaszkodzi, jeżeli nie wykryjemy, co się tutaj działo?

15

– Wiem, co masz na myśli. To wszystko jest dziwne, jak ćwi-czenie na temat zapomnianej starożytnej sztuki. Zostaw to i z czystym sumieniem wracaj do swego zboczeńca. Gdzie jest pani doktor?

– Piętro niżej.

Musieli czekać. Fotografowi udało się w wymyślny sposób ustawić na klatce schodowej trójnog i samemu tak stanąć, aby móc pod właściwym kątem sfotografować postument, na którym brakowało ornamentu. Pibble pewno by się jakoś precyzyjnie, ale gdyby Graham tego spróbował, przewróciłby chyba i fotografa, i aparat. Sandy jakiś roztrzęsiony, pomyślał Pibble. Mam nadzieję, że jest zdrow. Dostyc już primadonn w policji! Zdumiewające, jak mało odgłosów i zapachów przenika z pokoju, w którym złożono ciało. Odszedł od porę-

czy, aby obejrzeć drzwi. Wbrew oczekiwaniom, nie były to słabe, nasztukowane u góry listewkami sosnowe drzwi. O nie, to był solid-ny mahoń, podzielony na cztery kwadraty, wpasowany tak szczelnie w odrzwia jak właz w pojeździe kosmicznym. Pibble podskoczył

lekko i opadł na pięty, ale podłoga prawie się nie ugięła. Fotograf zmarszczył brwi i spojrzał dokoła, ale zorientowawszy się, że drżenie podłogi spowodował funkcjonariusz policji, rozpogodził twarz.

– Przepraszam – powiedział Pibble.

– Nic nie szkodzi, panie inspektorze. Skończyłem. Chodziło mi tylko o zasadę.

– To mocna budowla, Sandy. Postoi tysiąc lat, jeżeli jej nie zburzą. Zdumiewające, że tyle znakomitego rzemiosła wkładało się czasem w takie okropne budynki. Schody nie trzeszczą, przez drzwi nie przedostaje się niemal żaden dźwięk. Idealne miejsce na zasadzkę.

16

– Tak, chodźmy – powiedział Graham takim tonem, jakby miał

zamiar dodać: „Skończmy już z tym”.

Gdy znaleźli się na niższym piętrze, Graham zastukał do drzwi po przeciwnej stronie klatki schodowej, poczekał z szacunkiem na odpowiedź i wszedł. W jakimś sensie w tym właśnie domu ten pokój był czymś tak zaskakującym, jak pokój na górze, gdzie leżał zmarły.

Był przestronny, zalany światłem. Dwa wysokie okna wychodziły na ogród kuchenny i Pibble dostrzegł czubek barbarzyńsko przyciętego klonu. Paliły się dwie górne lampy, a dodatkowe światło płynęło jeszcze z lampy stojącej, w którą musiano wkręcić przynajmniej dwie stu pięćdziesięcioświecowe żarówki, oraz z paru lamp kreślar-skich. Nigdzie nie padał najmniejszy cień. Umeblowanie składało się z dwu niskich nowoczesnych kanap, dużego biurka architekta kilku połączonych niewygodnych krzesełek, jakie widuje się czasem w pretensjonalnych kawiarenkach. Tapety były żółte w jasnoszare wzory, a na tym tle obrazy wydawały się jeszcze bardziej jaskrawe.

Osiem z nich wisiało na ścianie, kilka ustawiono w kącie. Miały ten sam rozmiar, były wysokie, wąskie, nie oprawione w ramki i bardzo się spodobały inspektorowi. Malowano je barwami prostymi, ostrymi i na pierwszy rzut oka wydawało się, że to jaskrawe abstrak-ty. Ale Pibble szybko zorientował się, że sprawa to tło, na którym powtarzają się formalnie ujęte motywy, i że każdy obraz stanowi portret jakiejś osoby lub zwierzęcia, naiwny, ale nie dziecinny. Nie dostrzegało się wahania artysty. To, co znajdowało się wewnątrz tych postaci, przedstawiono tak, jak gdyby było widoczne z zewnątrz. Czapla miała rybę w brzuchu. Na portrecie europejskiego 17

biznesmena z parasolem, w meloniku i niebieskim garniturze w prążki widać było zarówno jego portfel, jak i przełyk. Pibble omal nie ryknął śmiechem.

Siedzący za biurkiem bardzo czarna mężczyzna dziobał drewno kozikiem. Rudowłosa biała kobieta siedziała na tapczanie, a na wprost niej stał Graham. Miała uczciwą łagodną twarz i ubrana była na czarno: golf, spodnie narciarskie, baletki. Wyglądała na czterdziestkę, siedziała dziwnie spokojnie i prosto.

Graham również zachowywał się dziwnie. Kiedy Pibble przyglą-

dał się obrazom, tamten wygłaszał oklepne banały, a z każdym nowym zdaniem jego akcent stawał się coraz bardziej szkocki. W

przerwach kobieta przytakiwała powolnym skinieniem głowy. Sandy mówił na przykład, że jest piękne południe, ale prawdopodobnie będzie wkrótce burza. Wydawał się mniejszy i bardziej

niezręczny, a gdyby miał czapkę, z pewnością miętosiłby ją przed sobą. O, naturalnie – pomyślał Pibble – każdy się czegoś boi. Oto, dlaczego tak prędko po mnie posłał. Czy przyczyną tego lęku jest jej sposób bycia, jej męski styl, czy też kryje się za tym coś jeszcze? W każdym razie nie mam prawa z niego szydzić.

Sandy z trudem wyluszczył wreszcie istotę sprawy.

– To jest detektyw, nadinspektor Pibble ze Scotland Yardu, proszę pani – rzekł. – Będzie mógł poświęcić cały swój czas na rozwią-

zywanie pani trudności, czego ja nie mogę zrobić. Znam go już od dawna.

Jakby był ogrodnikiem składającym w komisariacie dobre świadectwo o swoim koledze! Kobieta odpowiedziała w podobnym stylu.

– Dziękuję panu bardzo, panie Graham. Poświęcił nam pan więcej czasu, niż na to zasługujemy, i znosił pan cierpliwie nasze 18

dziwactwa. Nie wolno nam już dłużej przeszkadzać panu w zajmowaniu się tą przykrą sprawą nieletnich, bo jest ona dla pana z pewnością ważniejsza niż nasza nikogo nie obchodząca tragedia.

Pibble usiłował określić dialekt, w jakim mówiła, a raczej wymowę, nieznaczne urywanie słów, zwężanie samogłosek, co sugerowało, że gdyby pani troszkę podpiała, zaczęłaby podśpiewywać.

Edynburg! Wielkie damy tego miasta, żony adwokatów, siostry burmistrzów popijając herbatę z maleńkich filiżanek takim właśnie tonem wymieniają między sobą ploteczki w swym ekskluzywnym towarzystwie, a przynajmniej zwykły były to czynić przed czterdziestu laty. Z pewnością, rozmyślał Pibble, nie mogły przetrwać nie zmienione tych wszystkich kryzysów, wojen, zmian rządu. Jednakże nic w tym dziwnego, że Sandy miętosił swą niewidzialną czapkę, jak gdyby to on zabił starego człowieka, rzuciwszy piłką w witraże, a teraz przyszedł się przyznać i zaproponować, że pokryje straty oddając co tydzień swoje kieszonkowe. Sandy pochodził z Edynburga, z przyzwoitej rodziny, jednakże nie aż tak dystyngowanej. Pibble postanowił skierować rozmowę na teraźniejszość.

– Sandy powiedział, że pani może mi udzielić informacji o tutejszych stosunkach. Im prędzej je poznam, tym większą będę miał

szansę wykrycia prawdy.

– Ma pan zupełną rację, panie Pibble – powiedziała kobieta. –

Do widzenia, panie Graham. Jestem pewna, że pana kolega będzie pana informował, jak posuwa się śledztwo.

– Oczywiście – potwierdził Pibble.

– Do widzenia pani – rzekł Graham. – Do widzenia, panie Ku.

James, będziesz ze mną w kontakcie?

19

– Oczywiście – upewnił go Pibble, nazywany Jamesem raz na dwa lata, i to przez któregoś z sędziwych kuzynów. Graham wyszedł.

– Popatrz, co zrobiłaś – odezwał się Murzyn. Głos miał głęboki, dźwięczny. – Zraziłaś nowego inspektora dokuczając staremu. To, co masz wytłumaczyć, jest dostatecznie zawile bez wprowadzania dodatkowych komplikacji.

– Bardzo mi przykro – tłumaczyła się pani doktor. – Byłam przerażona, kiedy przyszedł, i pewno dlatego zaczęłam instynktow-nie naśladować mamę, a on zareagował tak silnie, że gdybym przestała, byłoby jeszcze gorzej. Czy możemy zacząć wszystko od nowa, inspektorze? Nie będzie pan musiał używać tyle slangu.

– Nie sprawia mi to trudności – odparł Pibble. – Dlaczego tak przestraszyła się pani inspektora Grahama?

Uderzało w niej kilka rzeczy dziwnych, choć ledwie uchwytnych.

Po pierwsze, Pibble nie widział jeszcze nigdy, żeby ktoś siedział tak nieruchomo.

– Och – powiedziała – to nie jego się przestraszyłam, po prostu byłam przerażona. Przypuszczenie, że ktoś z naszej społeczności mógł zabić Arona, jest przerażające, a poza tym jako antropolog uważam to za rzecz nieprawdopodobną. Lecz równie niemożliwe wydaje się, by ktoś z zewnątrz go zabił. A został uderzony lewą ręką, i to kawałkiem drzewa znalezionym po drodze.

– Co pani ma na myśli? – zapytał Pibble. – Sandy powiedział

mi, że jest charakterystyczne, że zabito go lewą ręką.

– Tak. A więc od początku, inspektorze: musi pan wiedzieć, że wszyscy należymy do jednego plemienia. Przybyliśmy z Nowej 20

Gwinei. Ku to nie jest przydomek, tak nazywamy siebie w naszym języku. Jesteśmy jedynymi żyjącymi Ku – jedynymi świadkami naszej cywilizacji. Resztę zgładzili Japończycy. Jesteśmy, nawet jak na Nową Gwineę, plemieniem prymitywnym. Wszelkie nasze wzor-ce zachowania cechuje rytuał i tabu. Nie ma chyba żadnej trudnej sytuacji – a w każdym razie sytuacji, w jakiej moglibyśmy się znaleźć w naszej dżungli – dla której nie mielibyśmy określonego sposobu postępowania. Dotyczy to również zabicia kogoś z naszego plemienia. Na pewno zostałoby to zrobione lewą ręką, za pomocą kawałka drzewa lub kamienia leżącego na ścieżce. Skalalibyśmy naszą prawdziwą broń, a więc uczynilibyśmy rzecz niegodną męż-

czynny, gdybyśmy jej użyli do zabicia kogoś z plemienia.

– Czy to samo odnosi się do kobiet?

– One, oczywiście, nie mają broni. Ale gdyby zabiły, to też lewą ręką.

Pan Ku przestał dziobać blat biurka.

– Czy jesteś tego pewna, Ewo? – zapytał. Jego bas brzmiał te-atralnie, jak odgłos bębna.

Pani doktor powiedziała coś w obcym języku, charakteryzującym się dużą liczbą spółgłosek zębowych i wargowych, oraz skomplikowanymi samogłoskami łączącymi się w długie, śpiewne wyrazy. W

odpowiedzi zabrzmiał znów głos pana Ku, ale u niego spółgłoski prześlizgiwały się lekko ponad basowymi tonami. Pani doktor potrząsnęła głową, rozstrzygając spór paroma zdaniem, przywodzącymi na myśl lot niezwykłych ptaków.

– Pan wybaczy – zwrócił się pan Ku do inspektora. – Sprawy plemienia lepiej dają się wyrazić w naszym własnym języku. Ewa 21

przypomniała mi o pewnym zdarzeniu z życia mojego dziada po kądzieli. Kobieta także zabiłaby Ku lewą ręką. To prawda.

– Oboje państwo – zauważył Pibble – spokojnie przyjmują możliwość zabicia Ku, a jednak uważają za rzecz niemożliwą, aby to morderstwo zostało popełnione przez członka plemienia.

– W obu wypadkach nasza postawa jest słuszna – rzekł pan Ku.

– Według nas – dorzuciła doktor Ku. – Ale trudno oczekiwać, aby pan myślał tak samo, panie inspektorze. Ogólnie biorąc, w całej Nowej Gwinei zabójstwo nie należy do rzadkości. Znacznie rzadszą rzeczą jest zabicie wodza (Aron był wodzem) przez członka jego plemienia. Tradycja nie wspomina, by się to kiedykolwiek zdarzyło wśród Ku. Poza tym istnieje statystycznie określony stosunek mię-

dzi zabójstwami w plemieniu, a jego poziomem życia. Pisałam na ten temat pracę. Krótko mówiąc, są w życiu plemienia dwie fazy, na które przypada większość takich zabójstw. Pierwsza wtedy, gdy liczebność plemienia przekracza normę i zbliża się do granicy, powyżej której zajmowany przez nas obszar ziemi niezdolny jest wykarcić ludzi, i gdy z pewnych powodów nie można uciec się do normalnego regulatora, jakim jest wojna. Druga występuje wtedy, gdy liczebność plemienia zmniejsza się tak bardzo, że traci ono poczucie własnej odrębności i staje się, można by to tak określić, psychopatyczne. My, oczywiście, jesteśmy bliżej drugiej fazy, ale teraz, gdy nasze dzieci podrastają, zaczynamy się od niej oddalać. Ale nie znaczy to, zapewniam pana, że istniał taki okres, kiedy to morderstwa były na porządku dziennym. Kiedyś jednak panowała taka atmosfera, że teoretycznie rzecz biorąc, mogły się zdarzać. Teraz 22

atmosfera jest zupełnie inna. Jako antropolog byłabym bardzo zdziwiona, gdyby się okazało, że Aron został zabity przez Ku. Ale jako osoba obdarzona zdrowym rozsądkiem, która żyje w tym domu i znała Arona, nie mogę uwierzyć, by zabił go ktoś z zewnątrz. Paul potwierdzi z pewnością to, co powiedziałam.

Murzyn uśmiechnął się. Trudno było powiedzieć, co wyraża uśmiech na tej obcej twarzy, zrozumienie jej uczuć, nieśmiałość, obłudę, instynktowne otwarcie ust mięsożernego zwierzęcia zbliżającego się do ofiary. Mógł wyrażać wszystko.

– Tak – oświadczył. – Ewa nas zna. Jestem najgłębiej przekonany, że nie mógłbym zabić Arona i nie mógłby zrobić tego nikt z plemienia Ku.

Hm, zadumał się Pibble. To śliska sprawa. Czyż nie jest to kultu-ralniejsza wersja: „Oj, panie władzo, tego nie mógł zrobić nikt z naszych. Musiał się tu włamać jakiś łobuz?”. Cóż można zrobić poza uniesieniem brwi? Uniósł ją.

– A może – podsunęła pani doktor – byłoby lepiej, gdyby pan zadeszował do profesora Fleischa do Melbourne. On potwierdzi teoretyczne założenia. Przekonania Paula musiałby pan przyjąć bez dowodów.

– Myślę, że nie wolno mi przyjmować niczego bez dowodów.

Zacznijmy od czego innego. Zmarły był w pizamie. Chyba nie mógł pójść nigdzie daleko. Jak pani myśli, gdzie był?

– Wygląda na to, że odwiedzał państwa Caine'ów. Lubił pogadać z Zuzanną, zwłaszcza gdy nie było w domu Boba.

– Co to za Caine'owie?

– Bob i Zuzanna mieszkają obok. Znamy ich dobrze, chociaż 23

Zuzannę dopiero od niedawna. Pobrali się w zeszłym roku, a Zuzanna okazała nam wielką pomoc w czasie szkarlatyny, która u nas wybuchła zimą. Boba znamy dłużej. Był z nami w dolinie. To z jego powodu...

Siedziała spokojna jak zawsze, ale jej opanowany głos zadrżał i umilkła. Dwie bruzdy wystąpiły koło ust. Głęboki, spokojny głos pana Ku przerwał ciszę.

– Ewa chce powiedzieć, że nasze plemię zostało zniszczone, ponieważ znalazł się w nim Bob. Stał się jak gdyby katalizatorem.

To nie była jego wina. Od tej pory jesteśmy z nim związani silnymi więzami.

Pibble podszedł do drzwi i zawołał. Graham wychodził w takim zdenerwowaniu, że Pibble nie wiedział, iloma ludźmi rozporządza, ale ktoś musiał tu być z pewnością. Z gęstego mroku hallu wbiegł z tupotem na schody jakiś mężczyzna. Jest człowiek!

– Czy inspektor Graham zostawił tu jeszcze kogo?

– Tak jest, panie inspektorze, Stronga. Kazał przeprosić, że tylko nas dwóch. Ja nazywam się Fernham, panie inspektorze.

– Czy któryś z was obszedł Osiedle Flagga w poszukiwaniu świadków?

– Tak jest, obaj, panie inspektorze. Po to nas tu zostawiono.

Ludzie przeważnie wynajmują tu mieszkania, nie całe domki, no i prawie nikt nie chciał z nami gadać, a ci, co chcieli, i tak nie mówili nic, co mogłoby się przydać

– Czy państwo Caine'owie, sąsiedzi, są w domu?

– Po której stronie, panie inspektorze?

– Pod ósmym, w suterenie – zawołała pani doktor z pokoju. –

Bob wyjechał, zdaje się, ale Zuzanna ma zwyczaj wcześniej 24

załatwiać sprawunki. Jeżeli wychodziła, powinna już być z powrotem.

– W porządku, Fernham – rzekł Pibble. – Idźcie tam raz jeszcze i jeżeli pani Caine jest w domu, dowiedzcie się, czy zmarły odwiedzał ją wczoraj wieczorem. Wypytajcie o porę, przyczynę odwiedzin i tak dalej.

– Tak jest, panie inspektorze.

– Jeżeli Aron odwiedzał Caine'ów – zapytał Pibble wróciwszy do pokoju – to może zostawił drzwi nie zamknięte?

– Na pewno nie. Miał klucz.

– Gdyby morderstwa dokonał ktoś spoza domu, to albo musiał-

by się włamać – a inspektor Graham powiedziałby mi, gdyby były jakieś ślady włamania – albo przyjść wcześniej w ciągu dnia i gdzieś się ukryć, chyba że miał własny klucz. Czy któreś z tych przypuszczeń wydaje się pani prawdopodobne?

– Nie – odparła pani doktor. – A najbardziej nieprawdopodobne jest przypuszczenie, że ktoś się ukrywał. Przede wszystkim Europejczycy odznaczają się silnym zapachem. A drzwi nie są, jak pan sugeruje, zamknięte w dzień tylko na klamkę. To nie hotel, to dom prywatny.

Pibble z przyjemnością słuchał tych słów pełnych nagany. Doktor Ku bardzo mu się podobała. Pewna sztywność i afektacja w sposobie mówienia dodawały jej tylko uroku. Odnosił wrażenie, że jest bardzo opanowana i spokojna, ale poważnie zatroskana, co było zupełnie naturalne u osoby, w której domu popełniono ohydne morderstwo.

A może ta cała jej afektacja, wyniosłość, niemal sztuczny chłód to po prostu maska chroniąca przed

bardzo w końcu skutecznie. Przecież przed chwilą, przy pierwszej wzmiance o Bobie, pani doktor zupełnie się załamała.

– Racja – stwierdził. – Ja również nie bardzo wierzę, żeby morderca mógł się tu ukrywać. Nie wykluczam zupełnie tej możliwości, ale poszukam czegoś bardziej prawdopodobnego. Kto, na przykład, posiada klucz do domu i ile kluczy zgubiono w ostatnim, powiedzmy, półroczu?

– Wszyscy dorośli mają klucze – odparła. – Nikt nie zgubił klucza. Drzwi do sutereny są zawsze zamknięte na zasuwę, a u drzwi frontowych jest dobry ingersolowski zamek.

– Nikt nie zgubił klucza! Ale przecież jest tu kilkanaście osób.

– Siedemnaście. Widzę, że muszę znowu udzielić fachowych wyjaśnień. Dla ludzi takich jak Ku, panie inspektorze, rytuał jest czymś równie konkretnym jak stopa podatkowa dla was. Na pewno zna pan ludzi, którzy noszą przy sobie coś na szczęście, albo przysięgają na jakąś maskotkę i byliby zmartwieni w razie jej zgubienia.

Jednakże w głębi serca wiedzą, że ich przywiązanie do tej maskotki jest tylko kaprysem i przesądem, choć może jakoś psychologicznie umotywowanym. My nie moglibyśmy zrozumieć takiej postawy. Do wielu przedmiotów przywiązujemy rytualne – pan by powiedział

magiczne – znaczenie, ale dla nas jest to coś konkretnego i realnego.

Na przykład, do przygotowania świątecznych biesiad używa się garnków o określonych kształtach, nie na szczęście czy dla zachowania pewnego obyczaju, tylko dlatego, że taki garnek stanowi część uczty, podobnie jak mięso, które się w nim dusi.

26

Taki sam charakter mają klucze. Myślę, że może sobie pan wyobrazić, jaki zamęt wprowadziło w dusze Ku przeniesienie się do Anglii. Te hałasy i tłok, niezrozumiałe, nie oparte na żadnych wzorcach zachowanie się ludzi, nowe odrażające zapachy, horyzont zmieniający się z dnia na dzień, jak gdyby góry falowały niby dym.

A potem przybyliśmy tutaj, każdy dostał niewielki przedmiot magiczny, dzięki któremu mógł odciąć się zupełnie od tych nieustannych idiotycznych zmian i zacząć na nowo odbudowywać szczegó-

łowy wzorzec codziennego postępowania. Jeżeli pan powiedział, że klucze symbolizują naszą przynależność do plemienia Ku (a raczej tej części, która pozostała), byłby pan w błędzie, one są naszą przynależnością. Nie mogę twierdzić tego na pewno, bo jeszcze się to nie zdarzyło, ale jestem głęboko przekonana, że jeżeli ktoś z nas zgubiłby klucz poza domem, nie chciałby wrócić. W jakimś sensie straciłby swoją tożsamość. Prawda, Paul?

Pan Ku udzielił odpowiedzi w swoim własnym języku, a jego miękki bas brzmiał mniej egzotycznie, gdy wypowiadał obce głoski, niż kiedy mówił po angielsku.

– Paul uważa – powiedziała doktor Ku – że gdyby ktoś z nas zgubił klucz, wróciłby, ale dobrowolnie poddałby się przewlekłemu i nieprzyjemnemu obrzędowi ponownej inicjacji. Tego by zresztą po nim oczekiwano. Może Paul ma rację. Czasami w sposób melodramatyczny zapatruje się na nasze sprawy. Ale bez względu na to, kto z nas ma rację, rozumie pan teraz, dlaczego ani razu nie zgubiono kluczy.

– Tak – potwierdził Pibble. – Ale tym samym odrzuciliśmy możliwość, że obcy człowiek dostał się do domu. Chyba że był zawodowcem, a ci mają swoje własne tabu. Proszę mi wierzyć, że 27

nie targnęliby się na starego człowieka wchodzącego na schody.

Druga sprawa: powiedziała pani, że Ku najprawdopodobniej wykryłby węchem obcego. Czyż Aron nie poczułby zapachu człowieka, który na niego czyhał, gdyby to nie był ktoś z was?

– Myślałem nad tym – powiedział pan Ku. – Chyba mu już przeszło zaziębienie.

Doktor Ku się nie odzywała. Jej milczenie nie było kaprysem ani uporem, wyrażało po prostu pustkę kogoś, kto w tej chwili nie ma nic do powiedzenia. Siedziała w kompletnym bezruchu, jak kapłan w kontemplacji albo matematyk wpatrzony w zamyśleniu w słoje blatu swego biurka lub jak małpa na słońcu.

– Rozumieją więc państwo – przerwał to milczenie Fibbie – że muszę przede wszystkim zbadać i wyeliminować po kolei mieszkań-

ców tego domu. A ponieważ jest ich tak wielu, najlepiej byłoby urządzić coś w rodzaju przeglądu... i to w tym pokoju... żebym się zorientował, kto jest kto, i mógł zadać parę podstawowych pytań, jeśli państwo zechcą je przetłumaczyć. Czy mogłaby pani ich tu zwołać?

Doktor Ku westchnęła.

– Sądzę – odpowiedziała – że mówią wystarczająco dobrze po angielsku, aby mógł się pan z nimi porozumieć, ale ma pan mylne pojęcie o mojej pozycji w plemienu. Zajmuję bardzo podrzędne miejsce w tutejszej hierarchii. Paul również. Miałam dość silny wpływ na Arona ze względu na mego ojca, ale nie wiem, jak jest teraz. Z pewnością nie mogłabym nakazać ludziom, aby tu przyszli.

– Dlatego, że jest pani kobietą?

28

– Nie. To sprawa bardziej skomplikowana. Interesująca szczególnie dla antropologa. Formalnie jestem mężczyzną. Kiedy mój ojciec i Mojżesz zdecydowali, że niektórzy Ku powinni się ukryć, matka nalegała, żebym poszła z nimi. Ojciec był temu przeciwny, ale w końcu się zgodził, pod warunkiem, że zostanę przyjęta do plemienia jako mężczyzna. Miałam wtedy siedemnaście lat, ale nie tylko o to chodziło, żeby mnie nie zgwałcono przy okazji najbliższego świę-

ta. Jako mężczyzna miałabym prawo zabierać głos na naradach ukrywającej się grupy i Aron mógłby naradzać się ze mną, czego nie wypadałoby mu czynić, gdybym była kobietą. Było to rozsądne

postanowienie, chociaż doprowadzało do niezręcznych sytuacji.

– A w jaki sposób to się odbiło...

– Straciłam autorytet przez związek z Paulem, panie inspektorze. Ku uważają nas za homoseksualistów. Stosunek różnych spo-

łeczności do homoseksualizmu bywa krańcowo różny: jedni uważają to za rzecz normalną, inni za coś godnego pogardy. W niektórych okolicach grozi za to kara śmierci. Wśród Ku i w pokrewnych plemionach przypadkowe związki homoseksualne zdarzają się nieczęsto i są surowo karane, ale jeśli dwóch mężczyzn połączy trwała miłość, odnoszą się do tego lekceważąco, uważają to za coś śmiesznego.

Paul i ja byliśmy przedmiotem drwin w każde święto, ale drwin dobrodusznych. Jednakże utraciliśmy przez to prawo pełnego członkostwa, nie możemy zabierać głosu w dyskusjach i na zgromadzeniach prawodawczych. W owym czasie wydawało się nam, że rozwiąże to szereg trudności, zarówno osobistych, jak i plemiennych, więc zdecydowaliśmy się na małżeństwo, które w oczach naszego 29

plemienia uchodzi za homoseksualne. Oczywiście są z tym związane pewne przepisy rytualne, których starannie przestrzegamy.

Rozdział II

Ewa siedzi po turecku pod drzewem figowym. Dręczy ją niepokój. Jest krótka chwila zmierzchu. Zaraz rozbłyszczą wielkie gwiazdy.

Kolibry odleciały, nietoperz tłucze się gdzieś w górze wśród liści.

Ewa pełni straż. Japończyków nie widziano już od dwóch tygodni, ale ona chciała być sama. Udawanie mężczyzny straciło już właściwie sens. Ukrywają się tak długo... W pieczarach jest bardzo mało kobiet i wszyscy wiedzą, że naprawdę nie jest mężczyzną, mimo że poddała się pośpiesznej inicjacji, bo przecież nie ma rytualnych blizn. Jest nikim, istotą bez płci. Kiedy lęk myśliwych przed jej ojcem jeszcze bardziej zmaleje – a może to nastąpić w ciągu paru dni

– znajdzie się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

Istniała obawa, że w święto pełni księżyca przestanie być uważana za osobę, i któryś z łowców zawładnie nią jak swą własnością.

Uczta będzie wprawdzie skromna w porównaniu z dawnym świętowaniem w wiosce, ale nawet Aron upije się do nieprzytomności. Pięć dni! Jeżeli nic się nie zmieni, ucieknie czwartego dnia. Gdyby Bob nie był taki chory, na pewno by jej pomógł. Chociaż może i nie.

Mógłby to uznać za wspaniały żart. A gdyby dla odbudowania autorytetu ojca udawała, że jest jego duchem? Owszem, to byłoby 30

możliwe, ale potrzebne są teatralne rekwizyty – kapelusz, płaszcz.

Trzeba by iść do wioski. Nim zdołała zapanować nad wyobraźnią, przesunęły się przed jej oczyma ciała uduszonych, wiszące w zwę-

glonych odrzwiach domów... Nie ma potrzebnych rekwizytów, nie będzie ducha.

Nie może już podejmować dalszych prób, aby jeszcze bardziej upodobnić się do mężczyzny. Już i tak piersi bolą od bandaży, krę-

pujących je przez cały dzień. Zresztą nie zdałoby się to na nic. We-dług pojęć Ku jest odrażająca. Tak różna od szerokich w biodrach, grubych jak kloce kobiet mających długie piersi, że nawet gdyby przyprawiła sobie wąsy i śpiewała basem, nie mogłaby stać się mniej atrakcyjna seksualnie. Ale pijanemu Ku w noc świąteczną bardzo niewiele potrzeba.

Na pewno Aron martwi się tym również. Czemu nie wymyśli jakiegoś tabu, które hamowałoby mężczyzn nawet po wychyleniu tykwy wstrętnej słodkiej *kavy*. Nie ma żadnego igrania ze światem duchów, dla niego te sprawy są zbyt realne, by mógł się dopuścić takiego oszustwa. Mógłby jednak coś wymyślić. A może Bób? Czy jego choroba nie jest udana? Nie widać żadnych symptomów, ale to może szok. W każdym razie, czy padnie czyimś łupem, czy nie, jak mogłaby po tym wszystkim, co się działo, uciec i zostawić go samego? A c? z Paulem...

Czyjeś palce dotykają jej nagiej ręki w zgięciu łokcia. Boże, jak oni się wszyscy cicho poruszają. Rozgląda się w mroku. Koło niej stoi Paul. Jest nagi, trzyma w ręku łuk. Opiera go o drzewo i siada przy niej. Milczą.

Paul wyciąga zza ucha coś, co wygląda jak grubsza gałązka, 31

i podaje Ewie. Nie jest to tak twarde jak gałąź. To korzeń. Ewa obraca go w rękę.

– Co to znaczy, Paul?

– Panienko, Aron mówi... jeżeli jesteśmy mężczyznami... co się kochają... możemy nie iść na święto księżycy.

Milczą. Poczciwy chłopak. Spokojny, uważny, opanowany, doskonale spełnia domowe posługi. Tylko że teraz nie ma już domu.

Najlepszy uczeń. Tylko że i szkoły nie ma. Może to jest wyjście z trudnej sytuacji. W wiosce była para homoseksualistów, dwaj wspa-niali myśliwi w średnim wieku. Żyli z dala od innych. Tak. W wiosce Paul lepiej mówił po angielsku. Czy to niedbalstwo, czy zakłopo-tanie? Nie wiadomo. Prawdopodobnie nie posłużył się językiem Ku, bo chciał być pewien, że ona zrozumie jego propozycję.

– Jak Dawid i Jonatan, Paul?

– Tak, panienko.

– Co mamy zrobić?

– Łamiemy ten korzeń i gryziemy go. Ja ugryzę, panienska ugry-zie. To, co odgryźliśmy, kładziemy drugiemu w usta, usta nasze stają się sine i każdy Ku wie, że jesteśmy dwoma mężczyznami, którzy się kochają.

O, zaślubiny w bieli w kościele świętego Andrzeja, atłasowe suk-nie druchen, czarne surduty, kwiaty na kapeluszach, organy grające marsza weselnego...

Korzeń jest jak ałun, usta są od niego suche. Trzeba długo żuć.

– Koniec, panienko.

– Nazywaj mnie Ewą, – Paul. Teraz jesteśmy dwoma mężczyznami, którzy się kochają. Chodź, założymy dom.

32

Rozdział III

Pibble spoglądał na ładnie osadzoną głowę, na tajemnicze i łagodne brązowe oczy, na proste plecy, na surową czerń ubioru. Ogól-ny efekt bardzo interesujący. Stanowi wyzwanie dla dominacji męż-

czyn. Kobieta w jego typie, ale by go nie chciała. Pomyślał, że nie wygląda na to, żeby czegoś potrzebowała. Wszystko tu jest bardzo dziwne. Nie wiadomo, kto co robi i czym, i komu... Pewno powiedziałaaby, gdyby ją zapytał. A może nie. To wykraczałoby poza na-ukowe zainteresowanie. Nic dziwnego, że z takim spokojem znosi te indagacje. Czy mogłoby ją cokolwiek przerazić? W każdym razie nie żaden chochlik ani zły duch.

– Tak. A mogłaby mi pani powiedzieć, czy sowa ma jakieś rytualne znaczenie?

Zwróciła z wolna głowę ku swemu czarnemu mężowi. Ich spojrzenia się spotkały. Wzruszył ramionami, a ona odwróciła się znowu, powoli, jak ksiądz odprawiający mszę.

– Jeżeli ma – odrzekła – ani Paulowi, ani mnie nic o tym nie wiadomo. Te sprawy znają przede wszystkim stare kobiety plemienia. Ale to było jedyne luźno stojące zwierzę na schodach.

– Aha, a pens z dwoma królami, który zmarły trzymał mocno w ręku?

– Pens z dwoma królami?

– Tak. On...

Pukanie do drzwi. Wpadł podniecony Fernham.

33

– Przepraszam, że przerywam, panie inspektorze, ale zamordowany spędził wczoraj wieczorem godzinę u pani Caine. Ona dopiero co wróciła, panie inspektorze, i nie wiedziała nic o tym, co się

stało.

Jest wstrząśnięta, panie inspektorze.

– Czy powiedziała coś, co mogłoby się przydać?

– Wydaje jej się, że wyszedł od niej dwadzieścia po jedenastej, panie inspektorze. Mówiła, że często przychodził na rozmowę, przeważnie opowiadał o swoim domu rodzinnym. Nie chciałem zadre-

czać jej pytaniami, bo płakała, więc pomyślałem, że lepiej dać jej na chwilę spokój, żeby się wzięła w garść, panie inspektorze.

– Słusznie. Dziękuję wam, Fernham. Skoro ona wróciła, może wrócili już i inni. Zechcecie wspólnie ze Strongiem obejść raz jeszcze Osiedle i przesłuchać tych, których przedtem nie było. A wła-

ściwie przesłuchajcie wszystkich, bo teraz już wiemy, kiedy to się mogło stać. Zwróćcie uwagę na dorastające dzieci. Mają zwyczaj godzinami wystawać w drzwiach. Chociaż na pewno jako świadkowie na okoliczność czasu zbrodni na nic się nie przydadzą, prawdę mówiąc, ani w żadnej innej sprawie.

– Według rozkazu, panie inspektorze.

Fernham odszedł, ale pozostało po nim echo słów, które zawsze drażniły inspektora. Spojrzał na doktor Ku i zdziwił się, nie dostrzegając w jej oczach nic, co mogłoby świadczyć, że również odczuła niesmak. Pewno nie słyszała, pogrążona w bezruchu.

– Pani doktor – odezwał się. – Wprost nie chce mi się wierzyć, że wpływ pani na mieszkańców domu jest tak mały, jak pani mówi.

W każdym razie może przecież pani powiedzieć, że po prostu przekazuje im moje polecenie, co jest prawdą. A więc proszę zarządzić, aby wszyscy za pół godziny zebraли się w którymś pokoju, choć 34

trochę oświetlonym, jak na przykład ten. Gdyby starczyło pani czasu, byłbym wdzięczny za spisanie ich imion wraz z odpowiednimi danymi.

– Mogę wyjąć karty z mojej kartoteki.

– To wystarczy. Poza tym... nie ma to chyba nic wspólnego z zabójstwem, ale nigdy nie można być pewnym... Chodziłoby mi o krótkie dane na temat tutejszej sytuacji finansowej.

I znowu odwróciła się z wolna ku Paulowi, który wzruszył ramionami, a następnie znów ku inspektorowi.

– Nie widzę powodu, aby tego nie zrobić.

– Świetnie. Wrócę za pół godziny, jeżeli w tym czasie zdąży pani przygotować ten przegląd. A może ceremonia na górze nie skończy się do tego czasu?

– Ach, skończy się – odparła – gdy ciało zostanie zabrane. My-

ślałam, że policja już to zrobiła.

– Hm. Miałem wrażenie, że inspektor Graham polecił swoim chłopcom, żeby nie pchali się tam, póki panie nie skończą tego, co tam robią.

Niespodziewanie pan Ku zaśmiał się kwaśno.

– Inspektorze, byłaby to uprzejmość z pana strony, gdyby pan przerwał tę ceremonię. Jesteśmy jak dzieci, prędko nas wszystko nudzi, nawet podniecenie, gdy długo trwa.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Podest i schody wydawały się czarne po jaskrawo oświetlonym pokoju. Światło przesączające się przez barwy „Odrzuconej miłości” rozjaśniało to miejsce równie słabo, jak księżyc prześwitujący przez gęste liście rozjaśnia mrok lasu. Pibble wpatrywał się w ten obraz, aż oczy przywykły do półcienia. Okno zamknięte, zauważył, nie da się opuścić, nie ma mowy, by wprowadzić tu światło dnia i zmącić 35

nieprzystojnie ten obraz. Na niższych schodkach czernieje czyjaś postać, widać jej blada twarz, zaś pod pachą tej postaci coś, co wygląda jak dodatkowa czarna głowa. A, tak – to umundurowany policjant, trzymający kask.

– Strong, czy to wy?

– Tak jest, panie inspektorze..

– Idę na jakieś pół godziny do sąsiedniego domu, do sutereny pod ósmym. Prosiłbym was o trzy rzeczy. Po pierwsze, powiedzcie ludziom z karawanu, żeby zabrali ciało. Nie muszą się przejmować tym, co dzieje się w pokoju zmarłego, ale niech okażą należyty szacunek. Po drugie, dowiedzcie się, gdzie mógłbym zjeść lunch, nie mam czasu sam szukać, zdecydуйте za mnie. Po trzecie, proszę złapać Fernhama – jest gdzieś na Osiedlu – i w parę minut po moim powrocie przeszukajcie wspólnie cały dom. Wszyscy mieszkańcy mają się zgromadzić w pokoju pani doktor i chcę mieć pewność, że nikogo nie brakuje. Zrozumiano?

– Tak jest, panie inspektorze. Usunąć zwłoki, znaleźć bar, przeszukać dom. – Ryża broda kiwała się do wtóru poleceniom. – Czy pan inspektor idzie odwiedzić panią Caine?

– Znacie ją?

– Tak, panie inspektorze. To miłe stworzonko. W lutym zjawiała się na posterunku pytając, czy nie oddano nam kluczy, które zgubiła, a przy okazji, tak niby przypadkowo, zagadnęła o swego męża. Nie wracał do domu od paru dni. Ale ona się nie martwiła. Tak powiedziała.

– Dziękuję wam, Strong. Proszę pamiętać o moim lunchu. Dobre piwo, świeży chleb, ser, kiełbaski.

czegoś konkretnego i pewnego w porównaniu z wariackim, przywleczonym spod zwrotnika upałem panującym pod dziewiątką. W jasnym blasku słońca morderstwo wydawało się czymś bez znaczenia, niemal halucynacją – tyle że musiał się nim właśnie zająć z racji swego zawodu. W przyszłym tygodniu będzie zapewne gdzieś na drugim końcu Londynu łamać sobie głowę nad tym, co za schorzenie umysłu sprawia, że facet znajduje upodobanie w duszeniu prostytutki studenckim krawatem. Na asfalcie odbywały się ptasie zaloty: gołąb i gołębica z godnością kroczyły w kółko, on ją gonił, ona pilnowała, by stale dzieliło ich kilka kroków, a ich jedwabiste lśniące szyje prężyły się dumnie. Pibble w myślach dodawał ducha samczukowi. Na odległym chodniku pojawił się wózek dziecinny jak speł-

nienie artystycznych rojeń detektywa, opływowy w liniach, dwubarwny – biały i lawendowozielony – połyskujący chromowaną stalą, z resorami przypominającymi dysze odrzutowca. I do tego jeszcze dziecko popłakiwało głosem bardzo zbliżonym do dźwięku silnika startującego samolotu.

Poczucie obowiązku zagłuszyło jednak ten poetycki nastrój.

Skręcił w prawo i zszedł po schodkach do sutereny numeru ósmego.

Nie stały tu puste butelki po mleku, w kątach nie zalegały wilgotne śmiecie. Murek przy drodze był bladoróżowy. Drewniana plakietka z napisem: „Cora Lynn, 8a” zwisała na dwóch łańcuszkach z wierzchołka ostrego łuku, który podtrzymywał schodki prowadzące na ganek właściwego numeru ósmego. Jasnozielone drzwi sutereny były otwarte.

Pibble wszedł do sionki wyklejonej błyszczącą tapetą, z gatunku tych, jakie właśnie zaczęto reklamować. Turkusowe drzwi na lewo 37

otworzyły się i dziewczęcy głos powiedział:

– Proszę wejść.

Detektyw znalazł się w kuchni: czerwone linoleum, żółte ściany i szafeczki. Dwa wielkie plakaty zapełniały puste miejsca na ścianach.

Wyposażenie kuchni było tanie i stare, ale czyste i schludne.

Dziewczyna... kobieta... nie, dziewczyna... Co za niespodzianka!

Detektyw oczekiwał, nie wiedzieć czemu, że wszyscy, wplątani w tę sprawę, muszą mieć co najmniej czterdziestkę. Wymazana z powierzchni ziemi wioska w puszczańskim dolinie tak natarczywie majaczyła mu przed oczyma, że był po prostu zaskoczony oczywistym faktem, iż pani Caine, przypadkowego i mało ważnego świadka, nie było jeszcze na świecie, kiedy płonęły strzechy tamtych chat.

Jej oczy za grubymi szklami okularów wydawały się wielkie, łagodne. Miała małą, idealnie okrągłą głowę, ładniutki nosek i także usta.

Mysie włosy obcięte na pazia. Pulchniutka i przylepna, ubrana była w beżową sukienkę z dzianiny.

– A, to pan inspektor – powitała go. Jej głos brzmiał rezolutnie, jak głos kobiety pracującej z popularnego filmu. – Wiem, że będę musiała powiedzieć przynajmniej sześciu osobom to samo, nim dadzą mi spokój, więc wcale się nie zdziwię, gdy postawi mi pan takie same pytania, co tamten policjant. Czy nie można by użyć do tego komputera i uniknąć powtórzeń?

– Cóż, może dałoby się to zrobić – odparł Pibble – gdyby moż-

na było w programowaniu komputera uwzględnić ludzkie dziwactwa. Ale czy nie sądzi pani, że trudno byłoby z góry nastawić go na coś takiego, jak to plemię obok? Już przez samą swoją egzotykę

wydają się niepowtarzalni. Ale gdyby tak poskrobać, połowa londyńskich rodzin okazałaby się równie ekscentryczna. Czy dobrze ich pani zna?

– Ewę i jej plemię? Myślę, że równie dobrze jak inni, z wyjątkiem Boba, choć zetknęłam się z nimi dopiero przed dziesięciu miesiącami. Ale to zależy, co ma pan na myśli. Na przykład widywałam często tego biedaka Arona, ale nie mogłabym powiedzieć, czy jest w danym momencie szczęśliwy, czy nieszczęśliwy. Czy pan sądzi, że zabił go jeden z Ku?

– A jak pani uważa? Pani doktor Ku mówi, że jako etnograf musi to uznać za nieprawdopodobne.

– Nie dorównuję Ewie w tych sprawach, ale wyglądało na to, że wszyscy lubili i szanowali Arona. To było zabawne. Mój ojciec jest grubą szyszką w marynarce, a ci wszyscy Ku odnosili się do Arona podobnie jak podchorążowie marynarki do mojego ojca, kiedy był

kapitanem. Ale nie mam pojęcia, co czuł każdy z nich z osobna.

Dotychczas nie umiem ich od siebie odróżnić. Ani Bob, chociaż zna ich od dwudziestu lat.

– A jeżeli chodzi o panią doktor? Czy pani myśli, że powiedzia-

łyby mi, kto to zrobił, gdyby wiedziała? Albo gdyby znała jakiś powód?

– O niej trudno coś powiedzieć, prawda, panie inspektorze?

Myślę jednak, że nie. Nie chcę być złośliwa, poza tym Ewa jest w jakiś sposób niemal święta, ale zabawna z tymi swoimi Ku. Bob mówi, że traktuje ich jak własną kolekcję znaczków pocztowych, jedyną w swoim rodzaju, wartą miliony na aukcjach, nietykalną, która nie powinna wpaść w niepowołane ręce. A myślę też, że uważa ich prawa za równie obowiązujące jak nasze. Tak samo trudno ją

rozgryźć jak i jej czarnych. Będzie pan musiał zapytać Boba. Powinien zaraz wrócić.

– A gdzie jest?

– Pojechał w interesach. Nie zawsze mi mówi, gdzie jedzie. Jest agentem szwedzkich firm na południu Anglii, więc musi jeździć i przekonywać właścicieli fabryk w Swidon, że będzie im się lepiej wiodło, jak kupią jakiś filtr czy coś w tym rodzaju. To zmusza do trochę nie uregulowanego trybu życia, ale Bob to lubi.

– A więc nie było go w Londynie ostatniej nocy?

– No, nie, bo byłby w domu. A szkoda. Aron by tu nie przyszedł. Nie lubią się, chociaż Bob nigdy mi nie chce powiedzieć dlaczego. W każdym razie to nie było nic ważnego, panie inspektorze.

To nie był po... – mówiła ciszej, z pewnym naleganiem. – Lepiej niech go pan sam zapyta. Panu powie. Panie inspektorze, muszę już się zabierać do szykowania mu lunchu, na wypadek gdyby przyszedł. Wie pan, on nigdy nie je śniadania, więc o tej porze umiera z głodu. Ale niech pan dalej pyta. Mogę odpowiadać w czasie roboty.

Pibble usiadł na wysokim stołku koło zlewu i przyglądał się, jak pani Caine wysypuje zakupy z siatki na żółty blat stołu szybkim, zręcznym ruchem, niczym węglarz przechylający swój worek nad zsypem. Było tam parę puszek, zielona papryka, setka papierosów, masło, zupy w proszku, chudy boczek, makaron. Nie ruszając się z miejsca wzięła z szuflady nóż i deseczkę z półki za sobą. Krajała paprykę w szerokie paski powoli, z uwagą, jak gdyby miało to jakieś znaczenie, żeby wszystkie paseczki były dokładnie tej samej szerokości.

– Nie będę pani już wiele męczył. Podobno Aron mówił tylko 40

o tym co zwykle, i wyszedł mniej więcej dwadzieścia po jedenastej?

– Tak.

– A o czym on właściwie mówił?

– O Nowej Gwinei. Tak jak zawsze. Jak tam było i czy kiedykolwiek wrócą. Przed paru tygodniami Ku oglądali w telewizji jakiś film krajoznawczy i byli nim straszliwie poruszeni, zwłaszcza starzy.

Zobaczyli tam wioskę taką samą jak ich. Nie przypuszczam, żeby w rzeczywistości istniała możliwość powrotu, ale w każdym razie mieli temat do rozmów.

Paseczki papryki powędrowały do topionego masła na patelni.

Pani Caine naląła wody do garnka, pewno na makaron. Przygotowywała wszystko bardzo uważnie, z wielką oszczędnością ruchów.

Teraz zabrała się do otwierania puszki z duszonym mięsem jakimś bardzo staroświeckim przyrządem, na który trzeba było mieć sposób.

Zmagała się z nim niezręcznie i właśnie Pibble miał zgłosić gotowość otworzenia puszki, kiedy skaleczyła się w kciuk kolcem tego narzędzia.

– Co za idiotka ze mnie – powiedziała, puszczając na palec strumień zimnej wody. – Plaster z opatrunkiem jest w górnej lewej szafeczce za panem, na drugiej półce.

I rzeczywiście był. Nie tak jak Mary: „Jest gdzieś tam za czymś tam nad czymś tam”. Nieoceniona kobieta! Oderwał zabezpieczenie od lepkiej powierzchni i owinał plastrem silny, drobny kciuk, mocno wygięty do tyłu, z paznokciem obgryzionym aż do skóry.

Od drzwi dał się słyszeć głos:

– Halo! Halo! Ten drugi facet wpadł w sidła, co?

Pibble odwrócił się i ujrzał zesłanego mu przez los Wroga. Poznał

41

go od razu i przejął go dreszcz. To upiór z jego snów, gotów niszczyć wszystko, cokolwiek on przedsięwziął – zawsze ten sam, pełen niedbałej arogancji, z drwiącym uśmiechem mieszkańca Olimpu.

Ten upiór wcielał się w człowieka raz na kilka lat, i to było niewątpliwie jedno z tych wcieleń.

Uśmiech był wesoły, sprzeczny z tonem okrucieństwa w głosie.

Zabłyśły równe zęby, zmarszczyły się kąciki piwnych oczu. Męż-

czyzna ubrany był elegancko, modnie: w garnitur koloru ciemnej czekolady i kamizelkę zapiętą do samej góry, na różowym trójkącie koszuli widać było klubowy krawat. Wszystko w nim pasowało do całości, nawet sine worki pod oczami i pijacka chrypka.

– Kochanie – powiedziała pani Caine – dowiedziałam się strasznych rzeczy. Dzisiejszej nocy ktoś zamordował Arona Ku, uderzono go na schodach w głowę. To właśnie jest detektyw, pan inspektor, który stara się wykryć, jak to się stało.

– Chryste! Komu zależało, by zabić starego Arona? Biedny stary.

– Kochanie, a może byś zabrał pana inspektora do swego pokoju i powiedział mu wszystko, co chce wiedzieć o plemienu Ku.

Poznałeś ich lepiej niż ktokolwiek inny. A ja przygotuję lunch.

– Dobra. Chodźmy, inspektorze.

– Czy pani palec w porządku, pani Caine? A może skończę otwierać puszkę?

– O Boże! Skaleczyłaś się, Sue? Kobieta idealna dostarcza sen-sacji. Muszę to zapisać w swoim dzienniku.

– Wynoś się, Bob, bo nie dostaniesz lunchu.

– Tak, tak, kapitanie. Chodźmy, inspektorze. Ma pan żonę?

42

Wyszli do przedpokoju. Pibble aż się spocił. Pełen agresywności i pewności siebie sposób bycia pana Caine'a przypomniał mu Walewskiego, ogromnego dokera, który posiadał w takim stopniu sztukę bicia kobiet, że nie zostawiał śladu, choć miesiącami musiały leczyć się w szpitalu. Walewski uprawiał swą sztukę, pewien, że żadna z tych kobiet nie złoży nigdy świadectwa przeciw niemu. Miał rację.

Ich pełna lęku fascynacja – wszystkich pięciu czy sześciu, z którymi miał do czynienia Pibble – czyniła je całkowicie odpornymi na policyjne badania. I dopiero dwójka dzieciaków, braci tej blondynki, Mavis Jakiejs-tam, doprowadziła do tego, że Walewskiego skazano –

ci mali chłopcy i sędzia śledczy, który po rozmowie z lekarzami wściekł się ze złości. Pibble zeznawał jako świadek, a Walewski na ławie oskarżonych przez cały czas miał na twarzy uśmiešek, który mówił wyraźnie: „Nie masz żadnych szans, ty szczeniaku”. Walewski dostał półtora roku; wpadł w sidła prawa, zbyt głupi, żeby zrozumieć, że wymiar sprawiedliwości to całkiem co innego niż dżungla, w której prowadził swe okrutne tygrysie życie.

Pokój Caine'a znajdował się po przeciwnej stronie przedpokoju, był mały i bardzo wąski. Jedyną ozdobę stanowiła jego fotografia w ogromnym powiększeniu, przyklejona przezroczystą taśmą do ściany. Rozkrzyżowany, uczepiony skały, najwidoczniej prowadził

wspinaczkę, nad nim bowiem nie było już liny, która zwisała mu z pasa. Twarz miał zwróconą w bok, tak że jego wyrazisty profil ukazywany był jak najkorzystniej. Śmiał się jak biznesmen w kabarecie.

Było to bardzo sztuczne.

Para butów do wspinaczki wysokogórskiej wisiała na haku na innej ścianie, a zwój nylonowych lin leżał w kącie. Caine wziął z 43

biurka błyszczący przycisk i położył go na stosie luźnych papierów.

– Zabawne, że kobieta, nawet kochająca, nie potrafi położyć nic na miejscu, kiedy sprząta – powiedział.

Bez słowa rzucił się na jedyny w pokoju fotel, zdezelowany, z podartym obiciem. Siadł na jego krawędzi, skrzyżowane nogi sterowały mu na metr, głowę miał na poziomie poręczy, a szyję zgiętą niemal pod kątem prostym. Mina jego mówiła, że świat należy do niego i paru jego przyjaciół. Pibble uznał, że będzie się czuł mniej poniżony, gdy przysiadzie na skraju biurka, niż gdyby słuźalczko stał przed tym arogantem.

– Przepraszam, inspektorze, ale nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.

– Detektyw nadinspektor Pibble z Wydziału Śledczego Scotland Yardu. – Jedyne ratunkiem było zachowanie sztywnych formalności. – Czy mógłbym na wstępie zapytać, gdzie pan spędził ubiegłą noc?

– Możesz, przyjacielu. Byłem w Southampton, w Hotelu Turnera na Crerdon Road, najpodlejszym, najbardziej złodziejskim domu noclegowym, jaki istnieje na zachód od Timbaktu.

– Czy był pan tam samochodem?

– Nie mogę sobie pozwolić na prowadzenie wozu, przyjacielu, ani niczego, w czym można by mnie znaleźć martwego. Mam kum-pla w branży, on mi czasem wypożycza przyzwoite auto, ale nie mogę prosić go o to zbyt często. Na ostatni weekend dał mi Alfa Romeo dwa tysiące trzysta i wyciągnąłem nim sto dwadzieścia na autostradzie. Nieźle, zwłaszcza jak na model z 1930 roku, co?

– Od jak dawna zna pan plemię Ku?

– W czerwcu minie dwadzieścia pięć lat, jak chory i ze skręconą 44

nogą przykuśtykałem do ich wioski. Spędziłem w tamtej piekielnej dżungli cztery doby, kryjąc się, gdy bodaj liść zaszeleścił. Dobre były dla mnie te czarnuchy, choć czasem myślę, że woleliby mnie zjeść, niż pielęgnować. I pewno by mnie zjedli, gdyby nie było tam wielebnego w tym jego zwariowanym, starym kapeluszu. Był to ojciec Ewy. Równie świętego człowieka nie spotkałem na tej podłej ziemi. Potem prawie wszystkich wykończyły te cholerne żółtki.

Gdyby był Bóg na niebie...

Urwał na piskliwej nucie. Ostatnie parę zdań wypowiedział jak sentymentalny pijak, którego litość nad światem jest tylko litością nad samym sobą. Wyglądało na to, że spędził noc na pijatyce. Może pozostało w nim jeszcze tyle alkoholu, że pod wpływem wstrząsu dał o sobie znać.

– A czy później był pan kiedy z nimi?

– Byłem blisko. Pojechałem do Australii na parę lat, kiedy skończyła się ta cała zabawa, ale martwiłem się o Ewę, która została sama jak palec, więc szukałem jej przez detektywa. W końcu dowiedziałem się, że przyjechała tutaj, i zamieszkałem w sąsiedztwie.

Może wydawać się twarda, ale potrzebuje męskiego ramienia. Jest niezyciowa. Wie pan, jak spędziła te pierwsze osiem lat po powrocie? Obkuwała się jak głupia, zdała maturę, zapisała się na uniwersytet, zrobiła dyplom, potem ten przeklęty doktorat. Było to dla niej ważne, pewno myślała, że winna to ojcu. Dlatego też co niedziela prowadzi do kościoła wszystkich swoich czarnych, zupełnie jak szkółkę.

– To oni są chrześcijanami? – Czy obojętny ton zdradza zainteresowanie za fasadą formalizmu? Pocieszył się, że jeśli ma 45

odrobinę szczęścia, to zajęty sobą Caine nie zwróci uwagi na jego reakcję. W uszach mu zabrzmiał przeciągły, przejmujący śpiew, który słyszał w oświetlonym niebiesko-zielonkawo pokoju zamordowanego. *Jissu, Hodigu, Godifadi, Mirri*. Trójca Święta i Matka Boska – w ich języku. – Z tego, co mówiła pani doktor, odniosłem wrażenie, że nie ma nad nimi władzy.

– Coś podobnego! A czyż to nie jej dom? Czyż nie za jej pienią-

dze kupują piwo i słodkie ziemniaki? Paru z nich pracuje teraz w komunikacji, ale nie zarobią tyle, ile trzeba, by zapełnić dwadzieścia brzuchów, mimo że płacą im dziś zawrotne sumy. Nie, inspektorze, Ewa jest jak dziecko, które obserwuje mrowisko przez szklaną ściankę. Wie, że jak zacznie się wtrącać i rządzić, niczego się nie dowie, więc po prostu obserwuje. To jej zabawka i nie pozwoli innym dzieciakom jej dotykać. Kiedyś spotkałem w barze jednego faceta, dziennikarza, zwariowanego na punkcie etnografii, więc powiedziałem mu o plemienu Ku. Chciał przyjść, zamieszkać obok, zrobić kolorowy dodatek do gazety... są cholernie fotogeniczni... ale Ewa nie pozwoliła, zagroziła mu sprawą o zniesławienie, odszukała starego grzyba, dawnego przyjaciela matki, który był ojcem chrzestnym naczelnego tej gazety. Bardzo się brzydko zachowała. A przydałoby mi się wtedy trochę forsy, i to bardzo. Ale życie okrutnie się z nią obeszło. Biedna Ewa, nie zawsze można ją winić za to, co robi.

Czasami, inspektorze, dziękuję Bogu, że jestem tutaj i mogę się nią opiekować. Nie wiem, c o by się stało, gdyby mnie tu nie było.

Wróciła cikliwa nuta, mniej wyraźna, ale nie mniej odpychająca.

46

– A czy znając Ku – zapytał Pibble – myśli pan, że któryś z nich mógłby zamordować Arona?

– Nie zdziwiłoby mnie to. Potrafił być cholernie upartym starym osłem. Rozumie pan, w jego interesie leżało, żeby plemię trwało w zastoju, żeby się nie zmieniało, podobnie jak ci znumifikowani wikingowie, których znajdują w bagnach. Wtedy jest kimś: ważnym wodzem, rozumie pan. A gdyby oni się przystosowali, poszli do pracy, zaczęli się ruszać, spotykać z ludźmi, straciłby znaczenie.

Próbowałem trochę wyciągać młodych z domu, pokazywać im świat, wprowadzać w życie, ale zaraz Aron wzywał ich z powrotem, w czym Ewa mu pomagała. Nie mam zamiaru ukrywać przed panem, inspektorze, że chociaż wiele temu plemienu zawdzięczam, to wcale nie znaczy, że muszę ich wszystkich lubić. I wcale bym się nie zdziwił, gdyby paru młodszym sprzykrzyło się to wszystko i stuknęli starego w głowę.

Aha. A skąd on wie, że Arona uderzono w głowę? Czy pani Caine o tym wspominała? Na pewno. Do diabła!

– A czy nie sądzi pan, że mógł go zamordować współplemie-niec lub ktoś obcy z jakiejś innej przyczyny?

– Nic mi takiego do głowy nie przychodzi, w każdym razie teraz. Musiałbym pomyśleć.

– Zmarły trzymał w ręku pensa z dwoma królami. Czy to coś panu mówi?

– Absolutnie nic.

W jego głosie było chyba wahanie, chyba przygasło na moment jego zuchwałe spojrzenie? Pibble wiedział, że chciałby tego, i starał

się brać to pod uwagę. Nie, osądził, na pewno mu się zdawało.

– Czy pan jest prawo-, czy leworęczny, panie Caine?

– Pułkowniku lotnictwa, jeśli łaska, przyjacielu. Jestem jak 47

najbardziej praworęczny. Proszę spojrzeć, moje ręce nawet różnią się wielkością.

Rozpostarł na płask dłonie. Pibble jak zahipnotyzowany pochylił

się i wyciągnął szyję. Ręce były duże, kwadratowe, białe, bez zgrubień. Małe palce sięgały zaledwie połowy długości innych. Widać było, że prawa dłoń jest większa. Linie serca i inteligencji łączyły się tworząc jedną poziomą kreskę, którą chiromanci nazywają linią małpią i uważają za niezawodny znak zbrodniczego zwyrodnienia.

Wpatrując się wciąż w ręce Caine'a, detektyw zastanawiał się, czy Walewski miał takie same linie.

– Czy już pan zobaczył, co pan chciał, inspektorze?

– Tak, dziękuję.

Pibble wyprostował się. Poczł, że już ma tego dość, i wstał. Caine ani drgnął.

– Czy pan powiedział – zapytał – że starego zabił ktoś lewą ręką?

To wygląda na kogoś z plemienia, jeżeli chce pan znać moje zdanie. Oni zawsze...

– Doktor Ku wyjaśniła mi to, pamiętam.

– To niech pan się nie męczy zanadto, inspektorze. Do widzenia. Odprowadzę pana.

– Dziękuję, pułkowniku, za pomoc. Wyjdę sam.

Wyszedłszy z domu Pibble skręcił w prawo, w kierunku przeciwnym niż dom pod dziewiątym, potem znów w prawo czyściutką uliczką i jeszcze raz w prawo przechodząc na światłach. Zapomniane szczegóły tego zakątka stanęły mu znów przed oczyma. Tak, nadal jest budka telefoniczna na rogu tego placu, na razie jeszcze nie zniszczona. Połączył się ze Scotland Yardem i poprosił sierżanta Crewe'a.

kilka rzeczy sprawdzić. Już? Pierwsza: Chodzi o profesora Fleischa w Melbourne, chyba z wydziału etnografii. Co mógłby powiedzieć o plemienu Ku z Nowej Gwinei, o doktor Ku, która z niego pochodzi, i o tym, w jakich okolicznościach ktoś z nich mógłby zamordować wodza. Po drugie: pani doktor Ku uzyskała doktorat z etnografii mniej więcej w 1954 roku, prawdopodobnie w Londynie. Trzeba się dowiedzieć, jaka jest jej pozycja, a także wszystkiego, co może się przydać. Po trzecie: hotel Turnera, Southampton, Czerdon Road. Czy niejaki Caine, pułkownik lotnictwa, nocował tam dzisiaj? Załatw to szybko, Mike, i postaraj się, żeby ludzie w hotelu zrozumieli, że to ważna sprawa. Coś jest w tym dziwnego: wrócił z Southampton bez niczego, nawet bez szczoteczki do zębów. Po czwarte: zapytaj Tima Speera, czy jest w Londynie Alfa Romeo z 1930 roku, którego ktoś z branży mógłby wypożyczyć facetowi w zeszłym tygodniu i czy można na nim wyciągnąć sto dwadzieścia. Po piąte: nakłoń Austra-lijskie Siły Lotnicze, aby udostępniły nam wszystko, co mają o tym Caine'ie, który zaginął w Nowej Gwinei podczas wojny, wrócił do Australii w 1946 i może był notowany na policji... a teraz jest w Anglii. Po szóste: jeżeli inspektor Rickard wraca dziś tędy do domu, zapytaj go, czy mógłby mi poświęcić kilka minut, chciałbym się go poradzić, ale to nic specjalnie ważnego. Siódme też nie jest ważne, ale może udałoby się znaleźć kogoś, kto mógłby się dowiedzieć, dlaczego Osiedle Flagga tak się nazywa i tak jest zbudowane. Dużo tego, czy mógłbyś odczytać, co zapisałeś? Świetnie. Nie, to po prostu próba szczęścia, szansa jeden na dwadzieścia. Zadzwoń przed lunchem, może już coś będzie z Southampton.

*

49

Musiało już być koło południa, ale choć jasne promienie majowego słońca lśniły na liściach podstrzyżonego jaworu i padały na okno pokoju doktor Ku, zapalono tu wszystkie światła. Mimo to jasność nie raziła tak jak poprzednio. Osiemnaście czarnych jak węgiel twarzy kontrastowało ze światłem, walcząc z nim jak walczy ciemność ze światłością w hymnach Zoroastri. Widać było, że już czas pewien czekają na detektywa z cierpliwością wieśniaków, spodziewających się nadejścia dokuczliwego poborcy podatków. Po-przestawiano meble. W końcu pokoju przygotowano dla inspektora stolik karciany i jedno z połączonych krzesełek. Na zepchniętych pod ścianę naprzeciwko drzwi kanapach rozsiadło się w milczeniu siedem dziwnych kobiet. Wszystkie były szpetne, a jedna miała jeszcze do tego strasznie zniekształconą figurę. Grupa ośmiu męż-

czyn stała pod oknem, raczej stały tam dwie grupki: w jednej było sześciu siwobrodych, w drugiej dwóch czarnobrodych. Paul wciąż siedział przy biurku i malował w zapamiętaniu – artysta w szponach demona. Za nim doktor Ku, smukła w swym hamletowskim stroju, wspierała się o ścianę.

Na stoliku leżało kilka plik kartek z kartoteki, jedna dotyczyła kobiet, druga mężczyzn, trzecia doktor Ku i jej Paula, na innej znów kawałek papieru głosił: „Młodzież szkolna”. Zobaczył też kopertę z napisem: „Sprawy finansowe” oraz kartkę z następującym oświadczeniem: „Nikt, łącznie z Ewą i Pauliem, nie uzna za impertynencję, jeżeli będzie się Pan zwracał do nas po imieniu. Jest tu za wielu panów Ku i pań Ku, i zachowywanie form doprowadziłoby tylko do nieporozumień”. Pismo było drobne, kanciaste, litery nie łączyły się ze sobą.

Detektyw opadł na krzesło, walcząc z ogarniającą go po spotkaniu z Caine'em paniką. Jak zdoła znaleźć właściwego człowieka w tej szesnastce Murzynów, tajemniczych i tak do siebie podobnych?

Chyba że Fernham i Strong odkryli ślady krwi w czymś koszyku na bieliznę. Caine nawet po dwudziestu pięciu latach ich nie odróżnia, jakże więc on pozna, kiedy będą kłamać, stroić sobie z niego żarty albo coś ukrywać. A cóż dopiero mówić o motywach! Zdał sobie sprawę, że wszyscy w pokoju, z wyjątkiem Paula, mają wlepiony w niego wzrok, czuł na sobie jedno potężne czarne spojrzenie, złago-dzone tylko blaskiem piwnych oczu doktor Ku. Dziwne, że tak uparcie nie patrzy na to, co robi Paul. Ale do rzeczy.

– Wiadomo wszystkim – zaczął – że wasz wódz, Aron Ku, został dzisiejszej nocy zamordowany na schodach. Przybyłem tutaj, aby znaleźć zabójcę. Może przyszedł z zewnątrz. Może jest jednym z was. Muszę to wiedzieć, wykrzyć. Zabójstwa dokonano na godzinę przed północą. Czy ktoś z was słyszał cokolwiek o tej porze?

Milczenie.

– Czy wszyscy rozumieją, co mówię?

Fibbie rzucił okiem na kartę na wierzchu stosiku z prawej strony.

– Melchizedechu Ku, czy pan słyszał, co powiedziałem?

– Pańskie słowa są jasne i trafne, panie władzo.

Głos miał głęboki, jak Paul, ale bardziej zgrzytliwy.

Stał drugi od prawej w grupie siwobrodych. Był bardzo tęgi, zwłaszcza w biodrach, więc jego korpus przypominał kształtem amerykańską rakietę kosmiczną. Cienki chwaścik brody chwiał się do wtóru jego słowom.

– Dlaczego więc nie odpowiedział mi pan za pierwszym razem?

– Nie ma tego, kto mógłby mówić w naszym imieniu. Nasz wódz nie żyje.

– Rozumiem. Zatem jako urzędnik królowej proszę pana, Melchizedechu, abyś przemawiał w imieniu plemienia Ku, zanim wybie-rzecie sobie nowego wodza...

Wyraźnie czuje napięcie wśród zebranych. Trzeba brnąć dalej.

Zrobił coś niewłaściwego.

– A Lea Ku przemawiać będzie w imieniu kobiet.

Napięcie znikło. Zastanawiał się, czy Ewa umyślnie położyła na wierzchu karty najważniejszych ludzi. Nie dałby złamanego grosza za to, że tak nie było.

– A więc Leo i Melchizedechu, czy ktoś z waszych ludzi nie rozumie tego, co mówię?

– Mężczyźni rozumieją.

– Kobiety też rozumieją.

Do licha! Musi pamiętać, żeby wymieniać mężczyzn przed kobietami. Lea, pomyślał, to ten babsztyl, co klęczał u stóp Arona, chociaż na dobrą sprawę mogła to być każda z czterech starszych kobiet. Dwie najwidoczniej były młodsze, a owa wyróżniająca się brzydotą to była ta, co dorzucała ziół do ognia. Musiała ją dręczyć jakaś choroba, bo nawet w tym jasnym świetle trudno było dostrzec zarysy jej postaci, jak gdyby była posągami z grubsza tylko obrobionym przez rzeźbiarza, którego przedwcześnie odwołała śmierć. Pibble oczekiwał, że z tych zwałów tłuszczu spojrzą małe, świńskie oczka, więc napotkawszy łagodne spojrzenie jej smolistych oczu odwrócił głowę, jak zawstydzone zwierzę.

– Mogę więc uznać, że nikt z was nic nie słyszał?

52

– Mężczyźni nic nie słyszeli.

– Kobiety nic nie słyszały.

– W porządku. A teraz musimy ustalić, czy są pośród was tacy, co nie mogliby tego zrobić. Na przykład niektórzy śpią pewno we wspólnym pokoju i nie mogliby wyjść bez...

Rozległo się stukanie do drzwi i wszedł Fernham, prowadząc za ramię chłopca.

– Znalazłem go, panie inspektorze, na górze, leżał pod łóżkiem i czytał, zatkawszy palcami uszy. Myślę, że zwiął z lekcji, panie inspektorze. A poza tym na obu górnych piętrach jest kilkoro zamkniętych drzwi. Czy je otworzyć?

– Nie, dziękuję, Fernham. To wszystko, na razie. Dobrze się spisaliście.

Spojrzał na chłopca. We flanelowych spodniach i swetrze wyglądał

jak uczeń z miasta, tylko że twarz miał czarną jak węgiel. Poza tym była to twarz europejska z wyrazistą budową kostną, a nie gąbczasta, zamazana, jak twarze innych Ku. Miał około czternastu lat.

– Jak się masz – powitał go Pibble. – A ty skąd jesteś?

– Jestem Robin Ku – odparł chłopiec. – Powinienem być w szkole, ale Jakub i Daniel nie poszli do swoich autobusów, więc pomyślałem, że ja też zostanę. Dziś jest ta wstrętna geografia, a ja nie

odrobiłem lekcji. Myślałem, że nikt mnie nie zauważy. Wszyscy tacy zajęci tym morderstwem. I policjantami.

Uśmiechnął się, pewien swego wdzięku, zadowolony z dowcipu.

Pibble zaczął przerzucać stosik kart uczniowskich: Marta, Łukasz, Marek, Jakub, Ruth – z pewnością nie ma tu Robina.

53

– Nie powiedziałaś mi, skąd jesteś.

Chłopiec przyjrzał się zebranym w pokoju ludziom.

– To moja mama – wskazał na niekształtną postać zielarki. –

Ale według hierarchii plemienia moje miejsce jest tutaj. – Przeszedł

przed stolikiem i usiadł po turecku u stóp siwobrodych, co nadało im wygląd upozowanej do zdjęcia grupki.

– Dobrze – powiedział Pibble. – O czym to mówiliśmy? Aha, pytałem, czy może niektórzy z was sypiają po kilku w pokoju, tak że wiedzieliby, gdyby ktoś wychodził w nocy, Melchizedechu?

– Mężczyźni sypiają w jednej chacie wszyscy. Taki jest zwyczaj u Ku.

– A kobiety, Leo?

– Kobiety też mają taki obyczaj.

– Rozumiem. To powinno uprościć sprawę. – Powinno, u licha!

– Ale wydaje mi się, że wszyscy poruszacie się bardzo cicho. Moglibyście chodzić, a ja bym was nie słyszał. Czy byłoby możliwe, żeby ktoś wyszedł z waszej sypialni, a inni by tego nie usłyszeli?

– Eliasz pilnuje naszych drzwi.

Broda Eliasza przypominała Hemingwayowską. Ubrany był w brązowy sweter polo i brązowe sztruksowe spodnie, co wyglądało pretensjonalnie. Jego głos miał równie niskie brzmienie jak głosy innych mężczyzn z plemienia.

– Sypiam przy drzwiach, żeby nikt obcy nie mógł wejść, ale wydaje mi się, że również nikt nie mógłby wyjść.

– A kobiety, Leo?

– Ja pilnuję drzwi. Żadna nie wychodziła w nocy.

– Czy nie ma wśród was małżeństw, Melchizedechu?

54

– Nie kładziemy się spać, żeby płodzić dzieci. – Powiedział to z twarzą bez wyrazu, ale pokój rozbrzmiał śmiechem. Rozbawione kobiety chichotały głośno, Ewa śmiała się równie wesoło, jak inne.

Tylko Paul pracował dalej w skupieniu. Śmiech ucichł, przechodząc w pokasływania i piski. Pibble podjął:

– Panie Eliaszu, a czy Aron nie zbudziłby pana, gdyby wychodził?

– Wódz śpi we własnej chacie.

– Żadne z was nie mogłoby więc opuścić sypialni prócz Eliasza i Lei?

– A co z Paulem i Ewą, proszę pana?

Robin starał się mówić w sposób obojętny i znudzony, ale nie-dawno miał mutację i nie zdołał opanować piskliwej nuty podniecenia w przedostatniej sylabie. On jeden nie miał mieć nigdy ciemnej barwy głosu, tak charakterystycznej dla mężczyzn Ku czystej krwi.

– Dziękuję ci za przypomnienie – powiedział Pibble. Popełnił

błąd, wahając się między ironią a tonem, jaki przystoi wujkowi. Było to coś takiego, jak gdyby grający w tenisa, już zamachnąwszy się rakieta z zamiarem odrzucenia piłki, chciał ją nagle przytrzymać.

Rezultat był tak okropny, że ledwo się zmusił do spojrzenia na Ewę.

Spokojnie przyszła mu z pomocą.

– Wydaje mi się, panie inspektorze, że trudno byłoby nam dowieść, że nie popełniliśmy morderstwa za obopólną zgodą, ale śpimy na tak skrzypiącym łóżku, że niepodobna, by jedno wyruszyło na nocną wyprawę, a drugie o tym nie wiedziało.

Kiedy Pibble przeglądał karty mężczyzn, wszyscy Ku zanosili się od śmiechu. Równie dobrze mógłby, prowadzić śledztwo na 55

gieldzie, gdzie tak samo najmniejsza wzmianka o seksie przerywała pracę.

– Widzę, że panowie Jakub i Daniel zatrudnieni są w komunikacji miejskiej. Czy nie powinni być teraz w pracy?

Odpowiedział mu jeden z młodszych mężczyzn, poważny jak ksiądz na pogrzebie:

– Nie wolno nam opuścić plemienia, dopóki nie wybierzemy nowego wodza.

– Hm – mruknął Pibble zaintrygowany tym, że młodzi traktują plemienne nakazy z tą samą powagą co starsi. Zastanawiał się, czy Robin w swej bucie posuwał się aż do kwestionowania mądrości starszych plemienia. – Chyba już w tej chwili nie ustalimy nic wię-

cej. Wciąż jednak wydaje mi się niewykluczone, że morderstwo popełnił ktoś z mieszkańców tego domu. Muszę jak najdobitniej zaznaczyć, że waszym obywatelskim obowiązkiem jest wyjawienie mi wszystkiego, co mogłoby przyczynić się do wyjaśnienia sprawy morderstwa. Później przeprowadzę rozmowy z każdym z was z osobna, ale najpierw muszę dokonać rewizji w zamkniętych pokojach na górze. Kto ma klucze?

– Eliasz ma klucz do chaty mężczyzn – rzekł Melchizedech.

– Ja mam klucz do chaty kobiet – oznajmiła Lea.

– Posterunkowy Fernham powiedział mi, że kilkoro drzwi jest zamkniętych.

– Tylko dwoje – zaprzeczył Melchizedech. – Ściany zostały usunięte.

– Ach tak – Pibble skinął głową. Ewa musiała wydać masę pienię-

dzy, aby jej plemię mogło mieszkać stosownie do swoich obyczajów.

56

– Sam zrewiduję pokój mężczyzn. Pani Leo, chciałbym również zrewidować pokój kobiet, ale jeżeli miałyby to wam w czymś uchy-bić, mogę posłać po policjantkę.

– Niech pan rewiduje, wielobny Mackenzie nauczył nas, że prawo jest ponad naszymi zwyczajami. Pójdę z panem. Będą tam rzeczy, których by pan nie zrozumiał.

– Świetnie. A więc chodźmy... aha, zanim stąd wyjdziecie... –

Spokojnie, to musi zabrzmieć jak pytanie przypadkowe. – Czy ktoś z was widział w tym domu pensa z dwoma królami?

Cisza. Pibble nastawił uszu niczym myśliwy. Odniósł wrażenie, że któryś z mężczyzn gwałtownie wstrzymał oddech. Ale był to szmer tak ulotny i cichy, że nie mógł być tego pewny, a cóż dopiero śledzić, skąd płynie. Trzeba spróbować ponownie.

– Wyjaśnię to bliżej. Przy oględzinach zwłok Arona zauważył, że kurczowo trzymał w ręku pensa. Nie takiego zwyczajnego pensa – wyciągnął z kieszeni spodni monetę i pokazał ją zebrany –

z głową królowej po jednej stronie, a siedzącą kobietą po drugiej, ale pensa, mającego po obu stronach głowę króla. Czy ktoś wie, do kogo należał ten pens?

Chybione. Całkowicie chybione. Gdzież, u licha, uda mu się zrobić choć małą rysę w litej fasadzie tej całej sprawy? Rzucił z wściekłością monetę w powietrze, złapał ją i trzasnął nią o stół.

Nareszcie. Jest! Do licha! Wyraźne napięcie w pokoju, jak gdyby jakiś duch wśliznął się przez drzwi za jego krzesłem. Włosy zjeżyły mu się na głowie, ale opanował się i nie obejrzał za siebie. Jeden z siwobrodych otworzył szeroko usta jak błazen, ale nim wypowiedział słowo, Melchizedech położył mu na ramieniu swe czarne palce.

Paul po raz pierwszy przerwał rysowanie, spojrzął na detektywa, a potem na Ewę, która z marsem na czole obserwowała, co dzieje się 57

w grupie mężczyzn. Kobiety coś szeptały między sobą.

– Panie Melchizedechu, co to znaczy?

Cisza.

– Skąd to podniecenie, człowieku?

– Panie władzo, ja nie mogę powiedzieć panu, co może znaczyć pens z dwoma królami.

– Skąd więc to całe poruszenie, kiedy przed chwilą rzuciłem monetę?

Milczenie.

– Pani Ewo?

– Nie wiem, panie inspektorze.

– Panie Paul?

– Panie inspektorze, nie mogę tego powiedzieć.

Subtelne rozróżnienie, a Melchizedech też użył tego dwuznacznego zwrotu. Pibble czuje, że Paul chce, żeby zwrócił uwagę na to, jak również na jego spojrzenie, rzucone spod oka na grupkę kobiet.

– Pani Ewo?

– Rebeka powie.

Nieforemne stworzenie na końcu kanapy zaczęło coś mamrotać.

Ona jedna ze wszystkich poznanych przez niego członków plemienia nie umiała poprawnie mówić. Wiedział jednak, a może tylko pragnął

wiedzieć, może tylko pragnął czuć, że w spojrzeniu jej czarnych oczu błyszczy inteligencja nie mniejsza niż u innych ludzi, że upo-

śledzenie ma charakter fizyczny, nie psychiczny.

– Biały człowiek... przychodzi... rozmawia z wielebnym Mackenzie i... Mojżeszem, i Aronem... rzuca pensa, my chowamy się...

przychodzą... żółci... palą... zabijają.

– Ten biały to pułkownik lotnictwa, Caine?

Przytaknęła.

58

– Mojżesz był wodzem?

Przytaknęła.

– Pani widziała, jak pułkownik lotnictwa, Caine, rozmawiał z wielebnym Mackenzie, Mojżeszem i Aronem, a potem rzucił monetę. Kto jeszcze to widział?

– Wielu.

– Kto to widział z obecnych w tym pokoju?

– Paul... Nahum... nie wiem więcej.

– Panie Paul, dlaczego...

Ach, zostawmy to na chwilę. Przypuśćmy, że przed dwudziestu pięciu laty Caine rzucił pensa, aby coś zdecydować wspólnie z ojcem Ewy, i że wkrótce po tym dziwnym zdarzeniu prawie całe plemię uległo zagładzie. Czy wtedy czynność rzucania monety nie miałaby takiego znaczenia, jakie ma dla neurotyka powtórzenie traumatycznego momentu? Dlaczego pozostawiają to do wyjaśnienia Rebecce? Paul pewno nie chce przypominać tej sceny w obecności Ewy, ale inni...

A czy to ma jakieś znaczenie? No oczywiście, to pewno pens z dwoma królami {może ten sam?} zakręcił się wtedy i upadł na pola-nie w dżungli. Lepiej drążyć dalej.

– Nahumie, czy pan to widział?

– Widziałem.

Inny siwobrody, tym razem w powypychanym kombinezonie, i inny głęboki bas.

– Czy pan słyszał, co mówili?

– Kiedy byłem myśliwym, nie znałem angielskiego.

– A czy pan coś słyszał, Paul?

Czarna maska uniosła się znad biurka z wymuszoną cierpliwością.

– Nic nie słyszałem, panie inspektorze.

59

Pibble nie pozwolił mu zatonać znów w tworzonym przez niego świetle.

– Czy domyśla się pan, co mówili?

– Nie.

– W jaki czas po przybyciu do wioski pułkownika Caine to się zdarzyło?

– W dwie godziny, nie później. Doktor Mackenzie z żoną za-prowadzili go do domu misyjnego. Byłem służącym. Potem doktor Mackenzie posłał mnie po Mojżesza, Aron także przyszedł. Rozmawiali przy ołtarzu. Nie było w wiosce kościoła, ale ołtarz stał przed domem misyjnym. Caine roześmiał się, wyjął monetę z kieszeni, podrzucił w górę, złapał i rzucił na ołtarz, tak jak pan rzucił ją na stół. Potem doktor Mackenzie zaprowadził go znów do domu misyjnego, a on wciąż się śmiał. Teraz wiem, że to była histeria.

– Hm Czy pozostanie pułkownika w waszej wiosce było dla was niebezpieczne?

– Wszystko było niebezpieczne, kiedy Japończycy znajdowali się w górach, ale poprzedniego dnia słyszałem, jak państwo Mackenzie rozmawiali o wiosce, która została spalona, ponieważ ukrywali się w niej australijscy lotnicy.

– Dziękuję panu, Paul. Melchizedechu, a czy pan wie, dlaczego rzuca się monetę?

– Widzieliśmy to, w telewizji.

– Czy widzieliście, żeby kiedykolwiek używano pensa z dwoma królami?

– Dwa lata temu zły człowiek rzucił monetę, żeby rozstrzygnąć, czy białowłosa kobieta ma iść z nim do Berlina szukać tam swego ukochanego, chociaż wiedział, że jej ukochany jest przywiązany 60

do barki w pobliżu Wapping. Ale białowłosa kobieta odwróciła monetę i zobaczyła, że są na niej dwie głowy, i wtedy zrozumiała, że jest to zły człowiek, i oszukała go: on poszedł do Berlina, ona zaś rozplatała liny krępujące jej ukochanego.

Obecni westchnęli tęsknie i mruknęli coś z uznaniem.

– Czy Aron to oglądał? – spytał Pibble.

– Aron to oglądał.

Zamyślił się... a raczej zatonął w medytacji. Przypuścimy, że dyskutowano wtedy, czy dobrze byłoby dla plemienia Ku, gdyby Caine pozostał w wiosce, i Caine rzucił oszukańczym pensum, aby sprawę rozstrzygnąć. Załóżmy, że gdy w wiele lat później Aron obejrzał tę bzdurę w telewizji, to (nie dowierzając Caine'owi, jak wiemy) skorzystał z pierwszej okazji, aby wśliznąć się do sąsiedniego domu i wziąć tę monetę... Spokojnie, spokojnie... Skąd Caine miał pewność, że Aron wie? Jak mógł się tu dostać? A więc pani Caine kłamała mówiąc, że go nie było? Dlaczego (akademickie pytanie!) Ku chcieli, żeby Rebeka opowiedziała tę historię, skoro wszyscy ją znali. To, że pragniemy, żeby Caine okazał się winnym, wcale nie wyjaśnia tych nonsensów. Dość już marzeń na jawie! Trzeba przeprowadzić rewizję. Wszystko to tylko niejasne poszlaki, nawet gdy chodzi o Caine'a.

– Ach tak – powiedział. – Dziękuję bardzo wam wszystkim.

Muszę prosić, żebyście pozostali tu jeszcze spokojnie przez jakiś czas, a ja z moimi ludźmi przeszukam dom. Może najlepiej będzie, jeżeli zaczniemy od pokoi Ewy i Paula, a potem Lea pokaże nam chatę kobiet. Następnie Melchizedech oprowadzi nas po chacie męż-

czyn, a kiedy będziemy oglądać resztę domu, wy będziecie mogli wrócić do swoich pomieszczeń.

61

Nikt mu na to nie odpowiedział, tylko Ewa leciutko skinęła głową. Pibble obróciwszy się zobaczył, że Fernham nie wyszedł z pokoju, więc nie będzie musiał ryczeć na niego ze schodów, co nie licuje z jego powagą.

– Okay, Fernham, zostańcie tutaj i miejcie oko na wszystko.

Zdaje mi się, że obok jest łazienka pani doktor Ku, więc spróbuję ją pierwszą uwolnić od podejrzeń.

– Tak jest, panie inspektorze.

Sypialnia Ewy. Miejsce do spania, jakże inne od promieniującej kobiecością, zadbanej, wymuskanej, ozdobionej falbaneczkami sypialni pani Caine. Tutaj białe ściany bez obrazów, prosta toaletka, wysokie szafy ściennie, biblioteka z książkami z serii „Pingwin”, przeważnie w niebieskich okładkach, wielkie, nie malowane łóżko z mosiądzu, z białą, zwykłą narzutą. Pibble położył się na nim ostroż-

nie, sprężyny zadźwięczały jak tysiąc brzękliwych strun. Przesunął

się trochę w bok i wydobyl z nich bogate rokokowe akordy. Poturlał

się po śnieżnej narzucie i przekonał się, że całe łóżko jest zaminowane dźwiękiem. No cóż, to dawało pewnego rodzaju alibi, chociaż nie chciałby być zmuszony do przedstawiania w sądzie takiego dowodu.

Zajrzał do szafy. Ani śladu spódnicy, tylko letnie bluzki, śmiałe w barwie i kroju, i spodnie najróżniejszych odcieni. W drugiej części szafy, nad szufladami z paroma białymi koszulami, skarpetami i męską bielizną, wisiały dwa garnitury z niebieskiego materiału w prążki. Ubrania Paula.

Obok mała łazienka, a w niej nic podejrzane: pusty koszyk na brudną bieliznę, skąpo wyposażona ap-teczka... aha, pigułki antykoncepcyjne, odpowiedź na nie zadane pytanie. To dziwne, pomyślał Pibble, że czuję wyraźną ulgę. Nic 62

nie ma w rezerwarze ani w innych miejscach, które zawsze przychodzą na myśl niedoświadczonym. Wrócił do dużego pokoju.

Na wyższym piętrze znajdowały się trzy pokoje: w jednym leżało ciało, w drugim, mniejszym, stało wielkie łóżko (jedno z tych miejsc, gdzie Ku nie muszą się kłaść, by począć dziecko) i chata kobiet, której drzwi otworzyła przed nim Lea.

Ujrzał ogromny pokój, powstały wskutek wyburzenia ścian. W

drugim końcu dostrzegł zakratowane okna, musiał się tam kiedyś znajdować pokój dziecienny. Było tu jasno i czysto, nic nie przypominało dżungli, nie tchnęło obcością, dziwiła tylko wielka liczba posłań. Nowoczesne tapczany ustawiono w szeregi, oddzielono od siebie komódkami. Na poprzeczkach trzech niebieskich łóżeczek dzieciennych umieszczono drewniane króliczki. Dwie ogromne drewniane szafy zajmowały dwa końce pokoju, tak że pozostawało bardzo niewiele wolnej przestrzeni. Całość sprawiała wrażenie sypialni w szkolnym internacie.

Pibble zaglądał wszędzie. Za najdalszą ścianą, a raczej przepięrzeniem, znajdowała się podwójna łazienka i trzy sedesy. Pojemnik na brudną bieliznę był pełny, ale nie dostrzegł śladów krwi. Nic nie ukrywano. Wrócił do sypialni.

– Gdzie pani śpi, Leo?

– Przy drzwiach. Zanim się położę, przesuвам łóżko, żeby nikt nie mógł wejść.

– Dlaczego?

– Taki jest zwyczaj. Chata mężczyzn musi być tabu dla kobiet, a chata kobiet dla mężczyzn. W przeciwnym razie zbrukają się nawzajem.

63

– A czy ktoś chciałby wejść?

– Mógłby wejść przez przypadek. Uznaliśmy, że najlepiej ściśle przestrzegać naszych obyczajów, żeby plemię zachowało jedność.

Bez wspólnoty obyczajów jesteśmy niczym, zginiemy.

– Zdaje mi się, że widziałem, jak dwie kobiety uczyły się czytać.

– Tak, widział pan. Byłoby niedobrze, gdyby nasze dzieci umiały coś, czego my nie umiemy. A jeżeli mamy pozostać w Anglii, byłoby rzeczą niemądrą nie umieć czytać. Poza tym wielebny Mackenzie życzyłby sobie tego.

– Czy mężczyźni uczą się równie chętnie?

– Nie chcą. Bardziej niż kobiety trzymają się starych zwyczajów. My zachowujemy obyczaje, jeżeli nie przeszkadzają nam w życiu, mężczyźni próbują dopasować swoje życie do obyczajów.

Marzą o wiosce i o czasach, kiedy byli dzikimi Ku w puszczy.

– Wydaje mi się, że jest więcej posłań niż kobiet

– Śpią z nami dzieci, chłopcy dopóty, aż dojrzeją i mogą iść między dorosłych mężczyzn.

– Czy Aron chciał wrócić do wioski?

– Połowa jego chciała wrócić, a połowa zostać, ponieważ chciała tego Ewa.

– Czy jest pani tego pewna, Leo, skoro kobiety i mężczyźni tyle czasu przebywają oddzielnie?

– Aron był moim mężem.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi. Teraz jest u Boga. Czy przeprowadzi pan rewizję?

Nie zabrało to wiele czasu. We wszystkich szufladach i szafkach znajdowało się ubranie. Któraś z kobiet musiała bardzo lubić kolor 64

lila. W jednej z szuflad zgromadzono wszystkie przedmioty obrzędowe:

tytkwy z zawilými wzorkami, grube naszyjniki z polerowanego drzewa i muszelek, fajki w kształcie fletów, naczynka z lśniącym barwnikiem (kosmetyki na dni świąteczne, jak wyjaśniła Lea). Zdawało się, że nikt prócz dzieci nie ma nic własnego. Przy każdym łóżeczku znajdowało się pudło z paroma zabawkami, na półce ustawiono zniszczone dziecinne książki. Przy każdym łóżku leżała Biblia. Szare życie małych ludzi, pomyślał detektyw.

– Czy cały czas spędzacie tutaj?

– Śpimy tutaj i modlimy się, a te, które są nieczyste, pozostają tu przez dni swej nieczystości. Przeważnie jesteśmy w kuchni kobiet albo w świetlicy seniorów.

Detektyw zdumiał się, tak jak życzył mu Graham. Ten czarny babsztyl wyraża się po angielsku jasno i dokładnie, znalazłby uznanie u egzaminatorów, ale jeżeli...

– To chyba żart Ewy – ciągnęła Lea. – To, co u was jest pokojem dziecinnym, my nazywamy świetlicą juniorów. Ewę trudno zrozumieć, ona nie jest taka jak wszyscy.

– Oczywiście, że nie. Czy mężczyźni przesiadują w świetlicy seniorów tak samo jak kobiety?

– Oglądają tu telewizję, ale poza tym siedzą w chacie męż-

czyn. No i przychodzą tu w święta naturalnie.

– Aha. Hm. Dziękuję pani, Leo. A teraz chyba poproszę Mel-chizedecha, żebyśmy poszli do chaty mężczyzn.

W pokoju Ewy coś się chyba stało. Mężczyźni i kobiety, którzy dotychczas stali spokojnie w grupach przypominających upozowaną do fotografii klasę, zbiegli się razem wokół biurka Paula. Choć milcze-li, wyglądało to na jakąś manifestację rasową. Kiedy się przepychali, 65

żeby lepiej widzieć, słyhać było pomrukiwania i gwałtowne odde-chy. Byli podnieceni, pełni niepokoju i udręki. Wydawało się, że jest ich mniej niż poprzednio. Paul siedział nadal na stołku patrząc na swoje malowidło. Drapał się po szczęce, usta miał otwarte, wykrzy-wione. Upłynęło chyba z dziesięć sekund, nim spostrzegł detektywa.

Wtedy zwinął papier w rolkę i potoczył go po blacie biurka. Pibble podszedł i zabrał rolkę, jak zabiera się wolność zdobytemu miastu.

Wrócił do stołu, usiadł i rozwinął trofeum, była to eksplozja barw, uzyskana za pomocą jaskrawych mazaków. Obraz leżał do góry nogami, więc go odwrócił.

Chaty płonęły dziwnym, stylizowanym płomieniem. Przed nimi odbywała się rzeź niewiniątek... Dzieci były czarne, z wyjątkiem dwojga, mordercy pomarańczowi. Na pierwszym planie dowódca pomarańczowych przyglądał się z rękami w kieszeniach, jak dwaj jego żołnierze zaciskają pętlę na szyi rudobrodego Europejczyka, ubranego w strój odkrywcy-podróżnika w stylu Livingstone'a: sztyl-py, krótkie spodnie, płócienna kurtka. Duży płócienny kapelusz o szerokim rondzie leżał na ziemi. Na dalszym planie pomarańczowy żołnierz szarpał za spodnie kobietę, którą dwaj jego towarzysze rzucili na ziemię. Obie te sceny, ale już bez europejskich strojów, powtarzały się parokrotnie w środkowym pasie obrazu. Dwaj żołnierze śmiejąc się strzelali z rozpylacza do uciekających siwobrodych mężczyzn. Inny żołnierz obojętnie kroczył w kierunku ołtarza trzymając w każdym ręku czarne niemowlę, zwisające główką w dół.

Między tymi scenami powtarzał się motyw kilku zmarłych w mę-
czarniach czarnych postaci przedstawionych w sposób uproszczony.

Poniżej całości napisano wersalikami: „JEŻELI NIE WIESZ NIC O
TYM, NIE WIESZ NIC O NAS”.

Pibble wbił wzrok w obraz, powtarzając sobie w duchu: Tak, teraz rozumiem. Doznał głębokiego szoku, a jednocześnie myślał: Według wszelkich kryteriów, to jest dobra rzecz... Ciekawe, ile moż-

na by za to wziąć. Wstał i zaniósł obraz z powrotem Paulowi.

– Dziękuję.

– Dziękuję.

Paul otworzył szufladę, wyjął zapalniczkę, zapalił. Szary papier zajął się w rogu, inwazja ognia powoli ogarniała cały arkusz, którego szelest słychać było wyraźnie w panującej ciszy. Artysta podszedł do okna i otworzył je. Trzymał na zewnątrz tę płonąca masakerę, aż ogień począł go parzyć. Cofnął rękę. Ostatni strzęp papieru, wciąż jeszcze płonący, wzniósł się w podmuchu wiatru aż nad podstrzyżo-ny jawor. Kiedy zniknął im z oczu, Pibble przypomniał sobie Ewę.

Siedziała na tapczanie koło Robina, który zaczynał się wiercić.

Jeszcze parę minut, pomyślał detektyw, a zrobi coś, żeby zwrócić na siebie uwagę. Ewa siedziała spokojnie, jak zawsze, ale oddychała głęboko. Twarz miała bez kropli krwi, delikatne wargi sine. Wyglą-

dała jak medium w transie.

Rozdział IV

– Do widzenia, mamó. Do widzenia, papo. Dbajcie o siebie i nie róbcie nic, co by mi się nie podobało.

– Bądź ostrożna, kochanie.

Jakie to typowe dla mamy! Mówi tak, jakby miesiąc w dżungli z 67

bandą dzikusów i chorym lotnikiem to było przejście na drugą stronę Prince Street. Ewa patrzy uważnie na rodziców, bo wie, jak zawodna jest jej pamięć. Na pewno nie zapomni ubrania papy, ale po miesiącu może już nie odtworzy jego rysów. Twarz bardzo szczupła, z niedo-rzeczny wiechetkiem rudej koziej bródki, z niedużego nosa złazi, jak zawsze, skóra, oczy jasnoniebieskie jak porcelana Wedgwooda, raczej wąsko rozstawione, co, łącznie z pochylem głowy charakterystycznym dla uczonego księdza, nadaje mu taki wygląd, jakby przed chwilą właśnie zgubił binokle. To łatwe. Ewa próbuje wbić sobie w pamięć zarys jego wysokich kości policzkowych i drobnych, miękkich ust. Po raz pierwszy w życiu zwraca uwagę na jego uszy, nie umie ich opisać, więc odczuwa głęboki zawód, którego nie czuje, nie potrafiąc scharakteryzować jego osobowości, potężnej a nie-uchwytej. Od dawna uznaje ją za tajemnicę.

Z mamą sprawa łatwiejsza, pewniejsza. Wiadomo, jaka jest ta siostra szkockich prawników, wypełniająca swoje obowiązki wobec Boga i ojczyzny pod tym nieprzychylnym niebem. Wciąż piękna, choć trochę pożółkła od chininy, ale nie jakąś niezwykłą pięknoscia.

Tak efektowną czyni ją sytuacja i na wpół męski strój: hełm tropi-kałny, męska koszula, spodnie do konnej jazdy. W Edynburgu, w jej własnym środowisku, jest na pewno kilkanaście podobnych do niej pań. Każda zabiegając o to, żeby dwie uncje masła starczyły na tydzień, zachowuje taki sam spokój,

jaki ona okazała wczoraj wieczorem, kiedy Bob się upił. Co sprawia, że jest inna, rzeczywiście inna od nich? Ewa rezygnuje ze znalezienia odpowiedzi i po prostu wpa-truje się w matkę uważnie – jej oko i mózg to aparat fotograficzny, 68

nawet na zakończenie mruga gwałtownie, jakby naśladowała mi-gawkę.

Papa mówi:

– Chwileczkę – i idzie do chaty. Wraca z książką w ręku. – My-

ślę, że może ci się to przydać.

– O, tato, będę jej strzegła.

– Pamiętaj, ci ludzie nie mają tych samych ideałów, ale ich sposób myślenia jest trochę do naszego podobny. Pomagaj Aronowi, w czym będziesz mogła.

Ewa otwiera plecak i upycha koszulę, robiąc miejsce na książkę, żeby się nie pogniotła. Ojciec nie gromadzi przedmiotów, ale ta książka to jedna z rzeczy, które najbardziej ceni – przede wszystkim dlatego, że kształtowała i umacniała dzieło jego życia, a trochę też ze względu na słowa, nagryzmołone na pierwszej stronie: „Z wyrazami szacunku – Bronisław Malinowski”.

– Do widzenia, kochani.

Ewa obraca się, plecak ciężko kołysze jej się na ręku. Bob czeka, blady, ale dziarski. Nic nie niesie.

– A więc dla bezpieczeństwa musimy się rozdzielić – zagaduje.

– My wszyscy na pokład Arki Arona. Ale mamy przecież Noego, któremu moglibyśmy ją powierzyć.

– Obawiam się, że Noe jest za stary i za głupi – szepce Ewa.

Bob śmieje się. Reszta osób z arki stoi w ponurym milczeniu.

Kobiety dźwigają więcej niż mężczyźni. Wychodzą gęsiego z polan-ki. Aron prowadzi ich po niemal niewidocznych ścieżkach myśliwych. Nikt prócz Boba i Ewy nie robi najmniejszego hałasu. Posuwają się wolno i chociaż idą już cały ranek, są dostatecznie blisko, żeby usłyszeć, gdy rozpoczyna się ogień. Ewa myśli, że to puka dzięcioł, dopiero po chwili orientuje się, że to dalekie strzały z 69

automatu. Wszyscy stają. Aron sprowadza ich ze ścieżki wprost w dziewiczą puszcę. Schodzą w dół, przedzierając się przez zaslonę pnączy jak mrówki przez płataninę traw. U stóp zbiega napotyka potok i jego korytem Aron prowadzi zbiegów. Kiedy ponownie wspinają się pod górę, Bob mówi:

– Mam nadzieję, że tam na dole nikt nie wie, gdzie idziemy. Ja-pońce umieją torturować.

Ewa stąpa ostrożnie po śliskich kamieniach wśród szumiącej wo-dy, odpędzając od siebie wszelkie

myśli i wspomnienia. Dobrze, że fotografia nie wyszła.

Rozdział V

Do licha, myślał Pibble, czy naprawdę musimy wywlekać tę starą śmierdzącą historię? X rozwała Y czaszkę o północy, a w południe wszyscy są nieszczęśliwi z powodu czegoś, co się zdarzyło dwadzie-

ścia kilką lat temu. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. O mało nie powiedział tego głośno. A właściwie dlaczego oni wszyscy nie zwia-li do puszczy i tam się nie ukryli? Musi zapytać Ewę, kiedy przyjdzie do siebie. Tymczasem trzeba pełnić dalej przykry obowiązek prowadzenia śledztwa.

– Melchizedechu, może pójdziemy obejrzyć chatę mężczyzn?

– Jak pan sobie życzy, panie władzo.

Najwidoczniej Eliasz także musi iść z nimi. Wchodzili na schody z systematyczną powolnością ludzi starych, ale bez widocznego wysiłku. Przypuszczalnie Aron był od nich jeszcze starszy. Pibble 70

nie zauważył, żeby zrobiło na nich wrażenie miejsce, w którym napadnięto Arona, ani też kredowe znaki wskazujące drogę, jaką odbył czołgając się rozpaczliwie. Dlaczego szedł na górę? Czyż nie powinien zejść na dół do Ewy po ratunek? Nie warto się nad tym zastanawiać. Prawdopodobnie w męce konania, pogrążony w mroku, ogłuszony i krwawiący, nie wiedział nawet, co robi.

Górny podest był niski, znajdował się pod okapem. Z pięciorga drzwi tylko dwoje miało klamki. Na jednych wymalowany był czarny wojownik dzierżący falliczną pałkę – w tym samym stylu, co wielkie malowidło Paula, ale bardziej prymitywny w wykonaniu.

Eliasz sięgnął ręką pod sweter i wydobyl zwój rzemienia, szarpnął za koniec, aż wyskoczyła skórzana sakiewka – podobnie jak kormorany zwracają kęski jedzenia karmiąc młode. W sakiewce był klucz.

Eliasz splunął na wskazujący palec prawej ręki, nakreślił nim linię w poprzek progu, następnie otworzył drzwi. Pibble wszedł pierwszy.

Było tu ciemniej niż na klatce schodowej i śmierdziało – nie wil-gocią ani czymś zjełczalym jak w brudnych mieszkaniach ubogich starych ludzi, ale mieszaniną mocniejszą, choć równie wstrętną.

Czuło się tu piwo, na pewno, i coś podobnego do curry, i jeszcze jakiś zwierzęcy, mięsny zapach.

– Czy nie ma tu światła? – zapytał.

Melchizedech obrócił się, pochylił nad poręczą i ryknął ze schodów:

– *Falagu kirraputi mili Ismael.*

Po chwili Fernham krzyknął z dołu:

– On mówi, że wołają go na górę, żeby zapalił światło. Czy go puścić, panie inspektorze?

71

– Przyślijcie go tu.

Po dłuższej chwili dało się słyszeć chrząkanie i ukazał się naj-grubszy staruch. Bez słowa splunął na palec, jak Elias, nakreślił

linię w poprzek progu i wszedł w mrok. Usłyszeli trzask zapalniczki – w jej ciepłym blasku czarna postać grubasa majaczyła jak zjawą z bajki. Po chwili rozbłysł jaśniejszy, bardziej żółty chwiejny płomy-czek i grubas przechodził od alkozy do alkozy, trzymając w ręku jasny stożek i rozniecając podobne światełka. Pibble wszedł do środka i przyjrzał się pierwszemu światłu: była to domowej roboty świeca, wydająca jeszcze jedną nieangielską woń.

Nachylenie belek podpierających dach rzeczywiście nadawało temu pomieszczeniu wygląd chaty. Pibble przeprowadzał poszukiwania przechodząc przez sterty pościeli. Izba była obszerna, bo druga jej połowa rozciągała się po przeciwnej stronie klatki schodowej.

Podzielono ją na alkozy – czy też boczne kapliczki, wznosząc przepierzenia z najróżnorodniejszych materiałów: falistego azbestu, blachy, puszek po kawie, dykty, tektury, brystolu, starych drzwi, leżaków, linoleum. Każdą zdatną do pomalowania powierzchnię pokrywały obrazy utrzymane w tym samym stylu co drzwi, przedstawiające przeważnie myśliwych z łukami i dzidami, ale na paru widać było mężczyzn tańczących wokół ogromnego zielonego węża.

Nigdzie jednak nie namalowano kobiet. W jednej alkowie stały wielkie gliniane garnki, z których rozchodził się piwny zapach. Z

największego dobywało się łagodne pluskanie. W innych alkowach mieściły się jak gdyby przybytki kultu, z rzeźbami na metr wysoki-mi. Wokół rzeźb leżały przedmioty, które Pibble uznał za dary ofiar-ne: złamany papieros, tabliczka czekolady, kawałki materiału, 72

pomarszczone jabłka, widelec, spleśniałe kawałki surowego ciasta, spodeczek, krzyż z pomalowanych patyczków. Największa z bocznych kapliczek zawierała pnie starych drzew... Nie, to prymitywne bębny! Pibble ledwo się oparł chęci uderzenia w jeden z nich, aby posłyszeć ich odgłos. Ale tylko wydobyl latarkę i upewnił się, że nic nie ukryto w instrumentach. W oddzielnym pokoiku, na dalekim końcu, znajdowały się prysznic i ubikacja, utrzymane czysto i oświetlone naturalnym światłem, w przeciwieństwie do reszty pomieszczenia, gdzie okna zasłonięto kwadratami tektury.

Zawrócił ku drzwiom, idąc w mroku niedostatecznie rozświetlonym padającymi gdzieniegdzie kręgami nikłego blasku. Skierował

latarkę na środek sufitu. Aha, jest zupełnie dobre gniazdko elektryczne z kablem biegnącym po belce i kończącym się przy drzwiach. Wszedł na podest.

– Fernham! – wrzasnął.

– Słucham! – dobiegł go ryk z dołu.

– Przyślijcie tutaj kogoś z paroma stuświecowymi żarówkami.

Pani doktor musi mieć je w zapasie.

– Według rozkazu!

Po dłuższej chwili na górę wdrapał się Robin z żarówkami firmy

„Mazda”. Przy drzwiach chłopiec wykonał zupełnie inny ruch, taki, jakby kreślił płynne ósemki, a zrobił to tak niedbale, jak przewodnik przyklękający w katedrze.

– Czy mógłbyś znaleźć mi krzesło, Robinie?

Chłopiec skoczył do drugich drzwi, mających klamkę, i wrócił z lekkim krzesłem koszykowym, dopiero w ostatniej chwili przypominając sobie, że maść ociężale. Pokój w blasku nie osłoniętej żarówki 73

wydał się inny, mniejszy, nie tak tajemniczy, jakiś załosny. Wałące się przepierzenia wyglądały jak porzucone dekoracje teatralne. Kapliczki skurczyły się i straciły swój charakter, zmieniając się w zbiorowiska rupieci. Pibble przesunął krzesło w drugi koniec pokoju, znalazł inne gniazdko i prowadząc dalej dzieło profanacji zapalił

nową żarówkę. Niektóre rysunki zachowały prymitywną siłę ekspresji, niektóre nawet przez to oświetlenie zyskały, bo wyraźnie wystą-

piły nieprawdopodobna wprost jaskrawość barw i wspaniałe wyzyskanie nierówności powierzchni oraz nieprzyzwoitość pewnych szczegółów (zwłaszcza w tańcach wokół zielonego węża). Pośłania też nabrały bardziej egzotycznego charakteru: widać było, że nie leżą na nich zwykłe pledy, tylko zniszczone zasłony o wspaniałych barwach, strzępy liliowych koronek, afrykański płaszcz z kudłatej skóry zwierzęcej, serwety koloru zieleni morskiej, szale, wyłysiała skóra tygrysa – jak gdyby niepotrzebne resztki materiałów wyrzucone przez wielkoluda. Pośłania wyglądały schludnie, mieściły się w wyznaczonych granicach, koło każdego stał wiklinowy koszyk pełen ubrań oraz tekturowe pudło z jakimiś innymi rzeczami. W pokoju, poza koszami, pudłami i pośłaniami, nie było miejsca, gdzie można by coś ukryć.

Robin zniknął, pewno wrócił do swojej książki, ale trzech staruchów dalej stało w drzwiach. Ministerstwo Elektryczności nie zdoła-

ło ani odrobinę rozjaśnić ich egzotycznej czerni. Stali zupełnie spokojnie, nie poruszając nawet głowami, i tylko ruch oczu zdradzał, że go śledzą. Ten spokój, w połączeniu z ich niezwykłą tuszą (tworzyli razem zwarty prostokąt ciał, szerszy niż wyższy), sprawiał, że wydawali się tak dalecy i obcy, jakby nie byli w ogóle mieszkańcami tej ziemi, ale najeźdźcami z odległej planety. Pibble zastanawiał się, 74

czy to wrażenie obcości jest wynikiem ich świadomego wysiłku, czy przez zbiorową hipnozę starają

się wyrzucić go ze swego świata, przepędzić i jego samego, i tę bluźnierczą jasność światła elektrycznego. Ale nawet jeśli tak, to on się tym nie będzie przejmował. Podeszedł do nich.

– Melchizedechu, muszę przeszukać te posłania, ubrania i pu-dła. Czy może wolelibyście, żebym czegoś nie dotykał?

– Niech pan rewiduje, co trzeba, panie władzo.

Pibble posuwał się wzdłuż pokoju, rozrzucając posłania i starannie wszystko przeglądając. Plama krwi, nie zauważona w mroku schodów, mogła zostać przeniesiona z bielizny mordercy na jego pościel. (Jednakże Pibble nie wiązał z tym wielkich nadziei, wydawało mu się nieprawdopodobne, żeby ktokolwiek mógł podjąć ryzyko obudzenia śpiących w tej samej sypialni i zacząć się w ciemno-

ściach, aby zamordować starego wodza.) Posłania były czyste i nie śmierdziały. Tak samo ubrania. Każde z pudeł zawierało ostry nóż, tytoń i zbiór jakichś dziwnych zabawek czy ozdób. Przeszukiwanie pokoju zabrało Pibble'owi dobre dwadzieścia minut i nic nie znalazł.

Zatrzymał się w końcu przy pachnących piwem dzbankach.

– Co to takiego, Melchizedechu? – zawołał.

– To *kava*, panie władzo. Kupujemy w barze piwo i doprawiamy je po swojemu. To nie jest taka sama *kava*, jaką przyrządzaliśmy w wiosce, ale zaspokajają nasze potrzeby. Najpierw czyni nas szczęśliwymi, a potem usypia.

– Usypia?

– Tak, panie władzo. Nasze kości są stare i bolą nas stawy, więc chodzimy po kolei do doktora i mówimy, że nie możemy spać, a on 75

zapisuje tabletki. Dodajemy je do *kawy* i śpimy jak młodzi ludzie.

Inspektora ogarnęła szalona złość na Grahama. Więc najpierw ustala się, że morderca nie mógłby wyjść z tego pokoju, ponieważ by innych pobudził, a potem okazuje się, że wcale tak nie jest, bo tych innych uspił Morfeusz w tabletkach, do czego zbrodniarz, jeżeli działał z premedytacją, mógł się przyczynić. Rozmyślając nad tym Pibble wpatrywał się w podłogę. Solidna. Charakterystyczne dla budowniczego tego domu, że deski na poddaszu są równie szczelnie dopasowane jak parkiet w salonie. Ale chyba nie tu... Detektyw ukląkł i zaczął podważać róg deski najpierw paznokciami, a potem śrubokrętem przy scyzoryku. Odskoczyła półmetrowa deska. Co znaczy wprawne oko! W zagłębieniu znajdowały się pudełeczka apteczne z napisem: „Pan Ku: dwie tabletki przed snem”, a także torebki i paczuszki z ziołami, drożdżami i nie dającym się zidentyfikować proszkiem oraz dzbanek z melasą i dwie drewniane łyżki.

Wyćwiczone oko dostrzegło wkrótce jeszcze trzy takie schowki.

Pierwszy był pusty, drugi zawierał zapas robionych w domu świec, w trzecim, położonym trzy metry

od drzwi, niezupełnie na środku, ale trochę bliżej jednej z „kapliczek”, stała misa wypełniona płynem, w którym moczył się jakiś materiał. To stąd wydobywał się ów mię-

sny zapach. Pibble rozpoznał go nieomylnie, gdy znalazł się blisko.

Z takim zapachem spotkał się ostatnio w pewnym eleganckim mieszkaniu przy Kensington High Street, gdzie spekulant giełdowy wpadł

w szał i w gościnnej sypialni posiekał w kawałki szwagierkę – no, sama sobie winna, bo mieszkając u niego dwa lata za darmo bez przerwy wtrącała się w jego sprawy. Nie byłaby rada, gdyby 76

dowiedziała się, że jej krew pachnie zupełnie tak samo jak krew najczarniejszego z czarnych ludzi, jakich znał Pibble.

– Co to jest, Melchizedechu?

– Misy używamy do naszej *kavy*. A reszty nie znamy.

Głos zabrzmiał tuż nad głową detektywa. Pibble spojrzał w górę.

Do licha, ależ oni się cicho poruszają! Trzech staruchów stało nad wyrwą – trzy krępe postacie pochylone nad nim zdawały się grozić, że runą jak stare domy i go zmiażdżą. Zerwał się pospiesznie i natychmiast poczuł się bezpieczniej.

– To, co nazwaliście „resztą” – powiedział – to mieszanina krwi z wodą, w której moczy się koszula. Do kogo ona należy?

– Skąd mamy wiedzieć? Jest tu wiele podobnych koszul.

Rzeczywiście. Była to szara koszula RAF-u. W każdym koszu znajdowała się przynajmniej jedna, a na dole widział kilku mężczyzn tak ubranych.

– Izmaelu – powiedział. – Muszę tu zostać. Czy mógłby pan zejść i powiedzieć któremuś z policjantów, żeby do mnie przyszedł?

Grubas majestatycznie zszedł na dół.

– Czy nikogo z was nie uderzył ten zapach? – zapytał Pibble. –

Poczułem go, gdy tu wszedłem, a słyszałem, że Ku obdarzeni są bardzo dobrym powonieniem.

– Czuliśmy go – powiedział Melchizedech. – Po pana wyjściu sprawdzilibyśmy, co to takiego.

– Ale czy nie czuliście go wcześniej?

Milczenie.

– Myślę, panie władzo, że kiedy człowiek się budzi, powietrze, które wdychał przez całą noc, wydaje mu się dobre.

Tak, to możliwe. Kiedy namyślał się nad następnym pytaniem, Strong z tupotem wszedł na schody.

– Idźcie do budki telefonicznej i połączcie się z laboratorium.

Niech tu przyjdzie jeszcze raz fotograf i ktoś do pobrania próbki krwi. Pójdziecie sami na lunch, a potem zluźujecie Fernhama.

– Tak jest, panie inspektorze. Mam spis dla pana inspektora.

Dałem Fernhamowi.

– Dobrze. A więc idźcie. Eliaszu, proszę zamknąć drzwi na klucz. Chwileczkę, czy nie ma tu więcej takich obluźowanych de-sek?

– Znalazł je pan wszystkie. Jest pan świetnym policjantem.

Izmael postawił trzy do jednego, że nie znajdzie pan żadnej, jestem więc o trzy szylingi bogatszy.

Na te słowa Izmael wdrapał się ciężko na ostatnią kondygnację schodów i trzech staruchów zajęło się wymianą trzypensówek. Bardzo to miłutkie, pomyślał detektyw, ma wywołać wrażenie, że są zwykłymi ludźmi, pomimo swej nieprzyjemnej obcości i dziwnej atmosfery panującej w chacie mężczyzn. Zbyt miłutkie? Może uda-ne? Dobrze obmyślona sztuczka mająca zręcznie przekonać o ich nieszkodliwości i wzbudzić w nim poczucie bezpieczeństwa? Jednak czasem spotyka się na scenie kogoś, kto gra Irlandczyka, a potem okazuje się, że to naprawdę rdzenny Irlandczyk, albo słyszy się woj-skowego, który przeciąga szeroko samogłoski, jak robią to w In-diach, a który rzeczywiście urodził się w Pendżabie i grywał w polo z księciem Gloucester. Może tak jest i z nimi. Trzeba zapytać Ewę, czy lubią hazard.

Przyszło mu na myśl jeszcze jedno pytanie.

– Jak wybieracie nowego wodza?

– Okrzykami – odpowiedział Melchizedech. – Mężczyźni gromadzą się w chacie i...

– Nie – zaprzeczył Eliasz. – Tak robimy, gdy znana jest wola starego wodza. Tym razem musimy rzucać patyczki...

– Patyczki? – wrzasnął Izmael. – Kiedy nie znamy zabójcy?

Zapominasz, że...

– Ja zapominam? *Karavlu! Inakai disudu! Damada ni...*

– *Salaboni kani kara kalata firindi nun...*

– *Kalata givariju pirn! Sola danu ni goparigoru lava.* – Pibble miał uczucie, jakby go zamknięto w dzwonnicy podczas uroczystej procesji. Rozbrzmiewała kanonada potężnych głosów wzmocnionych rezonansem szerokich klatek piersiowych. W taki zapewne sposób pierwsi ojcowie dyskutowali o naturze Trójcy, brody im się trzęsły, nosy zbliżały do siebie, mięśnie twarzy nabrzmiewały pasją.

Tylko że owi święci mężowie nie mieli twarzy koloru i mięsistości arbuza. W każdym razie widoczne było, że nikt nie mógł popełnić morderstwa licząc, że odziedziczy godność wodza. Fernham wbiegł

po schodach z wyciągniętą pałką, jak jednoosobowy oddział przeznaczony do tłumienia rozruchów. Pibble podniósł w górę oba kciuki i policjant zatrzymał się dysząc ciężko. Teologiczna kłótnia ucichła nagle jak piorun, który się przetoczył za dalekie góry, i trzech męż-

czyźni zwrócili się do detektywa. Melchizedech wzruszył ramionami.

– Musimy zapytać Ewę – oświadczył. – On będzie wiedział, jak mamy wybrać nowego wodza.

– Poniżające – sapał Izmael. – Poniżające.

79

– To pewno był pokój Arona. – Pibble pokazał na drzwi, zza których Robin przyniósł krzesło. Przyglądał się, jak Eliasz wyciąga z kieszeni blaszankę z tytoniem, wyjmując z niej szczyptę proszku, rozsiewa go na progu i wciera stopą w podłogę. Dokonał znów rytuału zamykania drzwi sypialni z kluczem, portmonetką i zwojem rzemienia, po czym zajrzeli do pokoju zmarłego wodza.

Przypominał sypialnię małej dziewczynki, z tapetą we wzorki z róż i pomalowanym na biało żelaznym łóżkiem. W głowach łóżka wisiał nawet święty obrazek, tylko że nie głosił: „Cały świat jest promienny i piękny”. Było to dzieło Paula „Ukrzyżowanie”, w tym samym wyszukanym stylu, co jego płonąca wioska. Wszystkie postacie były sztywne, jak na szrudłach, ale wiadomo było, kto jest kto. W środku stali apostołowie, uczniowie i Matka Boska, a nad nimi zawisł konający Chrystus. Wszyscy byli w tonacji pomarań-

czowej. Zewnętrzne koło tworzyli żołnierze, gapie, urzędnicy, kapłani. Nad nimi wisieli dwaj łotrzy. Ci byli czarni. Pibble poczuł się znieważony. Oszukano go. Jakże mógł się zorientować, czy ten obraz dlatego takie wywarł na nim wrażenie, że dopiero co oglądał

inny obraz Paula, przedstawiający rzeź niewiniątek? Czy też rzeczywiście tkwiła w „Ukrzyżowaniu” absolutna siła talentu? Chwylił

go nerwowy kurcz, taki jak co wieczór w momencie zasypiania.

Odwrócił się, żeby zobaczyć, jakie wrażenie wywiera ten obraz na trzech mężczyznach. Choć może

do niego przywykli?

Ale oni odeszli, wysliznęli się cichutko i właśnie schodzili po schodach. Pibble wrócił do pokoju Arona. W szafie znajdowało 80

się trochę ubrań, na stoliczku przy łóżku leżało ilustrowane „Życie Jezusa”. Poza tym nie znalazł nic. Nawet obluźnionych belek. Usiadł

na łóżku i zamyślił się.

Jeżeli krew w misie okaże się krwią Arona, to znaczy, że zabił go jeden z tutejszych mężczyzn; dodał do *kavy* tabletek usypiających, potem wpadł w panikę, kiedy się pobrudził krwią, i próbował zaprać koszulę, zamiast pociąć ją w drobne kawałeczki i spuścić w klozecie.

Ale musiał ją bardzo zakrwawić, skoro woda była tak czerwona. I tylko koszulę? Coś tu nie gra.

A znów ta moneta... Czy był to tylko zbieg okoliczności i Aron w ten właśnie wieczór odkrył, że Caine oszukiwał przy rzucaniu monetą przed dwudziestu laty? A może wiedział już od czasu widowiska telewizyjnego – tego z białowłosą kobietą z Wapping – a teraz zamierzał wykorzystać to w sposób, który nie odpowiadał zabójcy: prawdopodobnie chciał położyć kres temu, co działo się w chacie.

Najpewniej mężczyźni nie przestrzegali nakazów religii chrześcijań-

skiej, nawet w minimalnym zakresie wyznaczonym przez Arona, a kobiety zgodnie z wymaganiami ojca Ewy. Lepiej zapytać Robina.

On zdaje się ma dystans do spraw plemienia Ku.

W każdym razie teraz musi niewątpliwie przeprowadzić rozmowy z poszczególnymi mężczyznami. Może byłoby dobrze poprosić Ewę o pewne informacje, co by oni mogli...

Ze schodów dobiegł tupot stóp z pewnością Europejczyka. Pibble wyszedł na podest pewien, że biegnie Fernham, by donieść o jakichś lokalnych kłopotach wywołanych jego opieszałością. Ale zjawił się Ned Rickard. Ostatnio był bardzo przepracowany i zmęczenie 81

wyryło jakieś żalosne piętno na jego urodzie jak z serialu dla kobiet.

– Jimmy, otrzymałem twoje wezwanie i już jestem. Dostałem trzydzieści trzy godziny wolnego i chcę je przespać, ale mogę ci poświęcić parę minut.

– Wiesz co, Ned, teraz to już chyba nie ma znaczenia. Przykro mi, że cię fatygowałem. Ale skoro już jesteś, będę miał do ciebie parę spraw.

Schodząc na dół zatrzymał się, aby porozmawiać z Fernhamem.

– Możecie ich teraz wypuścić – powiedział – ale mężczyznom nie wolno wracać do chaty, póki

chłopcy z laboratorium nie skończą pracy. Gdyby przyszli przed moim powrotem, to Eliasz ma klucz, a między legarami podłogi jest miska z krwią, wodą i koszulą. Niech sfotografują miskę i tę wyrwę, wezmą próbki roztworu i przekażą koszulę, gdzie należy. Powinni też zmierzyć ilość płynu, żebyśmy wiedzieli, ile w nim krwi – ktoś może o to zapytać. Zrozumiano?

– Tak jest, panie inspektorze.

Wyszli w majowe południe. Słońce dopiekało. Gdzieś gotowano coś z curry i czosnkiem. Ładniutka mała dziewczynka z czarnymi warkoczykami pisała „brudas” na zakurzonej bagażniku starego sportowego Consula, należącego do Rickarda. Pibble przeprowadził

kolegę na drugą stronę ulicy i odwrócił się twarzą do numeru dziewiątego.

–

Widzisz to otwarte okno – powiedział – które porusza wiatr, tu, nad gankiem? Znajduje się ono w połowie drugiego piętra. Czy dobry alpinista mógłby przedostać się tam z takiego samego okna w domu pod ósmym i ile czasu by mu to zajęło? Nie mówię o złodziejach, o zawodowcach, po prostu o amatorze, który przypadkowo jest alpinistą.

82

Rickard przechylił na bok głowę ukazując swój piękny profil i odrzucił czarno-granatowy lok znad czoła. Pibble próbował wyobrazić sobie siebie samego, jak przytulony do muru wspina się spieszenie po tej ozdobnej fasadzie. Poczul w dłoniach nerwowe drganie. Na murze jest w każdym razie dużo rur instalacyjnych i można się ich trzymać.

– Dwie minuty, przeciętnie biorąc – odpowiedział Rickard. –

Jeśli ten ktoś dużo by przedtem ćwiczył i nie bał się ryzyka, mógłby skrócić czas do półtorej minuty. Nawet do siedemdziesięciu pięciu sekund, przy bardzo dużej wprawie.

– A jeśli miałby pod dostatkiem czasu, czy to w ogóle byłaby sprawa łatwa, czy trudna?

– Wszystko zależy, jakiego to ryzyka wymaga. Jeżeliby ta rura ściekowa, ta na prawo w górę od tego twojego okna, utrzymała cię-

zar ludzkiego ciała, sprawa byłaby łatwa. Ale patrząc stąd nie mogę tego ocenić. Ja bym szedł dłuższą, okólną, drogą w górę do miejsca, gdzie krzyżuje się ona z dużą rurą wentylacyjną. Potem łatwiejszy kawałek wzdłuż gzymsu i nieco trudniejsze przejście do rynny i w dół. Jednak trzeba być na to zręcznym. A kogo masz na myśli?

– Och, to niezły łotr... chodź, sam zobaczysz. To druga rzecz, do której jesteś mi potrzebny. Poza tym chciałbym, żebyś mi powiedział, co jest złego z tą fotografią.

– Z którą?

– Zaraz ci ją pokażę.

W łukowato sklepionym przejściu do korytarza stały teraz puste butelki, dwie czyściutkie butelki czekające grzecznie na roznościela 83

mleka. Drzwi były otwarte, więc Pibble przeszedł przez wymalowany na wesoło korytarz i wsunął głowę do kuchni. Pani Caine siedzia-

ła sztywno wyprostowana na krześle przy stole i wpatrywała się w jeden w plakatów domu towarowego, co wyglądało jakby pogrążona była w religijnych praktykach.

– Czy możemy wejść? – zapytał Pibble.

Okrągła główka obróciła się momentalnie, ujrzeni w uśmiechu małeńkie ząbki. Refleks był szybki jak u lisicy spłoszonej w legowisku. Odpowiedziała szeptem.

– Sz... sz. Bob śpi. Miał ciężką... Co ty tu robisz, Ned?

– A więc zna pani inspektora Rickarda? – Pibble wypełnił głupią ciszę jeszcze głępszymi słowami. Ned wydawał się teraz nie tylko zmęczony, ale chory. Na policzkach wykwitły mu jaskrawoczerwone plamy, na górnej wardze wystąpiła duża kropla potu.

– Jak się miewasz, Sukie? – zapytał.

– Dobrze, tylko że tyję. Tak to jest w małżeństwie.

– Jak tam Bob?

– Piekielnie zmęczony. Wbił sobie do głowy, że jego przyszłość to jakiś tam szwedzki filtr, wziął go w agencję i nie chce tego rzucić. Ale ty, Ned, wyglądasz całkiem jak śledź. Może byś przyszedł do nas kiedyś wieczorkiem na kolację.

– Bardzo bym chciał, Sukie, ale na razie jeszcze nie mogę. Spę-

dzam wszystkie wieczory w Soho, deptając po piętach prześladowcom kobiet. Daruj więc, ale muszę już iść uciąć krótką drzemkę przed dzisiejszym wieczorem.

– Czy mogłabym zadzwonić do ciebie do pracy, Ned? Ty nie możesz do mnie dzwonić, bo wciąż nie zakładają nam telefonu.

84

– O każdej porze. Jeśli mnie nie będzie, zostaw wiadomość sierżantowi Burnaby.

– Do widzenia, Ned. Ucałuj swoją mamę.

– Do widzenia, Sukie.

Ned wyszedł. O, do diabła, pomyślał Pibble, dlaczego życie musi być takie okropne. A im piękniej coś wygląda, tym okropniejsze się okazuje.

– Ja też wychodzę, pani Caine – powiedział. – Chciałem tylko o coś zapytać pani męża, ale mogę z tym poczekać.

– Czy ma przyjść do Ewy i tam pana szukać, kiedy się obudzi?

– Tak, dobrze byłoby, żeby przyszedł. Jeżeli mnie nie będzie, któryś z policjantów powie mi, gdzie mnie może znaleźć.

– Do widzenia, panie inspektorze. Niech pan każe Nedowi się przespać, wygląda okropnie.

Ze starego gruchota Neda wydobywał się siny kłęb spalin. Ned rozgrzewał silnik doprowadzając go do odpowiedniej wibracji, wskutek czego tłumik stukał o ramę podwozia i całą okolicę wypeł-

niał głuchy krzyk bólu chorej maszyny. Pibble otworzył najbliższe drzwiczki i wśliznął się do środka.

– Strasznie mi przykro, Ned. Skąd mogłem wiedzieć. W każ-

dym razie w tej chwili wygląda, że Caine nie miał z tym nic wspólnego. Podwieź mnie za róg do budki telefonicznej, zadzwonię do Mike'a Crewe'a i, jeżeli będziemy mieli odrobinę szczęścia, uwolni on Caine'a od wszelkich podejrzeń. Jeżeli na razie się to nie uda, będę musiał zabrać ci jeszcze pięć minut snu. Tak naprawdę to nie masz służby dziś wieczór, co?

85

– Nie.

– W porządku. Skręć w prawo i na światłach znowu na prawo.

Sprzęgło najwidoczniej było także nie w porządku, ale Ned zdawał się nie przejmować jego drganiem na pierwszych kilku metrach.

Budka telefoniczna zajęta była przez dwie kilkunastoletnie dziewczyny o białym, tłustym makijażu i zniszczonych włosach. Po kolei chichotały w słuchawkę. Pibble zastukał w szybę i przyłożył do niej swój nakaz rewizji. Chichot ustał i ciemniejsza dziewczyna powiedziała coś do swej towarzyszki. Rozejrzały się po ulicy, naradziły i zaczęły nakręcać numer. Ten numer Pibble poznałby nawet we śnie... Dało się słyszeć ponowne pukanie w szybę. To Ned z uśmiechem dawał kciukiem znak dziewczynom, że mają wyjść. Zachichotały znów i opuściły budkę. Pibble wszedł i zobaczył, że słuchawka jest zdjęta z widełek.

– Jest tu kto? Tu New Scotland Yard 230 1212. Jest tu...

– Proszę wewnętrzny 458 – powiedział Pibble. Nigdy by nie dostał tak szybko połączenia, ani on, ani te dziewczyny, gdyby sprawa była naprawdę pilna.

– Mike? Tu Jimmy Pibble. Jak ci się powiodło rano?

– Miał pan rację co do tego domu noclegowego w Southampton. Służy mu on za pewnego rodzaju towarzyskie alibi. Gospodyni mówi, że to przyjemny pan, który ma zazdrosną żonę. Nie chce nic ukrywać przed policją. Trwa to od kilku lat, ale od miesiąca tam nie był. Inspektor Speer wyjechał do Essex, ale poszedłem do znajomego i on mnie skontaktował z facetem, który powiedział, że od kilku tygodni nie ma w obiegu Alfę 203. Najwyższa jej szybkość byłaby sto dziesięć, a jeżeli by ktoś jechał powyżej dziewięćdziesiątki, nigdy 86

by więcej tego samochodu nie dostał. Oczywiście nie mamy żadnej wiadomości z Melbourne ani z biura Australijskich Sił Lotniczych.

Im potrzeba miesięcy. Uniwersytet Londyński też zachowuje rezerwę, ale dziś po południu mam się spotkać z kimś w tej sprawie. Zostawiłem wiadomość dla inspektora Rickarda i znalazłem policjantkę, pracującą w ruchu ulicznym, która jest specem od historii Londynu. Wygląda na to, że pana ubrali w ładną sprawę. Czy mógłbym w czymś jeszcze pomóc?

– Nie, Mike, dziękuję. Starczy. Wpadnę tu jutro rano na godzinę, a jeśli do tej pory uda ci się wyjaśnić te sprawy, dostaniesz pu-dełko czekoladek. Porozmawiam teraz z inspektorem Rickardem, a potem niech idzie do domu się zdrzemnąć.

– Słyszałem, że bardzo mu tego potrzeba. Do widzenia, panie inspektorze.

Ned był w samochodzie, ale jeszcze nie rozpuścił jego nerwowego klekotu. Siedział ze wzrokiem utkwionym w spoczywające na kie-rownicy dłonie, twarz miał poszarzałą i zapadłą – poznaczoną tu i ówdzie sinymi cętkami, starą i złą. Pibble usiadł na tylnym siedzeniu, wprost nie mógł na niego patrzeć.

– Przepraszam cię, Ned – powiedział. – Co za przykry zbieg okoliczności. Szkoda, że nie wiedziałem.

– Nie twoja wina. Chociaż nie ma znowu tak wielu alpinistów i można było przypuszczać, że przynajmniej ją znam. No i jego. Czy jest już wolny od podejrzeń?

– Obawiam się, że nie. Powiedział mi, że spędził ubiegłą noc w pewnym hotelu w Southampton, a to nieprawda. Mnie się zdaje, że on mógł mieć jakiś motyw, żeby popełnić tę zbrodnię, chyba że 87

pani Caine kłamała. Czy mogłaby kłamać?

– Owszem.

– Hm. Przypuszczam, że zdobyłby się na taką wspinaczkę, o jakiej rozmawialiśmy w Osiedlu Flagga.

– Bob? Przenigdy. Nie wyszedłby nawet przez okno. Zabrakło-by mu zimnej krwi.

– A ja myślałem, że ma w sobie coś ze lwa. To właśnie ta druga rzecz, o którą chciałbym cię spytać. Widziałem go na fotografii w pozycji, jak mi się wydawało, bardzo niebezpiecznej i

– Znam tę fotografię. Widziałem, jak ją Sukie robiła. On był

niecałe dwa metry nad ziemią.

– Hm. Czy znasz go dobrze?

– Nikogo nie znam lepiej prócz mojej matki. Lepiej niż on zna samego siebie, o wiele lepiej. Jemu się już u mnie nazbierało. Zabrał

mi Sukie.

– Skoro tyle o nim wiesz, musiałeś wiedzieć też, gdzie mieszka.

– Tak. Przepraszam, Jimmy. Udawałem. Musiałem skorzystać z okazji, żeby ją zobaczyć. Rozumiesz, że nie mogłem tego zrobić na własne konto. Ale nie nalegałem, prawda? Czekałem przecież, aż sam mnie zabierzesz.

– No tak. Opowiedz mi o nim.

– Nie jestem dobrym świadkiem. Nie wiem nawet, czy nie mam urazu na jego punkcie. Ale muszę ci na samym początku powiedzieć, że on by nie miał odwagi rozwalić komuś głowy, Owszem, załatwił-

by to cudzymi rękami, i w dodatku ci ludzie uważaliby, że to Caine robi im łaskę. Tak czy siak spotkałem go pierwszy raz w Salisbury.

Pamiętasz, kiedy Dick Gurney skrewił i musiałem przejąć po nim 88

sprawę Furlougha? W papierach Dicka znalazłem notatki o tym facecie. Wspecjalizował się w podrywaniu kandydatek na aktorki i przekazywaniu ich Furloughowi. A Furlough współpracował z dziewczynami wysokiej klasy, mającymi klientów na wpływowych stanowiskach... (to także komplikacja, zdziwiłbyś się jaka). Wiele z nich tracił: jedne nie wytrzymały tego tempa i brzydły, inne znów nabierały poglądów, które nie odpowiadały Furloughowi, albo wychodziły za mąż, kilka w końcu zostało nawet aktorkami. W każdym razie Furlough wciąż szukał nowych talentów i zatrudniał tego łobu-za, aby je czarował, płacąc mu od sztuki. Pomyślałem sobie, że się z nim zobaczę i będę udawał, że chciałbym zostać tak samo zatrudniony. Prawdopodobnie szybko by się to skończyło, ale chłopaki Furlougha mnie nie znali, więc miałem szansę. Igrałem z tą pokusą i pewnego dnia... Chryste... zrobiłbym z nich miazgę. W każdym razie z tym facetem ułożyło mi się dobrze. To taki człowiek, w którego towarzystwie inni czują się szczęśliwi i dumni przez sam fakt, że zechciał zwrócić na nich uwagę. Rozmawiałem z nim o wspinaczce górskiej, bo to przyjemny i nieszkodliwy temat, i okazało się, że był

w Nepalu ze Standringiem i przeżył okropne chwile, gdy wracał po osunięciu się lawiny, a teraz już nie ma na takie rzeczy odwagi.

– Czy to była prawda?

Ned milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– Nie wiem. Nigdy nie przychodziło mi na myśl, żeby to sprawdzić. Wszyscy ludzie Standringa pochodzili z Australii, więc nie spotykaliśmy ich tutaj. To wiele mówi o Bobie. Pamiętasz, jak Dick Gurney z każdego nieszkodliwego obywatela potrafił zrobić bandziora? Skłonny byłem polubić Boba i uważać, że Dick przesadza, 89

więc zapytałem, czyby na jakiś weekend nie przyjechał do Walii i nie popróbował trochę niegroźnej wspinaczki. Myślałem, że jeśli jest łobuzem, to da się z tej strony poznać. Oczywiście Sukie też przyjechała, no i stało się.

– Tak po prostu, w jeden weekend?

– Tak. Wiesz, on potrafi to robić, tak samo jak są kobiety, które to potrafią. Oddaje duże usługi Furloughowi, chociaż doszły mnie słuchy, że nie jest między nimi tak znów cacy. Bob musi stanowić słaby punkt w tak zwartej organizacji jak ta i podejrzewam, że już nieraz złamał ich reguły i ostrzegali go, że następnym razem będzie miał poważne kłopoty. W każdym razie w przeciągu tych trzech dni odebrał mi Sukie, choć wcale nie zauważałem, żeby się o to specjalnie starał. A ona nie jest przecież lekkomyślną trzpiotką. Ma mocny charakter i jest jedną z najlepszych alpinistek, jakie znam. Czy wiesz, Jim, co decyduje o tym, że ktoś jest dobrym alpinistą? Nie odwaga, nie siła, nic z tych rzeczy, które widzimy na pokazach gim-nastycznych w telewizji, choć to wszystko jest w jakiś sposób przydatne. Decyduje umiejętność przelania całej siły w jeden ruch mię-

śni... kiedy chodzi powiedzmy o zahaczenie paroma palcami o szcze-linę... gdy jednocześnie umysł i wola są w stanie równowagi, tak że skupienie się na tym bezpośrednim fizycznym wysiłku jest tylko częścią tego, co się dzieje. W przeciwnym razie chwytka człowieka skurcz, gdy znajduje się jeszcze daleko od miejsca, gdzie może być-

dzie mógł odpocząć. U Sukie to jest wrodzone. Gdyby wspinaczka była konkurencją olimpijską, byłaby w reprezentacji Anglii i wszystkie gazety nazywałyby ją wspinałą dziewczyną. A tymczasem została żoną alfonsa i gotuje mu w suterenie spaghetti. No, ale 90

gotować to ona też potrafi.

Pibble siedział przez chwilę w milczeniu, myśląc o tej zrównoważonej i pełnej zdecydowania kobiecie, która doskonale wie, gdzie znajduje się każda przyprawa w jej kuchni. Tak, to jest potrzebne, kiedy człowiek się wspina ku odległej o kilkadziesiąt metrów rozpa-dlinie skalnej, a chwila wahania może go zamienić w bezkształtną masę leżącą na piargach. Mąż musi być dla niej ciężarem i przeszkodą. Inspektorowi stanął przed oczyma sławny akrobata, Charles Blondin, przechodzący na linie ponad Niagarą. Tak, ona uważa, że to jest gwarancja szczęśliwego małżeństwa.

– Kiedy zmieniłeś zdanie co do Caine'a?

– Ach, to długa historia. Bob kręcił się u podnóża góry, na którą miał się wspinać, i wypowiadał różne mądre uwagi, a potem ruszył

owczą ścieżką, żeby się z nami spotkać na szczycie. Czy nie pomy-

ślałeś nigdy, Jimmy, że wspinaczka górską to najczystsza forma sportu? Nie ma w Europie takiej trasy wspinaczkowej, której od początku do końca nie mogłaby zrobić moja matka, idąc łatwiejszą drogą. Żadnych tam pucharów, żadnych sporów z trenerami, żadnych wywiadów, z reporterami (chyba że patronuje ci kolorowy dodatek do gazety). Po prostu zwisasz w jednym miejscu i sięgasz po następny punkt zaczepienia. W każdym razie w ten czy inny sposób, Bob spędzał z nami sporo czasu, krytykując Standringa i nie ukrywając, że nie ma już głowy do wspinaczki. A z tą fotografią to było tak.

Zjedliśmy już kolację – dlatego są takie długie cienie – i wszyscy trochę mieli w czubie, ktoś dokuczał Bobowi, on się nie dawał

oczywiście, ale Sukie wystąpiła w jego obronie... powinienem już 91

wtedy się zorientować... i zaklinała się, że on jest najlepszy z nas.

Uczciwie mówię, że to nie ja zacząłem, ale rozmowa przybrała nieprzyjemny obrót i w rezultacie Bob oświadczył, że zabierze nas pod Monk's Corner, żeby nam po prostu pokazać, że już go na to nie stać.

Ruszyliśmy więc – a spacer przełęczą górską o tej porze w Walii nie jest specjalnie zabawny – i Bob zaczął się wspinać. Miał wszystkie potrzebne rekwizyty – lubi to bardzo – gdyby go przenieść w wieki średnie, nosiłby kolczugę tak naturalnie, jakby się w niej urodził.

Monk ma początkowo zbocze łagodne, później całkiem strome, a podejście jest przez cały czas interesujące. Wiesz, bywają czasem podejścia trudne, ale jakoś nic nie dające. Robisz je i masz z głowy raz na zawsze. Ale jak jesteś w tamtych górach, musisz zrobić Moń-

ka, choćbyś go już nie wiem ile razy robił, więc Bob z pewnością widział, jak wielu z nas pokonywało pierwsze parę metrów zbocza, które było niemal jak drabina. Od zachodu padało jaskrawożółte światło. Bob podszedł do skały i pogwizdując wdrapał się na wysokość dwóch metrów, a potem, choć trudny odcinek był jeszcze daleko, odrzucił do tyłu głowę, zaśmiał się głośno i powiedział, że dalej nie może. Wtedy Sukie zrobiła to zdjęcie.

– Oszczędzę ci reszty opowiadania. W niedzielę musiałeś wracać, ale Caine i twoja Sukie postanowili zostać jeszcze jeden dzień, aż w górach zrobi się luźniej.

– Tak. Sukie miała przerwę między szpitalami. Pojechałem au-tostopem, a im zostawiłem Consula. Stary cwaniak z ciebie.

Rickard uderzył pięścią w klakson. Stary poczwiiec zatrąbił

zdziwiony, a Rickard mrugnął i wyłączył zapłon.

92

– A kiedy zorientowałeś się, że Caine to łajdak?

– Trudno powiedzieć. W listopadzie zacząłem prowadzić jego rejestr, choć byłem już tego pewien na kilka tygodni przedtem.

Wciąż jednak nie chciałem przyjąć tego do wiadomości. Owszem, ukradł mi Sukie, ale ja lubiłem... lubię tę małą i przykro pomyśleć, że rzuciła mnie dla tak nędznej kreatury. Jak gorszy zwycięża, człowiek się załamuje. Nie twierdzę, że uważałem... że uważam... że Sukie miała moralny obowiązek mnie wybrać, ale istnieją przecież pewne granice, a poza tym nie chciałem, żeby zmarnowała całą swoją cudowną młodość... ona jest z tych kobiet, które mają obowią-

zek być szczęśliwe.

Ale na wszelki wypadek kazałem Burnaby'emu go pilnować, nie mówiąc dlaczego. Przy naszych możliwościach nie było trudno się zorientować, kiedy i z kim bywa w pewnych barach i klubach, i z kim rozmawia. Początkowo usiłowałem przekonać samego siebie, że to pocziwina, że tylko miał nieszczęście wpaść w złe towarzystwo.

Nie chciałem ostrzegać go samemu, postanowiłem porozmawiać z jedną z dziewczynek. Teraz już nie żyje, na Boże Narodzenie po-

łknęła za dużo pigulek i zostawiła list, że nie czuje się na siłach, aby przeżyć nudę świąt z rodziną. A wybrałem ją dlatego, że miała bzika na punkcie prawdy. Diana Hazard, prawdziwe nazwisko Chloe Ma-ggott, zawsze je mówiła klientowi, zanim jeszcze ściągnęła pończochy. Każdy inny podałby coś bardziej melodramatycznego jako powód samobójstwa. Taka sama dziwka jak inne, może nawet gorsza, ale zwariowana na punkcie prawdy. Powiedziała mi wszystko o Bobie.

– Po czyjej była stronie?

– Neutralna. Nie należała do ludzi, którzy kogoś lubią czy nie 93

lubią, ale ceniła go jako fachowca. Miał talent i wykorzystywał go w sposób, który Chloe rozumiała, i to tak skutecznie, że budził jej podziw. Po tym, co mi powiedziała, nie mogłem już wmawiać w siebie, że jest tylko naiwny.

– A kiedy on odkrył, że jesteś policjantem?

– Chyba wiedział przez cały czas. Jest zdumiewająco spostrzegawczy, jeżeli chodzi o ludzi. Mógłbym się założyć, Jim, że wie o tobie więcej... o tym, co dzieje się w tobie... niż ja. Myślę, że to był

jeden z powodów, dlaczego poderwał Sukie. To przecież sprytny, okrutny i bezkarny sposób wystrychnięcia gliny na dudka. Może nawet w swej głupocie przypuszczał, że jeśli kiedyś wyciągnę coś przeciwko niemu, to będzie to wyglądało na osobistą zawiść. Nie zastanawiał się, co by Furlough o tym pomyślał... nie jest wcale inteligentny, nie potrafi przewidzieć skutków swego postępowania.

On uważa, że jak zamknie oczy, to nieprzyjemne konsekwencje go ominą i spadną na kogo innego. Słuchaj, Jim, po tym wszystkim i tak nie zmrużę oka, w każdym razie nie przed podjęciem jakiegś

akcji.

Muszę porozmawiać z moimi chłopakami. Może uda mi się dowiedzieć, co robił Bob ubiegłej nocy. Dla Burnaby'ego Bob stał się czymś w rodzaju hobby. Nie było go do północy, więc jest szansa, że coś wie. Wrócę koło trzeciej.

Pibble spojrział na niego. Był wciąż bardzo blady ze zmęczenia, ale już nie wyglądał jak konający w gorączce Keats. Nawet jego głos odzyskiwał już właściwe brzmienie. Pibble zastanawiał się, czy ma powiedzieć, że teraz, gdy znalazł tę miskę z krwią, cała sprawa z Caine'em straciła znaczenie. Do licha, on i tak będzie śledził Caine'a, biedaczysko, a w misce jest rzeczywiście niezwykle dużo krwi.

Trzeba jednak zbadać każdy najmniejszy ślad, już choćby dlatego, 94

żeby być w porządku wobec obrony.

– Dzięki, Ned, to bardzo ważne. Będę się starał osłaniać panią Caine.

– Osłaniaj sam siebie, ty sentymentalny kundlu. Sukie jest zupełnie... Ale ładnie, żeś o tym pomyślał. Na razie.

Consul szarpnął, grzechot tłumika urągał popołudniowej ciszy.

Pibble uświadomił sobie, że jego żołądek cicho, lecz nieustępliwie woła o należne mu o tej, porze kielbaski, ser i piwo. To byłoby piękne: godzina w spokojnym zakątku nad szaradą z *Guardiana*, sześć-

dziesiąt świętych minut, z dala od tego szalu, z dala od bagna przelanej krwi. Jednakże trudno trawić spokojnie, gdy sumienie gryzie...

Lepiej skoczyć pod numer dziewiąty, powiedzieć dokąd się idzie, sprawdzić, czy przyszli z laboratorium... a zresztą Fernham ma

„Przewodnik po barach” Stronga.

Laboranci zgrupowali się wokół wyrwy w podłodze w powodzi światła. Spojrzeli na niego, marszcząc czoła. Artyści, którym prze-rwano pracę twórczą. Można by ich wziąć za aktorów dawnej, mało-ekranowej telewizji, cały zespół stłoczony na półtorametrowej scenie. Pibble wyciągnął szyję i zerknął ponad ich ramionami. Ledwie zaczęli badać odciski palców. Świetnie, masa czasu na lunch. Spostrzegł wśród nich młodego człowieka z medycyny sądowej. Narwany, ale niegłupi, zaraz... jak on się nazywa... tak trochę dziwnie...

Pibble przesunął się ku niemu

– Wiecie już, ile jest tej krwi?

– Nie, panie inspektorze. Jeszcze nie.

– Wstyd, panie Thackerey. – (Aha, przypomniał sobie to nazwisko.) – Taki brak pasji w pana wieku. A gdybym postawił trzy 95

do jednego, że jest więcej niż łyżeczka od herbaty, a mniej niż kwarta, przyjąłby pan zakład?

– Miałbym stawiać jeden do trzech przeciw panu? Dwadzieścia do jednego, bardziej prawdopodobne. Nie, panie inspektorze, skoro już tak to pan ujmuje, mądrzej byłoby stawiać na jakieś pół kubka, pięć do jednego.

– Dziękuję. Jeżeli pan ma rację, to trochę za dużo tej krwi wyciekło, jak na rozbitą głowę. Czy wiecie, jaką on miał grupę krwi?

– Tak, panie inspektorze. Zerową.

– Nie na wiele to się przyda.

– Tak, panie inspektorze. Nie mamy szczęścia.

Pibble znów wyciągnął szyję. Odciski palców były teraz widoczne, szare na żółtej emalii miski. Wydawały się niezwykle delikatne i nikłe, kobiece. Pibble zszedł na dół i na półpiętrze spotkał Ewę.

Trzymała w ręku kołobrulion i plik kartek z kartoteki.

– Chciałabym, żeby pan coś przeczytał – powiedziała wymawiając słowa w sposób szalenie pedantyczny, z idealnie poprawnym akcentem. Teraz był już pewien, że to oznaka stresu albo zakłopotania. – Może będzie pan chciał to przejrzeć przy lunchu. Paul ma rację: nie zrozumie nas pan nie znając naszej przeszłości. Chociaż myślę, że jeżeli skoncentruje się pan na zagładzie Ku, może pan zatracić właściwy punkt widzenia. Mogę panu pożyczyć parę napisanych przeze mnie książek, ale obraz w nich zawarty jest też stronniczy, ponieważ, ze względów naukowych, pomniejszyłam w nich rolę, jaką odegrał mój ojciec. Najlepiej zrobię dając panu to.

Popchnęła ku niemu grubą broszurę dziwnie, jak na nią, niezręcznym ruchem i ciągnęła dalej.

– Znajduje się tu parę szkiców jego biografii i chociaż żaden 96

z nich nie jest dobry, w pana sytuacji mogą okazać się bardziej przydatne niż skończona praca. Nie umiem, jak Paul, zawrzeć wszystkich swoich doświadczeń w jednym dziele. Moja specjalność to raczej szczegóły.

Zaśmiała się jak dama z Edynburga, ale potem mówiła już mniej wyniosłym tonem.

– Tutaj są karty, które wyjęłam dla pana, i notatki dotyczące naszej sytuacji finansowej. Potraktuje to pan jako rzecz poufną, prawda?

– Oczywiście.

Przerzucił karty i znalazł tę, która była dla niego interesująca.

Ale zawarta na niej informacja okazała się niezrozumiała.

– Co to jest *monotropaic melanaema*? – spytał.

– Bardzo rzadka dziedziczna choroba krwi, spotykana tylko na Gwinei. Przy odpowiednim leczeniu, a zwłaszcza zachowaniu wła-

ściwej diety, nie występują żadne objawy, ale w złych warunkach atakuje system nerwowy i hamuje proces rośnięcia, dając rezultaty, jakie pan widział u Rebeki. Ona jest taka od dwunastego roku życia.

Mój ojciec próbował wytłumaczyć jej matce, że powinna ją specjalnie odżywiać, ale on nie uznawał przymusu. Choroba nie odbiła się na jej inteligencji. Rebeka pierwsza z dorosłych nauczyła się czytać.

– Tak i mnie się zdawało. Chciałbym jeszcze o jedno spytać, jeżeli pani ma czas. Jak zostanie obrany nowy wódz?

– Normalnie dokonano by tego przez aklamację, gdyż umierający wódz oznajmia swoje życzenie. Ponieważ stało się inaczej, jest jeszcze druga metoda, polegająca między innymi na rzucaniu obrzę-

dowych pałeczek, ale nie wolno się nią posłużyć, póki istnieje ewentualność, że mógłby zostać wybrany zabójca Arona. Pozostaje więc 97

przewlekły, ale interesujący ceremoniał – skomplikowane zawody w chełpieniu się dzielnymi czynami i bogactwem. Kandydaci przystę-

puje do tych zawodów po kolei i, jak w pokerze, każdy uczestnik musi przelicytować swego poprzednika, chwając się większymi osiągnięciami i stawiając do centralnej puli przedmiot większej wartości. Słabsi w końcu odpadają, bo albo zbraknie im cennych przedmiotów, albo dzielnych czynów, którymi mogliby się chwalić, a wtedy najdzielniejszy i najbogatszy zostaje wodzem. Bierze pulę i musi ją rozdzielić między członków plemienia, nie zatrzymując dla siebie więcej, niż włożył. Może rozdzielić pulę, jak zechce, tak aby związać ze sobą najmoźniejszych z plemienia.

– To trochę przypomina konwencję wyborczą partii republikań-

skiej. A czy pani może być wybrana?

– Mogłabym, gdybym zerwała związek z Paulem i się ożeniła. I Paul mógłby, oczywiście, czego bardzo pragnął Aron, chociaż nie sędzę, żeby rozmawiał na ten temat z kimkolwiek poza mną.

– Wygląda na to, że ten motyw nie wchodzi w grę: nikt nie miał

pewności, że zostałby wodzem.

– Nikt. Czy to wszystko?

– Jak na razie. Dziękuję pani bardzo. Czy może wie pani, gdzie mógłbym znaleźć któregoś z moich ludzi?

– Zdaje się, że pan Fernham jest w kuchni mężczyzn, na prawo w suterenie.

– Musiała pani zainstalować dwie kuchnie, kiedyście się tu wprowadzali?

– Trzy. Jest także niewielka kuchenka dla mnie i dla Paula. W

Gazowni myśleli, że to żarty.

– Wyobrażam sobie.

98

W suterenie, mimo zamkniętych drzwi, unosiły się jakieś egzotyczne smakowite zapachy. Wszyscy mężczyźni znajdowali się w kuchni, trzech młodzi przeglądali uważnie wyniki biegów w Parku Kempton, czterech najstarszych grało w kości, piąty mieszał coś w ogromnym garnku na gazowej kuchence. Fernham, oparty leniwie o ścianę, udawał, że obserwuje graczy, lecz w rzeczywistości gapił się na kucharza. Imienia tego Ku Pibble jeszcze nie znał, ale w myślach nazywał go Kłusownikiem, a to z powodu jego zielonej kurtki z tweedu, z ozdobnymi kieszeniami i klapami. Może pasowała kiedyś na jakiegoś jowialnego, postawnego ziemianina, ale obecnemu wła-

ścicielowi sięgała poza kolana. Gdy tak rozmyślał, Kłusownik zanurzył rękę w kieszeni i wyciągnął kilka papierowych torebek, obwąchał je po kolei, po czym szczyptę zawartości jednej z nich wsypał do gotującej się potrawy. Wsadził torebki z powrotem i zaczął grzebać w drugiej kieszeni. Zabrało mu to trochę czasu, ale wreszcie wyciągnął z niej jakieś drobne czarne niby to pajęczki i też je wrzucił do garnka. Pibble podszedł do Fernhama.

– Dobrze pachnie – powiedział. – Czy wiecie, jak to się nazywa?

Jeden z mężczyzn grających w kości, Elias, podniósł głowę.

– Nazywamy to potrawką.

Ujął kości prawą ręką, podrzucił je w górę, chwycił cztery na wierzch dłoni, zsunął je tworząc niewielki stosik, podniósł dwie, które spadły, podrzucił je na metr w górę, zgarnął stosik i chwycił tamte dwie w locie. Wydawało się nawet, że jeszcze na nie czeka.

Następnie powtórzył to samo lewą ręką. Czarne dłonie migały tak 99

szybko nad białymi deskami stołu, że nie widać było ich kształtu ani ruchu, tylko migający cień, jakby poruszanych wiatrem liści.

– Strong zostawił to dla pana, inspektorze.

Pibble spojrział na listę. Było na niej osiem barów. Po nazwisku właściciela następowały trzy kolumny cyfr, które, jak się okazało, oznaczały punkty za jedzenie, klientelę i standard. Hotel Dworcowy bił na głowę wszystkie inne. Przy nazwisku właściciela zaznaczono:

„Troskliwy gospodarz”, a dalej dopisano: „Kiedy się już wejdzie, wszystko jest w porządku”.

– Dziękuję – powiedział Pibble. – Jeżeli ktoś będzie miał do mnie jakiś interes, siedzę w Hotelu Dworcowym do drugiej.

Okazało się, że zna ten budynek, tę fantazję w cegle, z Mysimi Wieżami, replikę któregoś z zarzuconych projektów pałacu Ludwika Bawarskiego. Ten bigosik architektoniczny rozpychał się w kierunku ryczącej karuzeli na skrzyżowaniu Ring Road z czymś tam. (Inne było marzenie Pibble'a o barze: cichy kącik w bocznej uliczce, pro-wadzony przez milczącego starego człowieka, którego specjalnością jest wspaniałe piwo. Bar ten byłby pusty, kiedy by Pibble do niego zachodził, jeśliby nie liczyć dwóch pogodnych ramoli, grających w domino, a podporę finansów tej piwiarni stanowiłyby tłumy spragnionych, pracujących w tak szczególnym zawodzie, że musieliby tu gasić swe pragnienie wtedy, kiedy Pibble byłby zajęty swą pracą).

Detektyw, nie obiecując sobie wiele, wszedł do środka.

Piwo było wspaniałe, ser – ostry kanadyjski cheddar, kiełbaski od Harrisa ugotowane w sam raz, masło doskonałe. Detektyw zabierał się do czytania – dziwiąc się, że Strong nie awansował wyżej.

100

Jeżeli tak spełniał swe obowiązki zawodowe, jak spełnił życzenie swego przełożonego....

Kartki go zawiodły, zawierały suche fakty, nie było w nich barw życia. Okazało się, że starsi mężczyźni byli trochę młodszy, niż my-

ślał: Aron miał 58 lat, Melchizedech 54. Wszyscy zdawali się być ze sobą spokrewnieni: Lea była siostrą Izmaela, Eliasz był... Ach, do licha. Zabierze to do domu i wspólnie z żoną spędzą wieczór na kreśleniu drzewa genealogicznego Ku, może to ją trochę rozerwie.

Na arkusiku zatytułowanym „Finanse” przeczytał, co następuje: Otrzymałam dość duży spadek po matce, której dziadek po kądzieli był w połowie ubiegłego stulecia wziętym budowni-czym. Dzięki temu mogłam sprowadzić tu plemię Ku i zapewnić mu utrzymanie, co nie jest rzeczą tak kosztowną, jak może się wydawać, gdyż żyjemy oszczędnie, jeżeli nie brać pod uwagę opału. Dwóch mężczyzn, Jakub i Daniel, pracuje w komunikacji miejskiej i przynoszą razem do domu około 25 funtów tygodniowo. Dochody Paula z jego obrazów bywają bardzo różne, ale ostatnio dobrze mu się wiodło, w ubiegłym roku fi-nansowym zarobił niewiele mniej niż 20 000 funtów. Wszystko to, jak również większość dochodów z mojej własności ziem-skiej, przechodzi w ręce Zarządu Powierniczego, jaki ustanowi-

łam dla dobra plemienia. Doktor Kerway z King's College z Londynu i ja – to dwaj żyjący członkowie Zarządu. Aron był

trzecim.

Płacę pensję mojej starej niani, której nazwisko nie jest 101

chyba tutaj ważne, i zostawiłam jej pewną sumę pieniędzy w testamencie. Nie mam żadnych krewnych, jak stwierdziła pry-watna agencja detektywistyczna, której poleciłam to sprawdzić.

Pozostawiłam Paulowi wystarczającą ilość pieniędzy na utrzymanie, jeśliby talent go zawiódł. Reszta przejdzie w ręce Za-rządu Powierniczego.

O tym wszystkim nie mówiłam nikomu z plemienia, z wyjątkiem Paula i Arona. Mężczyźni uważaliby to za impertynencję z mojej strony, a kobiety uznałyby, że to nie ich sprawa.

Aron nie posiadał nic, z wyjątkiem paru rzeczy osobistych.

Nie mają wartości sprzedażnej, z wyjątkiem „Ukrzyżowania”, które Paul dla niego namalował. Wartość tego obrazu (ponieważ niezupełnie jest w stylu obrazów, które tak dobrze idą) trudno określić.

Jasne, pomyślał detektyw, ale nie o to mi chodziło. Żałuję, że nie pisze, jakie komorne płaci Caine i czy je płaci. I czy członkowie plemienia orientują się, jak bardzo Ewa ich wspomaga. Ile ją kosztuje to jej mrowisko za szkłem? Czy w ogóle zdają sobie sprawę z wartości pieniądza? Chyba muszą, skoro oglądają telewizję. A co...

ach, mniejsza o to! Spojrzał na świadectwo kultu ojca zawarte w niebieskim kołobrulionie. Nie był to żaden uporządkowany doku-ment. Pibble zauważył w nim trzy początki, około siedmiu rozmaitych fragmentów środka (niektóre zachodziły na siebie). Brakowało jakiegokolwiek zakończenia. Spozrzegł kilka stron tytułowych, które jednak zdawały się nie mieć związku z żadną z tych części.

Jeden z tytułów brzmiał: „Wielebny John Hennekey Mackenzie, pamiętnik”, inny: „Znaczek z Gwinei, napisała Ewa Mackenzie”, 102

inny: „Obyczaje ludzi, eksperyment antropologiczny, napisała Ewa Mackenzie”.

Znalazł kartkę z drzewem genealogicznym pisaną na innej maszynie i innym formacie papieru – zapewne owoce pracy owej agencji detektywistycznej. Przeprowadzali systematyczne badania dotyczące trzech generacji, a fragmentaryczne jeszcze dalej. Pradziadek Ewy po kądzieli – jak wskazywało drzewo genealogiczne – Efraim Flagg, budowniczy, zmarł w 1893, pozostawiając dwie córki, w tym jedną niezamężną. Niezbyt zadowalające rozwiązanie tej zagadki.

Może to znaczy, że Ewa jest właścicielką całego Osiedla. W każdym z tych jedenastu domków jest, powiedzmy, pięć mieszkań z przeciętnym komornym koło czterech gwinei tygodniowo (trudno sobie Ewę wyobrazić jako gospodynię kutwę wyśmiewaną przez dzienni-karzy), a utrzymanie tego budynku wzniesionego przez dumnego, solidnego pradziadka Flagga nie wymaga wiele pieniędzy. Pibble zastanowił się, czy Ewa coś o nim wie. Na pewno zostawił po sobie legendy – jak wieżyczki na budynkach – o tym, ile to pieniędzy po nim zostało. Jakies dziesięć tysięcy złotych funtów rocznie przed zapłaceniem podatków, może więcej. Czy wielu członków plemienia Ewa może wpisać na listę podatkową, jako będących na jej utrzyma-niu? Pewno Rebeke, może Robina i inne dzieci? Może Boba Caine-

'a? No, no!...

Posmarował ostatni kęs chleba musztardą, położył na nim prze-zornie zachowany trójkącik sera i jedząc kanapkę zaczął czytać.

Odniósł wrażenie, że Ewa próbowała wszelkich możliwych stylów, właściwych biografom.

...pod wieloma względami typowe dziecko szkockiej pleba-nii. Z tego źródła zaczerpnął swą romantyczną, a jednocześnie 103

praktyczną przedsiębiorczość, głęboką wrodzoną pobożność, wiarę w wartość pracy, nieugięte przekonanie o słuszności wła-snych pobudek. Ale skąd u tego typowego mieszkańca szkockich nizin wzięła się odrobina krwi celtyckiej, która sprawiła, że jego wiara miała charakter wizjonerski? Skąd się wzięła ty-powa dla ludzi Wschodu zdolność akceptowania dwóch pozostających w sprzeczności prawd? Jego szczere zrozumienie dla obcych mu sposobów myślenia i postępowania, zasadniczo nie spotykane wśród Szkotów? Jego duchowa pokora? Jego...

I tak przez kilka stron. Każdy rzeczownik abstrakcyjny miał swój odpowiednik w zaprzeczeniu. Prawie wcale nie podawała faktów.

Szkoła w wiosce nie była podobna do żadnej innej. Nie istniał przymus nauczania. Przychodzili zarówno dorośli, jak i dzieci; kobiety, dziewczęta i mali chłopcy siadali po turecku na podłodze po jednej stronie, a mężczyźni i młodzieńcy po drugiej. Ścieżką pomiędzy obu grupami chodził Mackenzie. Nie podejmowano prób pisania. Mackenzie twierdził, że pożytecz-niejsze i mniej męczące dla uczniów jest opieranie się na zaso-bach ich kultury przekazywanej ustnie, na ich wprost niewiary-godnej dla Europejczyka pamięci i głęboko zakorzenionym dą-

zeniu do tworzenia z faktów i wydarzeń schematów, odpowia-dających ich rytuałom. Kiedy jego córka kończąc trzynaście lat osiągnęła wiek dojrzały, zaczęła uczęszczać do szkoły, ale nie posiadając tych szczególnych uzdolnień nie dawała sobie 104

rady i musiała mieć wieczorem dodatkowe lekcje.

Typowa lekcja była rozmową w dwu językach, długą i cha-otyczną. Mackenzie był zdania, i może miał trochę racji, że obie strony uczą się nawzajem, ponieważ on się uczył (powoli, ale gruntownie) obyczajów i sposobu myślenia Ku. Jego przedwczesna śmierć była niepowetowaną stratą dla współczesnej antropologii, bo uniemożliwiła mu przelanie swej wiedzy na papier. Jakąż wspaniałą tworzyłoby to nadbudowę w stosunku do bardziej powierzchownych obserwacji i teorii jego kolegów!

Mówił na lekcji po angielsku i w języku plemienia Ku, ale nigdy mieszaniną tych języków. Pogardzał łamaną angielszczyzną uważając to za narzędzie kolonializmu i znamię rasy pod-ległej. Uczył ich natomiast, z dość dużym powodzeniem, po-prawnego mówienia po angielsku. Powtarzał dłuższe ustępy w obu językach, bo wierzył, że uczniowie zachowają w pamięci zdania angielskie, mogąc je porównać z odpowiednikami w ich języku. Początkowo rezultaty były skromne, ale potem metoda ta całkowicie zdała egzamin.

Pibble przesunął wzrokiem po zawilej analizie tych dziedzin obu kultur, które pozostają niedostępne wzajemnym doświadczeniom językowym. Zaczął czytać uważnie od miejsca, w którym uwagę jego zwróciło duże N, i G.

Ale co powiedzieć o celu jego pobytu na Nowej Gwinei, o pełnieniu posłannictwa chrześcijańskiego misjonarza? I znowu stwierdzić musimy, że jego wierzenia i metody były indywidualne, a zarazem eklektyczne. Zapewne szczęśliwie się złożyło, 105

że Kościół Szkocki nie wypracował instrukcji organizacyjnych dla misji w Nowej Gwinei. Jego zwierzchnicy pewno nie po-chwalaliby wszystkiego, co robił. Uważał, że im bardziej uda się zespolić chrześcijaństwo z obyczajami Ku, tym lepiej. Doktor Schroeder, misjonarz baptystów, działający w grupie wiosek o parędziesiąt kilometrów od Doliny, lubił pokpiwać z niego, mówiąc, że gdyby polowanie na ludzkie głowy leżało w oby-czajach Ku, Mackenzie uznałby to za obyczaj zgodny z zasa-dami chrześcijaństwa. Mackenzie śmiał się wtedy i mówił, że tylko w ten sposób może pracować. Wszystko, co robił, płynęło z prawdziwego szacunku dla każdej ludzkiej istoty oraz głębokiego przekonania, że system wierzeń każdego człowieka stanowi część jego istoty, a więc i część ogólnoludzkiej kultury.

Jeżeli, kierując się nawet najlepszymi pobudkami, wykorzeni-my te wierzenia i damy w ich miejsce najwznioślejszą wiarę, nawracany człowiek zostanie na wpół zniszczony przez ten proces, w najlepszym wypadku straci swą niezależność, a w najgorszym zostanie zupełnie zdemoralizowany. W końcu stare korzenie wypuszczą nowe pędy, wyciągając soki żywotne z nowej rośliny, która uwiędnie i zginie. W końcu stan twojej trzody będzie gorszy niż na początku.

Pibble ponownie przebiegł wzrokiem parę kartek, zawierających tym razem nieprzekonywającą, jego zdaniem, dyskusję o istocie nawrócenia. Miał takie uczucie, jakby czytał o jakiejś rozmowie, którą słyszał kiedyś i prawie jej nie pamiętał. Następnie spojrzenie jego padło na środek jakiegoś opowiadania, pewno odnoszącego się 106

do wcześniejszego okresu i napisanego... okropność... w historycz-nym czasie terażniejszym.

John idzie z wolna szerokim pasem ubitej ziemi, między domami. Całe plemię zebrało się, żeby go zobaczyć: mężczyźni w jednej grupie, kobiety i dzieci w drugiej. Pomiędzy nimi stoi wódz, a za nim siedzi z podkulonymi nogami kapłan z rytualnymi bębnami. Plemię wierzy, że ten kapłan z zazdrości ku ry-walowi, przez swoje śpiewy, uderzanie w bęben i magiczne układanie świętych kości sprowadził chorobę i śmierć na poprzednika Johna. W rzeczywistości poprzedni misjonarz zmarł na malarię, ale kapłan jest potężną istotą. John przemawia uroczyście do wodza, prosząc go, by mu pozwolił zamieszkać z nimi. Wita się uprzejmie z kapłanem i...

Jakaś ręka spada na ramię detektywa, ciężka jak ołów, i przerywa mu odpoczynek. Pibble wie, kto to jest, zanim tamten się odezwie.

– Czego się pan napije, panie władzo? Piwa? Mają tu dobre piwo.

Caine wziął kufel detektywa i skierował się do baru nienaturalnie długimi, władczyimi krokami. Stała tam leniwie spora grupka hała-

śliwych mężczyzn, ale on ich wyminął i został obsłużony pierwszy.

Pibble z niechęcią wyłowił z kieszeni dwa szylingi i dwa pensy.

Wcale nie miał ochoty na piwo, nawet najlepsze. Tyle że miał do pomówienia z Bobem. Caine szedł właśnie rozlewając bez przeprosin piwo na zamszowe buty jakiegoś gościa.

– Pozwoli pan jednak, że zapłacę za moje piwo. Nasza rozmowa będzie miała charakter urzędowy.

107

Przesunął w jego stronę monety. Caine przez chwilę milczał, następnie postawił piwo na stole.

– Aż tak źle? – zagadnął.

– Pan powiedział, że spędził ubiegłą noc w hotelu Turnera, przy Crerdon Road, w Southampton. Poinformowano nas w hotelu, że kiedyś dali panu alibi ze względów towarzyskich, ale że ubiegłej nocy pana tam nie było. Nie zamierzają składać policji fałszywych zeznań w ważnej sprawie.

Caine zaśmiał się wesoło, w kącikach oczu pojawiły mu się zmarszczki. Zdawało się, że nagle zaczęło go to bawić.

– Biedna stara mama Gittory – powiedział. – Musiała się przerazić, że po latach ma znowu do czynienia z glinami. Nie powinien był pan jej tego robić.

– Właściwie nie myśmy to zrobili. Muszę pana znowu zapytać, gdzie spędził pan ubiegłą noc.

– Naprawdę, stary, nie mam ochoty o tym mówić.

O, niedobrze. Lekki, ale szczery ton, roześmiane oczy, przekorne wykrzywienie warg – wszystko to

oznacza, że Caine ma ochotę się z nim podroczyć i że chce, by on o tym wiedział. W porywie gniewu, godnym uczniaka, powiedział najgorszą rzecz, jaka mogła mu przyjść do głowy.

– Nie szkodzi. Sami ją łatwo znajdziemy.

Do licha! Czyżby trafił? A może Caine jest nadąsany, bo nie podjął gry? W każdym razie odpowiedział takim tonem, jakby jego oszustwo wyszło na jaw.

– Czy pan, chce powiedzieć, panie władzo, że moje małżeństwo nie jest tak dobre, jak się wydaje?

– Jeżeli to prawda, może pan być pewien, że zachowamy to dla siebie.

108

Caine wziął kufel i podszedł do telefonu na przeciwległej ścianie.

Wyjął sześciopensówkę, nakręcił numer, nasłuchiwał przez dłuższą chwilę, po czym odwiesił słuchawkę. Znowu zaczął nakręcać... i przerwał. Wypił resztę piwa i skierował się ku drzwiom. Pibble dał

mu znak ruchem głowy, by wracał. Caine zawahał się, ale podszedł

do niego.

– Chciałbym wiedzieć jeszcze jedno – odezwał się detektyw. –

Czy w czasie pobytu pana w wiosce był tam ich kapłan? Nie mam oczywiście na myśli księdza chrześcijańskiego. Kapłan pogański, czy jak wy tam nazywacie religię, którą wyznawali, zanim zjawił się pan Mackenzie.

– Przez cały czas ciężko chorowałem, więc niewiele się pan dowie ode mnie. Ale był tam jakiś starzec, który w czasie nabożeń-

stwa grał na flecie. Nie mieli prawdziwych hymnów, jak „Ojcze, usłysz naszą modlitwę” i tym podobne. Po prostu zawodzili i tupali, a niektórzy z nich tańczyli. Myślałem, że to bluźnierstwo, ale wielebny powiedział, że wszystko w porządku. A ten flecista był inny niż reszta. Miał blizny na całym ciele, zrobione umyślnie w pewien wzorek, nie tylko te trzy na twarzy, które mieli inni mężczyźni. I wszyscy odnosili się do niego z szacunkiem. Bez żadnych chichotów i strojenia żartów, jak to u nich bywało. Wnioskowałem, że to jakiś święty. O to panu chodziło?

– Tak, dziękuję.

– No, to do widzenia.

Caine zniknął. Pibble podszedł do telefonu i nakręcił numer Scotland Yardu. Neda nie było, więc połączył się z sierżantem Burnaby.

moich kłopotach? No więc zagadnąłem naszego faceta o to, ale wydaje mi się, że nie będę miał z niego żadnego pożytku, za to może się tobie na coś przydać. Ubiegłą noc spędził z jakąś kobietą, teraz pró-

bował do niej dzwonić (myślę, że do niej), ale nikt nie odpowiadał, więc zaczął nakręcać inny numer, ale się rozmyślił. Trochę za silnie zareagował, pewno więc ubiegłej nocy popełnił jakieś wykroczenie (Rickard mówi, że już mu się to zdarzało) i boi się, że Furlough odkryje, dlaczego go męczymy. W każdym razie mogę się założyć, że coś, tu śmierdzi i że będziesz miał nie lada orzech do zgryzienia.

Gdybyś mógł dowiedzieć się czegoś o tej dziewczynie... Nie masz akurat nic, co za szczęście! Ned mi mówił, że ten facet to twoje hobby... Chciałbym z nią pomówić, jeśli to możliwe... Och, w porządku, będę delikatny. Ale lepiej niech nie przychodzi do domu.

Czy mógłbyś ją przywieźć do Hotelu Dworcowego tuż przed zamknięciem? Zdaje się, że po zachodniej stronie jest niewielki bar. A ja tymczasem porozmawiam z pośrednikiem sprzedaży placów.

Gdybyś miał co do mnie, to jest taki jeden o śmiesznym nazwisku, mieszka tuż przy moście kolejowym.

No, cóż, zasłużyłeś na jakiegoś fuksa, nawet jeśli będzie to raczej mały kamyczek dorzucony do piramidy dowodów, które kiedyś zlikwidują Furlougha, niż pomoc w rozwikłaniu tej zagadki. Pibble pomyślał, że chciałby posłuchać dyskusji na temat kary śmierci, jako czynnika odstraszającego, stosowanej w sprawach podobnych do tej.

Idąc do pośrednika w to parne popołudnie Pibble pożałował, że nie skończył drugiego kufelka. Mógł przecież zostać tam i czekając na dziewczynę Caine'a rozwiązywać przerwana krzyżówkę. Zwyciężyła jednak silna wola, i słusznie.

110

Pośrednik sprzedaży placów nie wydawał się taki mizerny, jakim pozostał w jego pamięci. Nazwa firmy nie uległa zmianie: „Lackadaisy, Lackadaisy i Squill” – wyraźnie wymalowana złotą farbą. Ogłoszenia o sprzedaży wypisane były na elektrycznych maszynach na ozdobnym papierze firmowym. Posiadłości ziemskie od 15 000

funtów w górę, mieszkania od 20 gwinei na tydzień, odpowiednie dla młodych urzędników. Detektyw, posiadający wrodzone poczucie wartości pieniądza, zdumiał się zobaczywszy fotografię resztówki z puszczonej w długoletnią dzierżawę posiadłości na Brissac Street, która szła za marne 6 000 funtów. Zastanawiał się, czy to ten sam dom, do którego przyszedł po szesnastoletniego złodziejaska i znalazł go usypiającego chore dziecko, w pokoju, gdzie leżało jeszcze kilkoro dzieci, ojciec chrapał na łóżku, a matka gotowała na gazowej kuchence jakąś zupę z pasternaku, gęsto

skrapiając ją łzami.

W pokoju od frontu jakiś młodzieniec o ostrych rysach twarzy popatrzył bez wrażenia na nakaz rewizji i zniknął. Powrócił natychmiast mówiąc, że pan Evans-Evans jest do usług pana inspektora.

Następny pokój był niewielki, lecz bogato wyposażony. Leżał tam gruby ciemny dywan, stało duże biurko, a nad kominkiem wisiał

obraz malowany przez Paula. Pan Evans-Evans miał krawat oks-fordzkiego college'u i małą, schludną bródkę. Wstał i poprzez biurko potrząsnął ręką detektywa. Musieli włożyć w to trochę wysiłku, podobnie jak średniowieczne damy, gdy demonstrowały, że mogą się przywitać z sąsiadką po drugiej stronie ulicy nie opuszczając swoich domów o wysuniętych górnych piętrach.

111

– A więc, panie inspektorze, czym mogę panu służyć?

– Tak naprawdę to nie wiem – odparł Pibble – ale może by mnie pan zorientował w cenach domów w tej okolicy. Wydaje mi się, że pańska firma bardzo się rozwinęła. Bywałem tutaj zaraz po wojnie.

Pan Evans-Evans odzegnał się od tego uniesieniem jednej brwi i zaczął mówić bardzo szybko, ale dostatecznie wyraźnie, aby go można było zrozumieć, przywodził na myśl księdza, klepiącego modlitwę za pomniejszych członków królewskiej rodziny.

– To właściwie nie jest ta sama firma, wie pan, tak naprawdę to jesteśmy starą spółką z West Endu, ale już kilkanaście lat temu czu-

łem, że ta dzielnica ma przed sobą przyszłość znacznie większą, niż przypuszczał którykolwiek z tutejszych pośredników, bo to się wtedy, oczywiście, dopiero zaczynało, więc namówiłem ojca, żeby wykupił firmę Gurneya, którego, być może, pan znał. To był taki gruby, czerwony na twarzy facet, dosyć zdemoralizowany przez to, że całe życie dzierżawił slumsy, no i tak to się rozkręciło.

Przerwał, aby zaczerpnąć tchu. Pibble obserwował obraz Paula, namalowany w stylu, który cieszył się największym wzięciem.

Przedstawiał pomarańczowego kota, skradającego się przez gma-twaninę zieleni i błękitu, przypominającą dżunglę. W brzuchu kota widać było ptaszka, który leżał na grzbiecie ze skrzyżowanymi skrzydełkami, w postawie pogodnej rezygnacji, jaką nadają ciałom zmarłych przedsiębiorcy pogrzebowi. Mimo pewnej stylizacji kot nosił cechy indywidualne, był bardzo zwinny i koci, bez odrobiny antropomorfizacji.

112

– Pan, zdaje się, prowadzi jakieś interesy plemienia Ku? – zauważył detektyw.

– Podoba się panu ten obraz? – zapytał pan Evans-Evans. –

Mnie się z początku nie podobał, ale poszedłem za radą kuzyna, który ma w tych sprawach nosa, a on się zaklinał, że w ciągu najbliż-

szych dziesięciu lat obraz zyska uznanie. Teraz już widzę, że miał

rację, a ja sam tak się przyzwyczailem do tego obrazu, że musiano by mi zaoferować bardzo dobrą cenę, żeby mnie skusić do sprzedaży, a to już coś znaczy, jeżeli się tak mówi, prawda? – Gwałtowne zaczerpnięcie oddechu. – To pan prowadzi z ramienia policji tę dziwną sprawę z Osiedla Flagga?

– Tak – potwierdził Pibble. – Zależy mi na tym, żeby wiedzieć, ile jest dziś warta cała ta posiadłość i czy pan przypuszcza, że ktoś mógł wywierać nacisk na panią doktor Ku, żeby ją sprzedała.

Pan Evans-Evans zasiadł za biurkiem, otworzył szufladkę, wyjął

okulary w ramkach jak fortyfikacje, włożył je na nos i zmienił swą osobowość. Począł mówić wolno, jasno, dokładnie.

– Muszę się zastanowić. Przede wszystkim powinienem zdecydować, ile wolno mi panu wyjawić, jestem bowiem bardziej zaan-gażowany w tę sprawę, niż pan zapewne sądzi. Odpowiem najpierw na pierwsze pana pytanie, ponieważ jest proste. Wartość Osiedla Flagga zależeć będzie od tego, co zechce z nim zrobić nabywca.

Jeżeli będzie chciał pozostawić te domki tak jak są, uwolniwszy się tylko od większości lokatorów (może pan wie o tym, że doktor Ku nie pobiera dostatecznie wysokiego komornego za te mieszkania), a wyda kilka tysięcy na Unowocześnienie, przyniosą mu one około dwudziestu lub trzydziestu tysięcy dochodu rocznego. W takim

wypadku cena sprzedaży wynosiłaby około dwustu tysięcy funtów. –

Pan Evans-Evans zdjął okulary i dorzucił mimochodem: – Oczywi-

ście, o ile by się znalazł ktoś, kto rozporządzając taką sumą pienię-

dzy chciałby zamieszkać w podobnej dziurze, bo dziś ludzie czego innego szukają i choćby nie wiem co w tych domkach zmienić, nie pokazano by ich w „House and Garden”.

Włożył ponownie okulary.

– Jednak takie rozwiązanie wydaje mi się nieprawdopodobne.

Nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę, jaki teren zajmuje Osiedle Flagga razem z ogródkami. Jeżeliby kupujący rozebrał te domki, mógłby wznieść około czterdziestu nowych i sprzedać je po trzydziści tysięcy każdy, w ten sposób zrealizowałyby swoje zyski w ciągu trzech lub czterech lat, a nie musiałby przez dziesiątki lat czekać na te pieniądze i narażać się na to, że go jakieś nieobliczalne posunięcie rządowe w ogóle ich pozbawi.

Myślę, że byłoby lepiej, gdybym... „wyznał wszystko”, jeżeli chodzi o drugą część pańskiego pytania, przynajmniej ogólnie. Otóż ja sam byłem proszony przez pewien syndykat, żeby przeprowadzić wywiad w sprawie tej posiadłości. Obecny zarząd miejski na pewno by im zatwierdził plan zabudowy, który przewidywał wzniesienie grupy domów i domków w stylu neoklasycyzmu, które oni uznawali za gustowne. Dowiedziałem się później, że działka ta interesowała również inny syndykat, który chciał na niej postawić coś bardziej nowoczesnego. Krążyły poza tym pogłoski, że sir Cyryl. Blight poszukuje w tej okolicy placu pod jeden ze swych wieżowców. Pan rozumie, wartość tego kawałka ziemi polega na tym, że chociaż 114

nie jest odpowiednio zagospodarowany, należy w całości do jednej osoby, a ta nie zdradza chęci na dokonanie tu jakichś zmian. Nie będzie trzeba się użerać z różnymi właścicielami. Co więcej, nabywcy mogą odwołać się do Urzędu do Spraw Czynszów Mieszkania-wych i uzyskać pozwolenie na pobieranie znacznie wyższych opłat niż obecne, co by, zmusiło większość lokatorów do wyprowadzenia się. Zapewniam pana, inspektorze, że Osiedle Flagga to łakomy kąsek. Pani doktor Ku mogłaby sprzedać tę posiadłość za poważną sumę.

– Czy wyburzanie tych domków nie będzie kłopotliwe?

– Rzeczywiście, zbudowano je zbyt solidnie nie licząc się z pieniędzmi, ale nowoczesne urządzenia poradzą sobie z nimi. To nie powiększy specjalnie kosztów.

– Czy rozmawiał pan o tym z kimkolwiek poza panią doktor Ku?

Pan Evans-Evans ponownie zdjął okulary.

– Widzi pan – zaczął – kiedy udałem się tam po raz pierwszy, starałem się okazać zainteresowanie przede wszystkim obrazami.

Rzuciłem jakąś luźną uwagę na temat tej posiadłości i byłem mocno zaskoczony, że pani doktor Ku natychmiast podjęła ten temat i poprosiła, żebym przyszedł ponownie, kiedy będzie mogła zebrać, jak się wyraziła, członków zarządu. Odniosłem wrażenie, że poruszyłem problem, nad którym już dyskutowano i co do którego pani doktor Ku chciała mieć wyraźne i pewne dane, więc kiedy przyszedłem drugi raz, nastawiony byłem zbyt optymistycznie. Pan łowi ryby.

Ostatnie słowa wypowiedział nie zmieniając intonacji na pytają-

cą, więc minęła chwila, nim inspektor się zorientował, że ma odpowiedzieć. Zaprzeczył ruchem głowy i cienki strumyczek słów płynął

dalej.

115

– To rozsądnie z pana strony, zważywszy, że na ogół biorąc to bardzo nudna rozrywka, a w żadnym razie nie posiadająca ekonomicznego uzasadnienia, jakkolwiek i ona ma swoje wspaniałe momenty, wtedy gdy człowiek zauważa nieznaczny zmianę w kolorze wody, lekkie złączenie jej tafli, czuje to równie silnie jak dostrzega i wie, że nadpływa wielka ryba, tylko pytanie, czy ją zdoła wyciągnąć.

Podobny moment przeżywałem, kiedy po raz drugi tam szedłem –

niewłaściwą rzeczą byłoby jechać samochodem na tego rodzaju spotkanie, nadawałoby mu to bowiem zbyt wysoką rangę, ale pamię-

tam doskonale, że śpiewałem w duchu hymn nadziei i chwały.

Pan Evans-Evans spojrział na swoje okulary z niepewnym uśmiechem, jak gdyby się przed nimi tłumaczył, że trwoni słowa w sposób ekonomicznie nie uzasadniony. Włożył okulary na nos, co przeniosło go natychmiast w świat Lackadaisy'ów i Squillów, którzy pobierają siedem i pół pensa od każdego funta zmieniającego właściciela.

– Spotkaliśmy się w pokoju pani doktor Ku. Oprócz niej był

tam doktor Kerway i pan Aron Ku, czarny dżentelmen, nieodpowiednio, jak na taką okazję, ubrany. Paul Ku nie brał udziału w spotkaniu, ale słyszałem, jak ktoś stroił instrument smyczkowy w sąsiednim pokoju.

Detektyw przypomniał sobie grające łóżko.

– Pani doktor Ku poinformowała mnie, że wszyscy obecni w tym pokoju to członkowie zarządu. Nie wyobrażam sobie, co o takim zarządzie myślałby notariusz, ale istnieje on dla dobra „plemienia”, jak mówi pani doktor Ku, to jest najwidoczniej reszty mieszkańców domu, którym administruje. Jednakże sama posiadłość należy wyłącznie do niej. Powiedziała mi, że gdyby zarząd chciał przeprowadzić

116

zmiany, które w jakiś sposób wpłynęłyby na życie reszty członków plemienia, musiałby zapytać o zdanie wszystkich, a przynajmniej mężczyzn. Pan Aron Ku twierdził, że byłaby to zwykła formalność.

Wyjaśniłem moje stanowisko, oczywiście dość oględnie. Ograni-czyłem się do stwierdzenia, że jeżeli chcieliby sprzedać tę posiadłość, na pewno mógłbym znaleźć nabywcę. Pan Aron Ku zapytał mnie wprost, ile by można za nią dostać, a ja powiedziałem tylko, że byłaby to znaczna suma pieniędzy, ale nie chciałem bardziej się angażować. Próbował przycisnąć mnie do muru, ale się nie dałem.

Potem pani doktor zapytała o obecnych lokatorów. Taki jest zwyczaj. Na ogół biorąc, sprzedawca usiłuje wywołać wrażenie, że się o lokatorów troszczy, ale łatwo go zbyć ogólnikami. Jednakże pani doktor nalegała mocno i musiałem przedstawić sprawę jaśniej, niż zamierzałem. Doktor Kerway, który jest wykładowcą na Uniwersytecie Londyńskim, nie powiedział wiele, tylko podejmował zbędne, z mego punktu widzenia, próby wyjaśnienia pewnych użytych przeze mnie zwrotów. Wydawał mi się o wiele mniej rzeczowy niż pozosta-

łych dwoje, ale i tak rozmowę prowadzono z dużą przebiegłością. W

końcu pani doktor Ku oświadczyła, że dziękują mi za pomoc i skomunikują się ze mną, jak tylko powezmą jakąś decyzję. Doktor Kerway powiedział: „Ależ to doprawdy zależy od ciebie, Ewo”, z czego, zdaje się, była niezadowolona. Ponownie podziękowała mi za przy-

ście i wyszedłem. Było to rok i dwa miesiące temu.

Pan Evans-Evans zdjął okulary i zamaszystym ruchem włożył je do szuflady, dając tym do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

Pibble wstał, ale gospodarz nie ruszył się z miejsca.

117

– Pani doktor to doprawdy interesująca osoba – mruzczał – wielka dama, choć trochę dziwaczka, prowadziła dość ekscentryczne życie. W głębi duszy one wszystkie są takie same, te łaskawe damy, spotykaliśmy ich oczywiście sporo w naszej filii w West Endzie, wszystkie wierzą, że grunt to forsa, ale udają, że o tym nie wiedzą, i to, jak przypuszczam, czyni je wielkimi damami. Pani doktor jest taka sama, doprawdy, tylko zaślania się bardziej wymyślnymi pozorami. Dziękuję panu za wizytę, rad byłbym wiedzieć, gdyby zdarzyło się coś, co oczywiście dotyczyłoby moich spraw.

Pan Evans-Evans wstał z krzesła, a detektyw przygotował się na trudny uścisk dłoni poprzez szerokość biurka. Ale pośrednik handlu placami okrążył biurko, sam otworzył drzwi i pożegnał swego go-

ścia, a ten odniósł wrażenie, iż oczekuje się po nim, że w jakiś tajemniczy sposób okaże się doskonałą lokatą pieniędzy. Na chodniku przed domem, w ciemnym obłoku spalin przejeżdżającego wozu meblowego, czekał Strong, zanosząc się od kaszlu.

– Chcecie znać jego numer? – spytał Pibble.

– Dziękuję, panie inspektorze – powiedział Strong – zdecydowaliśmy, że nie warto. Można by postawić tu dwóch ludzi, żeby spisywali numery i brali mandaty, ale różnica będzie niewielka... tyle że od czasu do czasu będzie widać przeciwny chodnik, ale jak tylko się ich odwoła, natychmiast wszystko wróci do dawnego stanu.

Za piętnaście lat ktoś będzie mógł napisać piękną rozprawę na temat częstotliwości występowania raka u policjantów drogowych. Przyprowadziłem tę młodą kobietę, o którą panu chodzi.

– Bardzo to ładnie z waszej strony.

–

Ale czeka w innym barze, niż pan polecił. Tam zeszło się za dużo rozrabiaków. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciw tej zmianie.

118

– W porządku, dziękuję. Nie wiecie, czy są już jakieś wiadomości z laboratorium?

– Telefonowali tylko, że odciski na misce są inne niż te, które-

śmy widzieli z rana.

– Aha. Minutkę, proszę. Założę się, że to palce młodego Robina. Albo innego dzieciaka. Może powinienem... Mniejsza z tym.

Najpierw musze, zobaczyć się z panną... Jakże-jej-tam.

– Hermitage, panie inspektorze. Nancy Hermitage, ale nie jestem pewien, czy to jej prawdziwe nazwisko. Z nimi to nigdy nie wiadomo.

Nagle Pibble poczuł, że wcale go nie interesuje, czy są to rzeczywiście odciski palców Robina, ani też nic go nie ciągnie do rozmowy z kobietą lekkich obyczajów, posiadającą, jak powiedział

Burnaby, bardzo wpływowych przyjaciół. Najwidoczniej prawdziwa *poule de luxe*. Chęć przyłapania Boba Caine'a psuła mu całą sprawę, nie mówiąc już o tym, że była czymś zupełnie nieodpowiedzialnym i niemoralnym. A jeżeliby nawet jego podejrzenia okazały się słuszne, niewiele by mu z tego przyszło, że zasiadłby na ławie świadków, bo na pewno poruszono by sprawę znajomości Neda Rickarda z małą ładniutką panią Caine. A jeżeli o nią chodzi? Jakby sprytna księż-

niczka przyjęła swe wyzwolenie od uwielbianego a tak wstrętnego potwora?

Strong poprowadził inspektora do drzwi, które zupełnie nie wyglądały na to, że prowadzą do baru, i zatrzymał się zaraz przy wej-

ściu.

– To ona, panie inspektorze – oznajmił. – Ta pod obrazem Etty'ego.

119

Etty, tworząc wspomniany przez Stronga obraz, na pewno nie był

w najlepszej formie. Naga brunetka leżała na brzuchu na skale przy wodospadzie, zanurzając czubki palców w wodzie. Oświetlał ją jaskrawy promień słońca padający przez gałęzie, a patrząc na jej perłowo-białe ciało można było sądzić, że jeżeli poleży tak dłużej, okropnie się spieczę. Pośladki miała trochę w niewłaściwym miejscu, ale nie bardzo było wiadomo, jak by je należało przesunąć, by to poprawić. Pod obrazem siedziała bardzo piękna kobieta w pomarań-

czowej szmizjerce.

– Okay – rzekł Pibble. – Strong, skoczcie teraz do Osiedla Flagga i zarządzcie, aby wzięto odciski palców Robina. Wrócę za jakieś dwadzieścia minut. Czy to rzeczywiście Etty?

– Tak jest, panie inspektorze. W prywatnych pokojach na górze jest pełno jego obrazów. To był dawniej reklamowy bar pobliskiego browaru, ale zbankrutowali, bo kierownik uparcie kupował Ety'ego, kiedy był najdroższy. A co z innymi dzieciakami, panie inspektorze?

– Są w szkole i zwróćcie uwagę, żeby ich pilnowano, jak wró-
cą. Wolałbym uniknąć zamieszania.

– Zobaczę, co się da zrobić, panie inspektorze. Na razie.

Dziewczyna nie piła, czas oczekiwania skracala sobie malując paznokcie bezbarwnym lakierem. Wyglądała na lat dwadzieścia pięć, była pulchna, ciemnowłosa, pogodna. Paru mężczyzn popijających w barze, skrępowanych jej obecnością, poruszało się i rozmawiało jakby w onieśmieleniu. Pibble zbliżył się do niej.

– Panna Hermitage?

– Tak. Czy to pan jest tym policjantem, z którym mam się tu spotkać?

– Inspektor Pibble. Co można pani przynieść do picia?

120

– Nic, dziękuję. Czy Bob ma jakieś kłopoty? Chcieli wiedzieć, gdzie był zeszłej nocy. Był ze mną.

Fibbie zastanawiał się, czy z równą swobodą wypowiedziałaby to zdanie przed sędzią. Ciężko byłoby mieć przeciwko sobie jako świadka tę kobietę o nieco zachrypłym, pełnym pewności siebie głosie i tych kocich oczach.

– Od jak dawna zna pani pułkownika lotnictwa Caine'a, panno Hermitage?

Uśmiechnęła się uśmiechem niani, pełnym pobłażania dla grzeszków swego ulubieńca.

– Dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że nigdy nie był niczym więcej jak sierżantem. Ale jakież to ma znaczenie? Najważniejsze, że naprawdę był ze mną ubiegłej nocy.

– Ma to pewne znaczenie – tłumaczył Pibble. – Bo jeżeli była-by pani z nim związana uczuciowo, mogłaby pani tak twierdzić bez względu na to, czy to prawda. Im więcej będę wiedział o waszych stosunkach, tym większą będę miał szansę oceny, czy mówi pani prawdę.

– Chce pan przez to powiedzieć, że im dłużej go znam, tym lepiej mogłam poznać, co to za drań... a może po prostu korzysta pan z okazji, żeby ostrzec mnie przed nim? Dziękuję, że pan o tym pomyślał.

Uśmiechnęła się znowu, jakby uprzejmie odrzucała usługi Pibble'a. Potem westchnęła.

– Pan rozumie, inspektorze, że jestem w trudnej sytuacji. Nie mogę sobie na to pozwolić, żeby

zasiąść na ławie świadków. Paru moich najlepszych przyjaciół musiałoby mnie opuścić na pierwszą wzmiankę o możliwości rozgłosu, pozostali byliby bardzo niezadowo- leni, a panu... mojemu opiekunowi... bardzo by się to nie podobało.

121

Więc naturalnie wolałabym umyć ręce w tej sprawie i powiedzieć, że nie widziałam Boba od tygodnia. Jest jeszcze jedna rzecz: spędzili-

śmy ubiegłą noc w mieszkaniu, którego mój opiekun czasami pozwala mi używać, ale które służy właściwie do innych celów. Byłby zły, gdyby się dowiedział, że, używaliśmy go jako, powiedzmy, miejsca schadzki. Może na razie nic by nie powiedział, przedsta-wiam dla niego sporą wartość, ale zanotowałby to sobie w pamięci na przyszłość. Taki on jest. Ale Bob chciałby... no cóż, tak się składa, iż wiem, że mój opiekun mniej więcej przed rokiem kazał mu się ożenić i prowadzić życie szanowanego obywatela, grożąc, że inaczej go wyrzuci. On potrafi czasem być bardzo nieprzyjemny i jestem pewna, że byłby nieprzyjemny dla Boba, gdyby się o tym dowiedział. Więc żadne z nas nie chce, żeby się i to wydało, a pan też przecież rozumie, że byłoby dla mnie lepiej, gdybym nie puszczała pary z ust i pozwoliła, żeby Bob wypił piwo, którego nawarzył.

Ale kłopot w tym, że mu wiele zawdzięczam. Zawdzięczam mu start, można by tak to powiedzieć. Nigdy nie zostałabym aktorką, nigdy nie wyszłabym poza króciutkie role, i to za noc przespaną z reżyserem. Ale teraz coś już zdobyłam. Mam dużo bogatych i znanych przyjaciół, a niektórzy z nich pozostaną moimi przyjaciółmi nawet wtedy, gdy już będę stara. Poza tym zarabiam dużo pieniędzy, mój opiekun zabiera mi wprawdzie sporo, ale i tak jeszcze dużo mi zostaje, a on naprawdę dba o mnie, mam straż osobistą na zawołanie, jeżeli uważa, że może mi być potrzebna, co zniechęca ewentualnych napastników. Jestem u szczytu kariery, a jeżeli będę dbać o siebie, mam przed sobą jeszcze z dziesięć lat, a potem zamieszkam w mi-

łym domku w górach Cotswolds i będę miała dwadzieścia kotów.

122

Ale gdyby nie Bob, byłabym podrzędną prostytutką z pokoikiem w Kilburn.

Muszę więc zrobić dla tego nicponia, co mogę. Nie za, ryzykuję dla niego głowy, oczywiście, ani nawet pracy, spróbuję tylko przekonać pana, że to nie Bob jest sprawcą tego, co stało się tej nocy.

Nie gestem, jak pan się wyraził, uczuciowo z nim związana, nie, teraz już nie... i na pewno nie mam zamiaru grać roli dziwki o złotym sercu. Nie spotyka się ich w życiu, pan wie najlepiej, chyba że jako stare pudła, które za pięć szylingów robią to w bramach. Brak im zawodowego dystansu. Poszłam kiedyś do kina z jednym z moich przyjaciół, lordem admiralicji i znajomym mojej matki, a to był film o szarmanckim kapitanie i dziwce o złotym sercu i mój znajomy siedział w kinie i krzywił się na morskie kawałki, a ja się krzywiłam na kawałki na łądzie, a potem nagleśmy się zorientowali i zaczęli-

śmy się śmiać tak głośno, że przyszedł kierownik, żeby nas wyrzucić, ale okazało się, że był kiedyś

na jednym ze statków Snooty'ego (tego mojego przyjaciela), więc go poznał i poszliśmy do jego gabinetu i piliśmy Cointreau szklankami, a Snooty i ja odgrywaliśmy kawałki z tego filmu dla kierownika i palacza, i jakichś bileterek, aż Snooty dostał tego swojego ataku i musiałam go zabrać do domu. Na czym to stanęłam?

– Na Bobie Caine'ie – rzekł Pibble, zastanawiając się, jak długo siedział tak z otwartymi ze zdumienia ustami. – Dlaczego spotkała się z nim pani wczoraj? Na pewno nie w interesach.

– Ach, to po prostu był zbieg okoliczności. Facet, z którym się umówiłam, nie przyszedł... musiał lecieć jako arbiter gdzieś tam do Ameryki Południowej... zatarg graniczny między Chile i czymś tam... więc wyszłam, żeby się trochę pokręcić po barze, w którym 123

mój opiekun mógłby mnie znaleźć. Nie przyjmuję nikogo, kto nie-spodziewanie zadzwoni, ani innych przypadkowych klientów, ale on lubi wiedzieć, gdzie jestem. Czułam się trochę zbita z pantałyku, wyczekiwałam tego pana, bo taki z niego żartowniś i opowiada mi, co się dzieje na świecie i kto kogo podgryza w rządzie. No więc Bob tam był, polował, ale też bez skutku, więc go zabrałam do restauracji, postawiłam mu coś do jedzenia i wypłakaliśmy się sobie nawzajem w klapę. To jest kawał drania ten Bob, ale słucha, gdy mu się coś mówi, i człowiek czuje się wtedy, dobrze, czuje się ważny i podniesiony na duchu... to oczywiście tylko sztuczka, ale bardzo skuteczna i po chwili naprawdę było już mi lepiej. Tylko że ja nie chcę mieć żadnych zobowiązań wobec kogokolwiek, nawet wobec Boba, bo nigdy nie wiadomo, kiedy taki zażąda zapłaty, więc pomy-

ślałam, że teraz ja go pocieszę. Tyle że on tak kręcił, że musiałam go zabrać do mieszkania opiekuna, a nie mojego. Właściwie nie wiem dlaczego, chyba tylko z tego powodu, że on nie znosi żadnych zakazów, a przecież wiedział, że nie pozwolono by mu tam iść, więc może tak na złość.

Zamilkła. Czy będzie mówić bez zachęty? Kiedy ludzie wpadną w trans wyznań, mówią więcej, niż muszą, a czasami można z tego wyłowić coś cennego. Nie ma szczęścia tym razem.

– A jakie kłopoty miał Bob, panno Hermitage?

Oczy kociątka stały się oczyma kota, kremowa skóra twarzy na-pięła się, miękkie wargi stwardniały w obronnym uśmiechu (jak zapewne nieraz bywało).

– Będzie pan musiał zapytać... – Uśmiechnęła się swobodnie. –

...nie na wiele to się panu przyda.

124

– Panno Hermitage, zanim się z panią spotkałem, ostrzegano mnie, że ma pani przyjaciół, którzy mogliby dać mi się we znaki, gdybym panią źle potraktował. Ale ja już niedługo idę na emeryturę, a tymczasem sam potrafię jeszcze nieźle dokuczyć. Mogę napuścić moich ludzi na Furlougha, i to tak, żeby wiedział, że wpadł przez panią. Mogę też kazać panią śledzić w widoczny sposób, kiedy pani wyjdzie na miasto z jednym ze swoich wpływowych przyjaciół. Ale myślę, że to będzie niepotrzebne, jeżeli pani mnie posłucha. Po pierwsze, wierzę pani (a nawet gdybym pani nie

uwierzył, wiem, że uwierzą londyńscy przysięgli). Po drugie, jest oczywiste, że Caine nie popełnił tego morderstwa. Po trzecie, nim się ta sprawa wyjaśni, i tak będzie miał zepsutą opinię, a pośrednio także i pani. Po czwarte, jest prawdopodobne, że motyw zbrodni był w jakiś sposób z nim związany. Po piąte, tak jak pani powiedziała, kłamie, ale nie dosyć inteligentnie, bo nie zdaje sobie sprawy, czy jego kłamstwa są prze-konujące, czy nie.

Westchnęła cicho, jak mniszka, która w klasztornych murach bo-leje nad podłością świata.

– Myślę, że pan by to zrobił – przyznała. – Mężczyźni są bez-względni. A ja oczywiście bym tak nie zrobiła.

Myślę, że gdybym się postarała, doprowadziłabym do tego, żeby pana wylano. Ale to by popsuło wszystko na przyszłość. Moi przyja-ciele nie lubią, żeby się nimi w ten sposób posługiwano, nawet gdyby udało mi się ich przekonać, że powinni to zrobić. O, do diabła!

Jeżeli chodzi o Boba, to sęk w tym, że jest idealistą. Tyle że nie takim zwyczajnym. Ale on nigdy nie pogodzi się ze światem, w którym żyje. Zachowuje się tak, jakby żył w idealnym świecie, gdzie 125

człowiek nie musi robić nic, na co nie ma ochoty, gdzie się zna bogatych i sławnych ludzi, gdzie kobiety są na każde zawołanie, a gdy się nie chce, to ich nie ma, gdzie każdy ma zawsze dosyć pieniędzy i gdzie nikt nikim nie komenderuje. Mówiłam już panu, że pan Furlough kazał mu się ożenić i ustatkować, Bob wściekał się wtedy, ale on się śmiertelnie boi pana Furlougha. I słusznie. Myślę, że pan Furlough go nie lubi i chciałby go wygryźć. Nie wiem dlaczego. Bob działa tak na niektórych ludzi. W każdym razie zrobił to, co mu kazano. Zdaje się, że to mieszkanie on już miał, ale przedtem było dla niego tylko tym, czym jest legowisko dla wilka, a teraz znalazł

sobie milutką żonkę, ta uwiła mu gniazdko, kręci się wokół męża i uwielbia go, więc w końcu polubił swoje nowe życie. Nagle zjawia się czarny i wywraca wszystko do góry nogami. Nie rozumiem dlaczego, bo ten czarny nie jest właścicielem domu, w którym mieszka Bob, ale namawia właściciela do sprzedaży. Gdyby dom sprzedano, to prawdopodobnie Bob zostałby wyrzucony i nie znalazłby innego mieszkania za te pieniądze... Nie mogę się w tym połapać, właściwie nie jestem nawet pewna, czy on w ogóle cośkolwiek płaci. Znalazłby się w prawdziwym kłopotcie. Pan Furlough tylko szuka jakiegoś pretekstu, aby go... ach, nie wchodźmy w to. Pan rozumie. Nie pojmuję, dlaczego żona Boba nie może płacić komornego, ale on mówi, że ona też nie ma pieniędzy, chociaż jej, ojciec jest admirałem, a przecież mój lord admiralicji to krezus. Powiem panu coś zabawne-go. Nie widziałam jej, ale się założę, że to szczęśliwe małżeństwo. Ja to potrafię wyczuć. Mam do takich rzeczy nosa. Oczywiście, że porzuciłby ją, gdyby go wysiudali z mieszkania. Pewno najpierw by się zalał i ją pobił, tak jak jedną z moich znajomych. On lubi żyć swobodnie, nie obciążony bagażem przeszłości. Powiem panu coś 126

jeszcze: założę się, że żona wie o nim więcej, niż on przypuszcza.

Bob kłamie ciągle, ale jak się go pozna, te kłamstwa nie zwiodą. W

każdym razie musi w taki czy inny sposób sobie z tym czarnym poradzić i zostać tu, gdzie mieszka. Był ostatnio dość załamany – to znaczy jak na niego. Słowo daję, że to wszystko, co mam panu do

powiedzenia. To może niewiele, ale dużo czasu minęło, nim się tego dowiedziałam. On sobie wyobraża, że zawsze panuje nad sytuacją, że jest silnym człowiekiem o żelaznej woli, ale tak naprawdę jest miękki jak masło. Bardzo go lubię, ale nie powierzyłabym mu prze-kazu nawet na jeden szyling. Czy to wszystko, co pan chce wiedzieć? Muszę już iść.

– Bardzo mi pani pomogła – skłamał Pibble. – Myślę, że nie będziemy musieli męczyć pani ponownie. Czy sprowadzić samochód, aby panią odwiózł?

– Broń Boże! Żeby pan Furlough się o tym dowiedział? Wezmę taksówkę. – Wstała i rzuciła mu pożegnalny uśmiech, taki sam, jakim Katarzyna Wielka żegnała faworyta z ubiegłego tygodnia, nim go odesłała na daleką prowincję, aby tam rządził i bogacił się.

Odejdź natychmiast, mówił ten uśmiech, a zachowam o tobie wdzięczne wspomnienie, ale jeżeli zostaniesz, zniszczę cię. A potem skierowała się ku drzwiom.

I wtedy Pibble zrozumiał, dlaczego nigdy nie zostałaby aktorką.

W jej sposobie chodzenia było coś tak rażącego, jak w pośladkach kobiety na obrazie nad jego głową. Nim zdążył zorientować się, w czym rzecz, panna Hermitage znalazła się już za drzwiami, a on usłyszał własne westchnienie. Nieraz zdumiewał go fakt, że niektó-

rzy solidni biznesmeni bywają skłonni podjąć najróżniejszego 127

rodzaju ryzyko, lekką ręką dawać cztero- i pięciocyfrowe czeki, jakby to był napiwek dla kelnera, a wszystko po to, aby spędzić jedną noc z dziewczyną. Jaka kobieta mogłaby być tego warta? Teraz już wiedział.

Zastanawiał się, czy Ned ją spotkał. Zadzwoił do sierżanta Burnaby'ego i powiedział mu o mieszkaniu i o niechęci Furlougha do Caine'a, bo tę dwie wiadomości mogłyby okazać się pożyteczne. O

Furloughu mówiono, że jest twardym człowiekiem – czyżby i on odczuwał tę samą antypatię co Pibble?

Popołudnie ciemne było od kurzu i wilgotne zapowiedzią deszczu. Znikła rześkość poranka, przepadła bezpowrotnie świeżość świata, jakby dopiero co odpakowanego z celofanu. Pibble z niechę-

cią powrócił myślami do problemów Osiedla Flagga. Jeżeli przyjmiemy, że na misce są odciski palców Robina, czy to znaczy, że koszula należy też do niego? Niekoniecznie. Ważne: spytać Ewę, czy chłopcy pracują jako służący w chacie mężczyzn. A może to krew Arona? Niemożliwe. Przede wszystkim było jej za dużo, a po drugie reakcja staruchów byłaby inna. Z pewnością nie chcieli, żeby Pibble znalazł miskę, ale jak już znalazł, nie bardzo się tym przejęli.

Podpatrzył coś, co było ich sprawą prywatną, ich tajemnicą, nawet czymś wstydliwym. Nie groziło im to jednak żadnym niebezpieczeń-

stwem.

Kiedy o tym pomyślał, humor mu się nieco poprawił. Pewność co do reakcji staruchów przyniosła mu pokrzepienie. Oni tylko wtedy wydają się absolutnie niezrozumiali i dziwni, gdy się pozwoli, aby ich odmienność nas zahipnotyzowała. Przypomniał sobie pierwsze zetknięcie z plemieniem w jasnym pokoju Ewy i siłę psychiczną, jaka od nich promieniowała, kiedy strzelił byka na temat kobiet 128

i kiedy podrzucił pensa. A sposób, w jaki się śmieli! Nie można powiedzieć, żeby ukrywali swoje uczucia. Kiedy chodził węsząc po chacie mężczyzn i zalewał kapliczki profanującym światłem, ich postawa była uległa, trochę niechętna, ale tolerancyjna. Obserwowali go jak stary ogrodnik swego pana, który się kręci po szopie z narzędziami. A więc nie jest to krew Arona.

Fernham stał przy drzwiach domu pod dziewiątym.

– Cieszę się, że pan już wrócił, inspektorze – powiedział. –

Przyszły orzeczenia z laboratorium. Na misie są odciski palców Robina, a krew nie jest krwią Arona, zdradza ślady jakiejś choroby dziedzicznej. Pan Thackerey polecił panu powiedzieć, że plamy krwi tworzą regularny wzór na plecach koszuli, coś jak ścieg jodełkowy.

– Niezbyt to pocieszające. Najpierw porozmawiam z Robinem, a potem chciałbym się widzieć ze wszystkimi mężczyznami po kolei.

– Przepraszam, panie inspektorze – dodał Fernham – ale zdaje się, że pani doktor Ku byłaby wdzięczna, gdyby pan do niej zajrzał

na chwilę,

– W porządku.

Kiedy w ciemnościach wchodził na schody, usłyszał pełne wściekłości głosy. Z początku myślał, że to jeszcze jedna kłótnia na temat plemiennego rytuału, ale prędko zorientował się, że tembr głosów jest inny: nie były to ryki Polinezyjczyków, tylko zwykłe europejskie ujadanie. Dobiegało ono z pokoju Ewy. Drzwi były uchylone, więc wszedł bez pukania.

Stała obrócona plecami do biurka Paula, osaczona niczym zwierzyna przez psy gończe. Z trzech Anglików, którzy się tam znajdowali, dwaj krzyczeli na nią właśnie, kiedy Pibble wchodził. Musieli jednak wyczuć, że otwierają się wielkie drzwi, bo zgiełk ucichł nagle 129

i słyhać było tylko ich ciężkie dyszenie. Stojący w środku starszy postawny mężczyzna miał na sobie czarną kamizelkę, ale przy koszuli brakowało mu kołnierzyka. Za nim stał młodszy, niski, o brą-

zowej twarzy pomarszczonej jak balon, z którego uciekło dużo powietrza, ubrany był w niebieski kombinezon. Najbliższy, ten, który wrzeszczał, był jeszcze młodszy, ubrany schludnie, jak urzędnik, miał bladą, chorobliwą cerę i kędzierzawe ciemne włosy.

– Co tu się dzieje? – zapytał Pibble.

– Ach, panie inspektorze, jak to dobrze, że pan przyszedł. To są moi trzej lokatorzy, chcą się dowiedzieć, jak posuwa się śledztwo i czy zbrodnia może mieć jakieś złe skutki dla mieszkańców Osiedla.

Mężczyzna w kombinezonie podskoczył ku detektywowi. Nie przeszła mu widać chęć do krzyku, bo dał jej upust znalazłszy się o metr od swojej ofiary.

– To pan tu pilnujesz prawa?

– Jestem funkcjonariuszem, któremu powierzono tę sprawę –

odparł Pibble. – Jeżeli któryś z was wie o czymś, co w jego mniemaniu może się przyczynić do wyjaśnienia sytuacji, chętnie go wysłucham.

– Do wyjaśnienia sytuacji? – ryknął ten w kombinezonie. – Do wyjaśnienia? Żyjemy przecież obok nich od dwudziestu lat, a w każdym razie wielu z nas. Wiadomo, że coś takiego musiało się stać, prędzej czy później. Jak można było sprowadzić bandę przeklętych dzikusów do cywilizowanego kraju, osadzić ich tutaj i wyobrażać sobie, że wszystko będzie cacy. To jest sprzeczne z naturą. Mówili-

śmy właśnie pani doktor Ku, że musi ich stąd przegonić, a im prędzej, tym lepiej. Wszystko jedno, gdzie się wyniosą, byle prędko.

Moja stara boi się wyjść wieczorem, żeby nie dostać po głowie.

130

Muszą stąd iść, inaczej będą tu prawdziwe jatki.

– Poproszę pańskie nazwisko – rzekł Fibbie.

– Tinker. Jack Tinker. A to jest – ruchem głowy wskazał na starszego mężczyznę, jednocześnie pociągając nosem – Rod Green, a tamten to Jimmy Youbegood i obaj potwierdzą wszystko, co powiedziałem.

Starszy mężczyzna przestał kręcić guzik od koszuli i powiedział

z naciskiem:

– Nie o to chodzi, żebyśmy ich oskarżali. Niech się wymordują wzajemnie, jeżeli to ich zwyczaj, byle nie tutaj. A mało razy tak było, że jak poczułem zapach ich gotowania, to już własnego obiadu do gęby wziąć nie mogłem...

– A jak hałasują – wtrącił pan Youbegood. – Ciągłe stukoty i łomoty. Mieszkam pod ósmym, na

samej górze, tu obok, i wciąż muszę słuchać tego piekielnego rumoru.

– Czy ubiegłej nocy także hałasowali? – zapytał Pibble.

– Nie – odparł pan Youbegood. – Ale przedwczoraj wieczór piekielnie łomotali, jak jacyś opętani bitowcy. Ty to słyszałeś, Jack?

– Tego to ja nie powiem – odparł pan Tinker. – We wtorek akurat pracuję wieczorem. Ale tak się zwykle zachowują, panie władzo.

Zakłócają spokój całej okolicy. Pani doktor Ku nie powinna była im na to pozwalać.

– A to ich pańskie mówienie – przerwał mu pan Youbegood. –

Jak ten profesor w telewizji, co wykopuje gdzieś stare kości. Jakim prawem banda czarnuchów wyraża się tak samo!

– Z takich rzeczy nigdy nic dobrego nie wychodziło – oznajmił

sentencjonalnie pan Green – i nigdy nie wyjdzie. Niech ich pani 131

odeśle gdzieś indziej, niech sobie idą do diabła!

W inspektorze zakipiał gniew. Ruszył do ataku, zdecydowany walczyć wszelkimi możliwymi sposobami.

– Panie Youbegood, jakie komorne płaciła pańska żona, kiedy pan ostatni raz siedział?

Jimmy Youbegood wzruszył tylko ramionami z rezygnacją, jak stary zesłaniec, przekonany, że prawo zawsze go osiągnie. Ale Tinker zareagował jak aktorzyzna z kiepskiego melodramatu. Obrócił

się ku nie biorącemu udziału w rozmowie panu Greenowi i stanąwszy na czubkach palców zapiał:

– Nie mówiłem, żeby go tu nie sprowadzać?

– A ja powiedziałem – perswadował pan Green tonem niewzruszonego rozsądku – że musi nas być trzech. Dwóch nic nie znaczy.

Prawda, panie władzo?

Detektyw ucieszył się jak zawodnik, do którego w sposób wprost nieprawdopodobny odbito piłkę. Miał już wystarczająco dużo adrenaliny we krwi i czuł, że w tym momencie dałby radę nawet potężnej i złowrogiej organizacji.

– Wy wszyscy trzej – oświadczył – nie znaczą nic. Absolutnie nic. Pomińmy nawet przeszłość pana Youbegooda i spójrzmy na was jako na zwyczajnych obywateli – przecież wy od lat korzystacie z dobroczynności kobiety. Pan doskonale wie, panie Green, że w całym Londynie nie znalazłby pan

takiego mieszkania nawet za dwukrotnie wyższe komorne. Wam się zdaje, że macie prawo wymagać. Czy któryś z was kiedykolwiek podziękował pani doktor?

Nie sądzę. Ale jak tylko znalazła się w kłopotcie, kiedy zamordowa-no w tym domu jej przyjaciela, natychmiast przychodzicie i wymy-

ślacie jej, ponieważ chce pomagać także innym ludziom... ludziom, 132

którzy różnią się od was kolorem skóry. Powiem wam również, że wcale nie przypuszczam, aby morderstwo zostało dokonane przez czarnego. Mógł to zrobić ktoś, kto żywił urazę do czarnych, na przykład jeden z was. Więc jeżeli do mnie dojdzie, że znowu dokuczali-

ście pani doktor, nie będę się wahał. Każdym z was zajmie się grupka policjantów, która szczegółowo zbada wasze życie. Może nie znajdą motywu do popełnienia morderstwa, ale zaręczam wam, że coś tam znajdą. A teraz zmykajcie stąd i ani mi się ważcie wracać, chyba że będziecie mieli coś do zakomunikowania w związku z morderstwem.

Pibble otworzył przed nimi drzwi, żałując, że jego wzburzenie przybrało formę gniewnego kazania, zakończonego jałową pogrózką.

Tinker i Green wymknęli się potulnie i tylko pogardzany Jimmy Youbegood opuszczał pokój z pewną butą. Wysłuchiwał już tylu pouczeń różnych urzędników, że nie robiły na nim wrażenia słowa byle inspektora.

Wyszczерzył zęby mijając go i szepnął:

– Ktoś wychodził na dach wieczorami.

– Co wieczór?

– Nie, ale często, kiedy nie padało.

– A jak było ostatniej nocy? I poprzedniej, kiedy słyszeliście te hałasy?

– Po tym przedwczorajszym hałasowaniu słyszałem go dwa ra-zy. Ale nie zachowywał się jak pan albo ja, tylko jak smarkacz, który coś węszy na cudzym, podwórku.

– Dziękuję – rzekł Pibble. – Zbadam to. A co tam, ze starym Izaakiem? To był, zdaje się, twój wuj?

– Zszedł z tego świata, biedaczysko. Padł trupem na ławie 133

oskarżonych, kiedy przysięgli orzekli, że jest niewinny. Do widzenia, zobaczymy się wkrótce.

Pibble zamknął drzwi i zwrócił się ku Ewie. Stała wsparta o biurko, a jej ręce tworzyły czarny trójkąt równoramienny. Wydawała się jeszcze bardziej przygnębiona niż wtedy, gdy osaczali ją Tinker i Green.

– Gdzie jest Paul? – zapytał inspektor.

– Pewno w świetlicy seniorów. Baliśmy się, że jego obecność tylko pogorszy sprawę. Dziękuję panu za pomoc. Myślę, że należało ich potraktować ostro. A w każdym razie już się tego nie zmieni. Co się stało, już się nie odstanie. Jak posuwa się dochodzenie?

– Pomalutku. Chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań, jeżeli wolno. Po pierwsze, czy członkowie plemienia lubią hazard?

– O tak. Zwłaszcza mężczyźni wszelkiego rodzaju. Młodzi za-interesowali się wyścigami konnymi i jak słyszałam, doskonale im idzie.

– A czy to możliwe, żeby starsi założyli się o kilka pensów w sprawie dla nich ważnej, na przykład, czy znajdę coś, co starannie ukryli w chacie?

– Myślę, że tak.

– A drugie pytanie: czy nowy mieszkaniec chaty musi na początku usługiwać starszym?

– Z pewnością.

– Po trzecie, czy to prawda, że Aron chciał, żeby pani sprzedała posiadłość i wróciła wraz z całym plemieniem na Nową Gwineę, a jeżeli tak było, to dlaczego pani nic mi o tym nie powiedziała?

Ewa wyprostowała się i odeszła od biurka, kierując się ku oknu. Po paru krokach stanęła, uniosła prawą stopę i bawiła się sznurowadłami 134

baletek. W rezultacie, kiedy wyprostowała się i zwróciła do inspektora, jej twarz była prawie niewidoczna na tle okna, jasnego od po-południowego blasku.

– Tak – potwierdziła. – Myślę, że to prawda, ale to nie jest prawda faktów. Nigdy nad tym nie dyskutowaliśmy, najwyżej szukaliśmy jakichś aluzji lub wysuwali niejasne sugestie. Nasze wzajemne stosunki z Aronem były sprawą bardzo delikatną. Oboje wiedzieli-

śmy, że dopóki jesteśmy zgodni, reszta plemienia zrobi wszystko, czego zechcemy. Nie mogliśmy pozwolić sobie na niezgodę ani nawet wstąpić na drogę, która mogłaby doprowadzić do jawnych nieporozumień, ponieważ wtedy plemię by się rozpadło. Powiedzia-

łam panu, że poczucie przynależności jest rzeczą bardzo ważną dla ludzi prymitywnych... podejrzewam, że dla wszystkich ludzi... ale zwłaszcza dla ludzi takich, jakimi my jesteśmy. A więc plemię, coś, do czego należymy, musi zostać zachowane w całości i my oboje poświęcamy temu celowi całą naszą energię od przeszło dwudziestu lat. Nie mogliśmy się ze sobą nie zgadzać. Ale to rzeczywiście prawda, że Aron od jakiegoś czasu pragnął wrócić na Nową Gwineę.

W ostatnich miesiącach czułam wyraźnie, że go to coraz bardziej dręczy.

– Czy domyśla się pani, dlaczego tak było?

– Nie. Może uważał, że dla nas, jego plemienia, nie ma tu przyszłości i że wszystkie nasze nadzieje wiążą się z powrotem w dolinę.

Ja natomiast jestem przeciwnego zdania. Starzy ludzie może zdołają dostosować się do tej zmiany, ale nie młodzi, nie kobiety i dzieci, nie ja ani Paul.

– A czy w swoich kalkulacjach brała pani kiedy pod uwagę, co stanie się z Bobem Caine'em?

135

Znowu podeszła do okna i opierając się o framugę przyjęła inną wdzięczną pozę. Minęła chwila, nim odpowiedziała

– Ma pan dar trafiania we wrażliwe miejsca. Przed dwoma prawie laty zdarzył się pewien incydent. Bob oskarżył Arona, że mu coś ukradł, ale nie chciał mi powiedzieć co. Aron zachowywał się z godnością, jak stare lwisko, choć nie zaprzeczył. Doszłam do wniosku, że musisi mu coś zabrać, nie uważając tego jednak za kradzież.

Wydawało mi się to trochę zabawne, bo nie wyobrażałam sobie, że Bob posiada coś, co można by mu skraść. Stosunki między nimi były zawsze chłodne, ale potem jeszcze się pogorszyły, więc zawsze starałam się traktować ich wzajemne opinie o sobie jako przesadne.

Przed pół rokiem odbyłam długą rozmowę z Aronem i wtedy dał mi wyraźnie odczuć, że Bob jest ciężarem dla plemienia, które ponosi za niego odpowiedzialność, a ja go utrzymuję (szczerze mówiąc to prawda), bo chcę zadość uczynić duchowi mojego ojca. Naturalnie nie wyraził się tak ani nie powiedział tego wprost. Chyba rzeczywi-

ście my wszyscy czujemy, że ponieważ Bob ściągnął na nas to nieszczęście, musi się w końcu okazać, że ta ofiara nie była daremna.

To jest irracjonalne, ale bardzo silne.

– Rozumiem – przytaknął Pibble. – Ale przejdźmy do następnej sprawy. Powiedziała mi pani, że Rebeka cierpi na dziedziczną chorobę krwi. Czy ktoś inny jeszcze ma tę chorobę albo podobną?

– Tylko Robin.

– Nawiasem mówiąc, kto jest jego ojcem?

– Bob. Czy nie zauważył pan podobieństwa?

Pibble poczuł, że blednie, że na udach i łydkach występuje mu 136

gęsia skórka. Ewa musiała zauważyć w nim tę zmianę.

– Niech pan nie wini Boba, inspektorze – odezwała się. – Czuł

się zagubiony i samotny i przyszedł na jedną z naszych uczt. Wie pan, on nie ma mocnej głowy, a na ucztach bywa atmosfera bardzo podniecająca seksualnie – i taka ma być. Życie Rebeki zupełnie się od tej chwili zmieniło, mam na myśli nie fakt współżycia z mężczyzną, ale to, że miała dziecko, normalne dziecko o właściwych kształ-

tach, o normalnych palcach u rąk i nóg. Nie widziałam w życiu nic równie pięknego. Proszę, panie inspektorze...

Prosi o co? Prosi, by zrozumieć? Nie, więcej niż to. Prosi nie ka-lać tego, co w ich opinii jest zupełnie w porządku i na co nie można już nic poradzić.

– Pani doktor – powiedział. – Znalazłem w chacie mężczyzn pod deskami podłogi miskę z wodą i pokrzwawioną koszulę. Na misce są odciski palców Robina, a z tego, co mi pani mówi, wnioskuję, że to jego krew. Plamy na koszuli układają się w wyraźny wzór, w rodzaj ściegu jodełkowego. Co to, według pani, znaczy?

– O Boże! – westchnęła Ewa. Przeszła przez pokój, usiadła na kanapie, na której zobaczył ją po raz pierwszy. Siedziała nieruchomo, jak wypchany ptak w szklanej klatce.

Rozdział VI

Kapłan jest przerażający. Ewa odczuwała przed nim strach od chwili, kiedy go zobaczyła po raz pierwszy. Wychodzi właśnie ze szkoły po swojej pierwszej lekcji. Jest rozgorączkowana, zmieszana
137

i gniewna. Ojciec w obecności całego prawie plemienia podkpiwał z jej nieznajomości języka i obyczajów Ku, a aluzje te, choć delikatne, były jednak tak wyraźne, że wszyscy po prostu ryczeli ze śmiechu.

Doprawdy, skąd mogła wiedzieć, że te dzikusy używają specjalnych form gramatycznych zwracając się do kobiet! Kiedy lekcja dobiegała końca, Ewa tak gorąco zapragnęła stamtąd wyjść, jak oni pragnęli zostać. Wyszła więc ze szkoły sama.

Kapłan ukręca szyję czarnemu kurczęciu. Siedzi ze skrzyżowanymi nogami dokładnie na środku kręgu ubitej ziemi przed swoją chatą. Przy nim pali się ognisko. Łokcie kapłana drgają rytmicznie, gdy powoli skręca szyję ptakowi, którego skrzydło trzepocze kon-wulsyjnie, czego on nie dostrzega, bo nie patrzy na to, co robi –

kieruje niewidzący wzrok wprost przed siebie.

To jego skóra nadaje mu tak straszny wygląd! Nie jest napięta, czarna, lśniąca i gładka jak skóra innych Ku, na widok której Ewa myśli o falach marszczących tafle wody w przystani. Wygląda, jakby został ulepiony ze zbyt mokrej gliny. Jego kształty są obwisłe, nie-zdecydowane, a pod jak gdyby martwą warstwą ciała nie wyczuwa się węzłów mięśni ani twardych zarysów kości. Ewa przypuszcza, że cierpi on na tę samą chorobę co dziewczynka siedząca obok niej w klasie. Szkołę zbudowano naprzeciwko chaty kapłana, tak że jego spojrzenie zdaje się spoczywać na Ewie. A

ponieważ to, co robi z kurczęciem, nie jest logicznym sposobem zabijania drobiu (gwał-

towny skręt i szarpnięcie, które kończy sprawę w jednej chwili), dziewczynka myśli, że to jakiś rytuał, czarna magia skierowana przeciw niej i że to kapłan właśnie wywołał ją ze szkoły przy użyciu tajemnych sił człowieka dżungli, bo zamierza jej zrobić coś złego.

138

Chciałyby wrócić do szkoły, ale się wstydzi, chciałyby iść polanką do domu i mamy, ale się boi. Stoi więc, patrzy na niego i ogarniają ją mdłości.

– Źle, że on to robi – słyszy głos ojca za swymi plecami. – Nie bój się, on nie jest taki straszny, na jakiego wygląda. Chodź za mną, ja go poproszę, żeby był życzliwy dla ciebie. Idź trochę za mną, ale nie stawaj na moim cieniu. On czyni małe czary za pomocą liści, a wielkie za pomocą bębnow, ale teraz prawie już zarzucił bębny.

Musi to robić z kurczakiem przy każdym nowiu, żeby zregenerować swoje siły. Poczekamy, aż skończy, to nie potrwa długo. Nie uważaj go za oszusta albo obłudnika, bo on po pierwsze dużo wie o leczni-czych właściwościach roślin, a po drugie prowadzi bardzo surowe życie. Niewielu ludzi w kościele szkockim może się z nim równać, ale najważniejsze, że wierzy w swoją siłę. Pamiętaj też, że przeszedł

przez okropności wtajemniczenia. Dziwne, że całkiem nie zwariował. Nie patrz teraz.

Ewa jednak patrzy. Kapłan bierze głowę kurczęcia do ust i prze-gryza mu szyję. Potem kładzie ptaka z wciąż jeszcze trzepocącymi skrzydłami na środku ogniska. Pióra strzelają w ogniu i czuć ich swąd. Podnosi z ziemi mały garnuszek, wypłuka do niego głowę i kładzie na wierzch pokrywkę. Następnie bierze dwa patyczki i z popiołu na brzegu ogniska wyciąga z ich pomocą inny garnuszek, z woskiem, którym zalepia pokrywkę. Zrobiwszy to rzuca na kurczaka patyczki i garść zeschniętych liści, a one palą się wydając silny ziołowy zapach.

Ojciec wysuwa się naprzód i mówi coś do kapłana, który odpowiada mu tymi samymi słowami. Ewa zna kilka z nich. Zaczyna się długa rytualna rozmowa.

139

Stojąc blisko Ewa widzi, że kapłan nie jest chory, ale że całą powierzchnię jego skóry – twarz, szyję, piersi, tułów, ramiona, uda, golenie, a nawet wierzch dłoni i palców – pokrywa deseń blizn, starych blizn, zapewne z czasów dzieciństwa, powstałych po sko-

śnych, płytkich nacięciach, nad którymi zwisają kawałki ciała. Nie zarosły one ran (zapewne im na to nie pozwolono) i w ten sposób skóra całego ciała jest na przemian to zgrubiała, to naciągnięta. Musiało go to wtedy piekielnie boleć. Jednak litość nie zmniejszyła odrazy i przerażenia, jakie czuje Ewa. Sponad pobrużdżonych policzków oczy starca patrzą złośliwie i groźnie. Cienkie wargi prawie się nie poruszają, gdy mówi (brzuchomówstwo należy pewno do jego „małych czarów”). Złożona z krótkich zdań rozmowa kończy się i ojciec wyciąga z kieszeni notes i ołówek. Kapłan nie odwraca-

jąc głowy sięga za siebie po niewielki zwój materiału i rozwija go.

W środku znajduje się szereg przegródek. Trzyma go przy nosie i przesuwał wzdłuż wacha, kichając przy tym, chrząkając i chicho-cząc. Trzykrotnie przerywał wachanie i wyjmował po jednym listku.

Potem rozwija materiał, kładzie trzy listki w szeregu przed sobą, zgarnia ręką trochę popiołu z brzegu ogniska, rozsypuje go wokół

liści tworząc jakiś wymyślny wzór, i śpiewa monotonię ostrym metalicznym głosem. Kiedy krąg z popiołu jest już zamknięty, kapłan wyjmował liście ze środka i zamazuje patykami swoje dzieło, wciąż śpiewając.

– Idź naprzód – mówi ojciec. – Utwórz z dłoni miseczkę i klęk-nij tak, żeby cię mógł dosięgnąć.

Kapłan kładzie w jej dłonie po kolei trzy listki, przy każdym wygłasza uroczystą przemowę. Ewa nie rozumie ani słowa.

140

– Możesz już wstać – mówi ojciec. Wciąż jeszcze zapisuje jakieś instrukcje w swym notesie, kiedy wreszcie Ewa odwraca się i odchodzi od kapłana.

Tego wieczoru ojciec dopełnia zaleconego obrządku, pali jeden liść i każe Ewie go wachać, zaparza dwa pozostałe i każe jej wypić napary. Tłumaczy, że kapłan mógłby po jej zachowaniu odgadnąć, czy go posłuchała, a jeżeliby myślał, że tego nie zrobiła, stałby się ich wrogiem i mógłby im przysporzyć kłopotów. Spalony liść pachnie żywicą. Jeden napar przyprawia ją o mdłości, drugi jest bez smaku. Ewa śpi przez czternaście godzin i nie pamięta, czy jej się coś śniło.

Zjadłszy śniadanie wychodzi, żeby popatrzeć na kapłana, i znowu widzi, że siedzi przed chatą i nie robi nic. Nadal jest okropny, przerażający. Jedno tylko sprawia jej ulgę: nie wydaje się jej, że patrzy wprost na nią.

Rozdział VII

Ewa ocknęła się z kataleptycznego snu niemal tak szybko, jak weń zapadła, nie trwało to więcej niż dwadzieścia sekund.

– Czy mogłabym prosić, żeby pan najpierw zapytał Robina? –

zwróciła się do inspektora. – Jeżeli on panu nie powie, wtedy ja powiem.

– Pani uważa, że to ważne, kto mówi, prawda? – odparł Pibble.

– To pewnie dlatego właśnie Rebeka miała mi rano wyjaśnić sprawę tego pensa?

– Tak.

– A czy zechciałaby mi pani powiedzieć, po prostu żeby mi 141

oszczędzić konieczności węszenia po całym domu, czy Aron mógłby pochwalać to, co działo się w chacie mężczyzn?

– On najmniej ze wszystkich.

– Był bardzo żarliwym konwertytą.

– Myślę, że pan widział obraz w jego pokoju.

– Uważam go za bardzo dobry.

– Paul nie chce o tym mówić.

Pibble wskazał na czapkę i dżentelmena w meloniku.

– A czy o tym by mówił?

– Tak. Jest podniecony, kiedy maluje, i jeżeli nie ma mnie w pobliżu, mówi sam do siebie. A potem robi się zgorzkniały i przeko- nuje mnie, że to, co namalował, jest okropne.

– A jeżeli chodzi o to, co malował dla mnie dziś rano, czy o tym by rozmawiał?

– Tak. Malował te sceny już poprzednio kilkakrotnie i dlatego idzie mu to tak sprawnie. Dręczy się tym tak samo jak ja, tylko że on znajduje ujście dla swoich uczuć w malowaniu. Samą ideę zaczerpnął z kartki przysłanej mi na Boże Narodzenie przez moją nianię.

Była to droga kartka, reprodukcja „Rzezi niewiniątek” Breughela.

Niania ma talent do nietaktownych posunięć.

– A czy inni to widzieli? – dopytywał się Pibble. – Czy Aron widział?

– Nie sądzę. Paul zawsze pali te obrazy, tak jak dziś, a potem rozprawia o trudnościach technicznych związanych z ich wykona- niem. Obraz, który wisi w pokoju Arona, zrobił za jednym posiedze- niem i nigdy nie powiedział słowa na ten temat.

Inspektorowi stanęła przed oczyma chata mężczyzn z porozsta- wianymi w niej cuchnącymi, prymitywnymi przedmiotami kultu 142

i jakże odmienna od niej, schludna i przestronna chata kobiet, a także postacie trzech staruchów, zbiegających ze schodów, by nie patrzeć na gorejące „Ukrzyżowanie”.

– Czy Aron często zachodził do chaty mężczyzn? – zapytał.

– O nie, wcale tam nie zaglądał. – Ewa zaczęła mówić szybko, jak uczoney recytujący znane fakty. –

Chata mężczyzn jest w swej istocie demokratycznym pomysłem, mającym zapobiec zbytnej koncentracji władzy. Z grubsza biorąc, można by ją porównać do parlamentu z czasów Jakuba Pierwszego. Idea chaty jest często spotykana wśród ludów prymitywnych, ale na ogół traktowana była czysto formalnie, i to tak dalece, że ludzie zapomnieli, jaką właściwie pełniła funkcję. W większości wypadków energiczni wodzowie odebrali jej do reszty znaczenie i w ogóle przestano w niej dostrzegać jakiegokolwiek demokratyczne elementy. Jednakowoż u nas, przede wszystkim dlatego, że wodzowie są obieralni – system dzie-dziczenia władzy niełatwo się przyjmuje w matriarchalnym społeczeństwie – chata mężczyzn pozostała czynnikiem przeciwstawiają-

cym się autokratyzmowi wodza, co znalazło swe formalne odbicie w tabu, nie pozwalającym mu na przekroczenie jej progu. Większość dorosłych Ku zdaje sobie sprawę z podstawowej funkcji chaty, chociaż nie umieliby tego ująć w słowa, a jednocześnie z ogromnym lękiem przestrzega tabu.

– To znaczy, że Aron mógłby nie wiedzieć, gdyby coś się tam działo.

– O, wiedziałby natychmiast – odparła Ewa. – A ostatnio musiałyby słyszeć bębny.

– Ma pani na myśli te ich stukoty i łomoty, jak wyraził się 143

Youbegood? A czy nie robiliby tego, nawet gdyby on wiedział? I czy kobiety by tego nie słyszały?

– Nie mogliby użyć bębnow bez Robina. Nikt by go nie mógł

zastąpić. Stary kapłan był bratem jego matki. A teraz, gdy już wiem, co to znaczy, przypominam sobie, że czasem mężczyźni nie przy-chodzili na pewne programy telewizyjne, które zazwyczaj oglądali.

– Co mogło być przyczyną tego wszystkiego? – zapytał Pibble.

– Nie mam pojęcia. Oni wszyscy są... no, rozsądni, trzeźwi, zrównoważeni. Tak samo jak ja troszczą się, żeby plemię jako całość przetrwało, a muszą przecież zdawać sobie sprawę, że w ten sposób to uniemożliwiają. Kobiety byłyby wściekłe. Paul i ja... och, nie mogę tego zrozumieć...

Co, Paul i ona? Także byliby wściekli? Zdradzeni? Ojciec zdra-dzony?

– A gdyby Aron się przekonał – zapytał – że doszło do takiego kryzysu, czy nie próbowałby czegoś zrobić?

– Z pewnością. Ale chyba nie od razu. On lubił przeżuwać problemy, nieraz całymi miesiącami.

– Wygląda, jakby cała ta historia ciągnęła się od miesięcy, choć może dopiero teraz dojrzała. A czy pani sądzi, że jego pragnienie powrotu na Nową Gwineę mogło mieć z tym coś wspólnego?

– Może, ale nie wiem co.

– A jak pani sądzi, czy starzy mężczyźni mogliby go zabić, gdyby znalazł jakiś sposób na udaremnienie ich – obojętne jakich –

planów?

Ewa była załamana, cała jej wnikliwa znajomość spraw plemienia, cała pracowicie nagromadzona wiedza nie przydawała jej się 144

na nic, była bez wartości.

– Nie wiem – wahała się. – Chociaż może tak. Skoro posunęli się już do tego, żeby poświęcić Robina, mogliby chyba zrobić wszystko. Ale to tylko moje domysły, panie inspektorze. Przez te długie lata dążyliśmy powoli naprzód. Nie pamiętam, żebyśmy się kiedyś cofali. Biedne dziecko! Nic dziwnego, że wołał nie iść do szkoły.

– Chyba z nim teraz pomówię – rzekł Pibble.

– Znajdzie go pan prawdopodobnie w świetlicy juniorów albo w świetlicy seniorów, na dole, na prawo albo na lewo od głównego wejścia.

W świetlicy juniorów młoda kobieta robiła na drutach i pilnowała małej dziewczynki, która siedząc na środku podłogi darła broszurkę Biura Porad dla Obywateli na równe paseczki, z których wiała gniazdko dla mocno sfatygowanej świnki z Arki Noego. W świetlicy seniorów Paul czytał „Time”. Powiedział, że Robin zszedł na dół.

Pibble zastał go samego w kuchni mężczyzn. Robił coś bardzo dziwnego. Siedział przy sosnowym stole, a przed nim stał talerz duszonej potrawy, którą Robin chłęptał językiem, jak pies. Jedną ręką trzymał się z tyłu za plecami za przegub drugiej. Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi spojrzał przez ramię, ale nie starał się nawet zetrzeć zakrzepłego na nosie i brodzie sosu.

Pibble podszedł do piecyka i dotknął rondelka. Nie był zupełnie zimny, ale na pewno miał temperaturę niższą niż ludzkie ciało. Robin począł znów bezceremonialnie chłęptać.

– Dlaczego tak jesz? – zapytał detektyw.

– To należy do moich obowiązków – tłumaczył Robin. – Słyszałem, że znalazł pan moją koszulę, więc myślę, że był pan u Ewy 145

i że on wszystko panu wyjaśnił,

– Pani doktor Ku poleciła mi najpierw ciebie zapytać.

– Słusznie – odparł Robin – ale nie myślałem, że tak robi.

– Mówiąc „moje obowiązki” masz na myśli bicie w bęben?

– Poniekąd.

– Czy bardzo cię bolało, kiedy ci nacinali plecy?

– Wziąłem cztery aspiryny, a oni nacinali żyletką. Melchizedech powiedział, że w dolinie robili to kamiennym nożem.

– Kto to robił?

– Izmael i Daniel. Musieli to robić oni, bo... Ach, to za trudno wytłumaczyć. Daniel nie chciał, ale go namówiłem. A teraz wszyscy są z tego zadowoleni. Wprawiłem ich w zachwyty bijąc w bęben.

Naprawdę! Wie pan? Ja jestem ten Wielki!

– Chciałbym usłyszeć, jak bijesz w bęben.

– Przyjdź dziś wieczór, człowieku. Oczaruję i ciebie.

– Przyjdę, jeżeli będę mógł. Czy to dlatego, że będziesz uderzał

w bęben palcami, nie możesz się nimi posługiwać przy jedzeniu?

– Trochę i dlatego, ale ja w ogóle muszę robić różne rzeczy w niewłaściwy sposób, po prostu żeby pokazać, że nie jestem pospolitym człowiekiem, takim jak inni. Czy pan zauważył, że wchodząc dziś do chaty mężczyzn zrobiłem inny znak niż tamci? Tak to jest.

Byłoby mi łatwiej, gdybym był małpą i mógł jeść palcami nóg. Czasami myślę, że to niewarte takiego zachodu i że nie będę już tego robił, ale to nonsens.

– Jak to się zaczęło?

146

– Chciałem bić w bębny... pan wie, jak Ringo... a oni chcieli mieć kapłana, więc pożyczyłem książkę od Ewy, żeby się dowiedzieć na czym to polega. Pan wie, jak to było z Ewą? Zanim jeszcze przyszli Japończycy, on się śmiertelnie bał człowieka, który tam w dolinie bił w bęben, więc jego ojciec chciał, żeby przewyciężył ten lęk poznając wszystko, co robił mój wujek, i opisując to w książce.

Właśnie za tę pracę uzyskał doktorat. No więc kiedy przeczytałem o tym wszystkim, zrozumiałem, że to właśnie chcę robić. Wydawało mi się to takie słuszne. Oczywiście musiałem wiele rzeczy wymy-

ślać. Nie ma tu na przykład właściwych liści i patyków. Co dzisiaj palono w pogrzebowej lampie? Pan wie, przy zamordowanym?

– Poznałem tylko swąd gumowego kabla i woń rozmarynu.

– Nieźle. Musieli narobić takiego smrodu, żeby duch zmarłego przestał tęsknić za powrotem. Pan rozumie, mnie jest znacznie trudniej niż innym naprawdę należeć do plemienia. Nie wyglądam tak jak oni, prawda? Ale kiedy zostanę kapłanem, będę rzeczywiście jednym z nich. Nie będą mogli obejść się beze mnie.

– Mówisz tak, jakbyś już teraz był jednym z nich – powiedział

Pibble. – Czy naprawdę uważasz panią doktor Ku za mężczyznę?

– Oczywiście. Tak mnie nauczono. W mojej szkole jest tłu-

ściutka mała dziewczynka, która się nazywa Ewa, i wciąż wydaje mi się dziwne, że ma męskie imię.

– A co zrobisz, kiedy będziesz musiał jeść w szkole?

– Ach, wszystko będzie w porządku. Poza domem jestem Robinem Ku. Tylko w domu jestem kapłanem. Prawdziwe kłopoty się zaczną, kiedy będę musiał mieć blizny na rękach i twarzy, ale to jeszcze nieprędko.

147

– Czy to ty wychodzisz na dach wieczorem?

– Skąd pan wie? Przecież oni wszyscy śpią.

– Powiedział mi Jimmy Youbegood. A dlaczego ty nie śpisz?

– Nie lubię piwa.

– A pokażesz mi, którędy wychodzisz? To może mieć dla mnie znaczenie.

– Naturalnie, jak tylko to skończę.

Do licha, rozmyślał detektyw, i co tu robić z tą całą obłąkaną historią? Towarzystwo Opieki nad Dziećmi... ale nie wiem, czy oni by się chcieli tym zająć. Przyglądał się, jak Robin chłepcze jedzenie.

Całkiem sprawnie. Kiedy skończył, wyjął z kieszeni dwa patyczki, podniósł nimi talerz, poszedł do zlewu, puścił wodę przechylając przy pomocy patyczków talerz we wszystkie strony. Kiedy uznał, że jest wystarczająco czysty, przeniósł go na ścierkę. Potem podszedł

do pieca – starego, opalanego koksem – i rzucił patyki w ogień.

– Będziemy musieli sprowadzić Eliasza, żeby nas wpuścił –
powiedział.

– Nie powinno być teraz zamknięte.

– O... A co pan zrobił z wodą w misce?

– Zaniesiono ją do laboratorium na badanie.

– Ojej... to okropne! Myślę, że to nie pana wina, ale... Zresztą mniejsza z tym! Coś wymyślę.

Fernham stał w otwartych drzwiach chaty, znudzony, ale już przywykły do nudy. Robin sypiał na stosie koców w specjalnej niewielkiej kapliczce w najdalszym kącie na prawo, za bębnami. Poruszył malowane przepierzenie, zrobione ze starej skrzyni na herbatę przesunęło się cicho, odsłaniając ścianę najwyższej metrowej 148

wysokości, sięgającą pochyłości dachu, w rogu widać było drzwi, prowadzące w mrok. Robin wpęłzył tam, Pibble poszedł za jego przykładem i znalazł się w czarnym tunelu. Posłyszał chrobot nad głową, ukazało się światło. To Robin otworzył drzwi w dachu. Tunel miał

na tym odcinku kształt trójkątny i prawdopodobnie biegł po tej stronie poddasza między ową metrowej wysokości wewnętrzną ścianą a rzeczywistym murem domu, tam gdzie belki podtrzymujące dach dochodziły do poziomu podłogi. Jedna z głównych belek, ogromny bal, charakterystyczny dla Flagga, zwężyła trójkąt tunelu między detektywem a drzwiami zapadowymi do tak niewielkiej przestrzeni, że Pibble ledwo się prześliznął.

Na zewnątrz znajdowały się blankowania. Z bliska nie wydawały się takie zabawne, bo były solidne, nie dały się skruszyć pełnemu siarce powietrzu Londynu. Wzniesiono je z granitu, nie z porowatego piaskowca, jak oczekiwał Pibble. Stary Flagg musiał ten granit specjalnie sprowadzać z Edynburga, płacąc wysoką cenę. Każdy krenelaż był starannie wykończony i wewnątrz, i na zewnątrz.

Pibble posuwał się wzdłuż wąskiego pasa blachy ołowianej po-między pochyłymi dachówkami a murem, co kilka kroków rzucając okiem na ulicę, żeby się zorientować, gdzie się znajduje, aż zobaczył, że jest wprost nad gankiem, a zatem i nad drzwiami klatki schodowej.

Przechylił się między dwiema płytami granitu i spojrzał w dół. Z

trzepotem skrzydeł trzy gołębie zerwały się ze swej grzędy na rurze spustowej o przeszło metr niżej. Pod tą rynną były jeszcze inne rury, i to w takiej ilości, że z miejsca, z którego patrzył, wydawało się, że 149

jest tu więcej metalu niż cegieł Jeżeli Caine rzeczywiście wdrapywał

się po tej fasadzie, to prawdopodobnie będzie można dostrzec ślady na rurach. Pibble pomyślał, że tylko jakiś wyjątkowo pedantyczny alpinista albo morderca zacierałby swoje ślady w takich okoliczno-

ściach. Wyciągnął jeszcze bardziej szyję, tak że mógł rozróżnić poszczególne okna, i próbował odtworzyć trasę tej wspinaczki, tak jak mu ją nakreślił Ned Rickard. To musi być przewód wentylacyj-ny, a więc to jest rura odprowadzająca, po której, sądząc po nagromadzonem na niej ptasim łajnie, z pewnością od lat nikt nie chodził.

Poza tym, wszystkie rury były pochłapane i poplamione tak, że trudno byłoby wydać jakiś sąd. Mogła przejść po nich cała armia – każda plama mogła być śladem czyjejs stopy – a mógł nie przechodzić nikt.

Trudno było coś powiedzieć na taką odległość. Z bliska wyglądałoby to inaczej, ale trzeba by

wznieść kosztowne rusztowania po to tylko, żeby usprawiedliwić podejrzenia jednego policjanta.

Pibble wycofał się z budzącego pokusę miejsca między krenela-

żami jak żółw chowający się do skorupy.

– Czy jest jakaś inna powrotna droga do domu? – zapytał.

– Są drzwi tutaj, na środku dachu, które otwierają się na schody, a tam są drugie, podobne do tych, którymi wyszliśmy po drugiej stronie, ale one prowadzą do chaty mężczyzn, a osłona tych drzwi jest mocno przybita. Pokażę panu, kiedy wrócimy.

Pibble obejrzał dach. Miał on kształt litery E, której prosta część zwrócona była na ulicę, a trzy ramiona ku ogrodowi. Pozostałe dwie klapy wjazdów były zaryglowane od wewnątrz. Przeskoczył w nie-zbyt elegancki sposób niski murek i próbował klap numeru ósmego.

Dwie zewnętrzne były zaryglowane i pokryte mchem, który robił

150

wrażenie nie naruszonego. Kiedy ukląkł przy otworze wychodzącym na klatkę schodową, klapa zaskrzypiała i uniosła się. Ukazała się blada, nadąsana twarz.

– Nie chciałbym, żeby pan poślubił moją córkę – powiedział

Jimmy Youbegood.

Drzwi zatrzasnęły się. Pibble otworzył je i zawołał:

– Hej!

Ukazała się znowu głowa pana Youbegooda.

– Usłyszałem hałas i pomyślałem, że lepiej wyrzeć – powiedział.

– Na czym pan stoi?

– Na skrzyni z rupieciami. Niewarte to nawet szeląga. Nie wiadomo czyje.

– A czy ktoś jeszcze mógłby tu przyjść i wydostać się tędy?

– Ale ja bym go słyszał.

– Jimmy, tutaj jest mnóstwo ołowiu.

– A jest. Czemu miałoby nie być! Hej! Co pan ma na myśli?

Przecież nic tu nie brakuje, prawda?

– Nie, chyba nie. Ale nie pojmuję, jak pan mógł słyszeć u siebie, co szeptano na ich poddaszu albo też ich stukoty i łomoty. Zbyt solidnie są te domy zbudowane.

– Na rany Chrystusa! – zirytował się Jimmy – oczywiście się rozglądałem. Mam paru przyjaciół w tej branży, co to pan myśli, i jeżeli mnie stąd wyrzucą, niewykluczone, że się do nich przyłączę, ale nie zerwę przecież dachu znad głowy. Mówiąc między nami, przed miesiącem byłem tutaj i właśnie wtedy pierwszy raz usłysza-

łem ten hałas. Jakby grzmiało. A potem zawsze wiedziałem, kiedy tam są. To właściwie nie jest hałas, tylko tak jakby wszystko u nich

drżało, jakby pod uliczką przebiegała kolej podziemna. A czy pan wie, co oni robią?

– Biją w obrzędowe bębny. Dziękuję, Jimmy. Jesteś pewien, że nikt nie mógł tu przyjść zeszłej nocy tak, żebyś nie słyszał?

– Jestem pewien. Mam dobry słuch. Wuj Izaak chciał, żebym otwierał sejfy, zamki szyfrowe i różne, ale nie miałem do tego zdolności. Pan się nie obrazi, jak zapytam: to pan jest Pibble?

– Tak – odparł detektyw. – Skąd wiesz?

– Bo to taka śmierdząca sprawa. Nie przysłaliby tu nikogo z ważniaków, zbyt wiele do stracenia, nic do zyskania. Powodzenia.

Głowa się cofnęła, drzwi się zamknęły, rygle wróciły na miejsce.

Tak, śmierdzące sprawy to rzeczywiście jego specjalność, boczny tor dla dobrze zapowiadającego się niegdyś policjanta. No cóż, do tego jest właśnie stworzony, choć pani Pibble może być innego zdania.

Jeżeli ma zostać i posłuchać, jak Robin bije w bębny, będzie musiał

wkrótce do niej zadzwonić i załagodzić sprawę. Aha! Pamiętać, niech Strong zbada wyjścia z innych domów w osiedlu, bo choć to nie ma specjalnego znaczenia, ktoś może o to zapytać. Ważną rzeczą jest przejście do numeru dziewiątego.

Tym razem łatwiej mu było przejść przez tunel, przesunął się na plecach pod belką i w tym momencie zdał sobie sprawę, że żaden z klockowatych staruchów by tego nie dokazał. Fernham stał na najwyższym podeście i wspinał się na palce, aby obejrzeć rygle u środ-kowej kłapy w dachu.

– Nie ruszajcie ich – przestrzegł go Pibble.

– Nie ruszę, panie inspektorze. Słyszałem, że pan tam chodził, 152

i pomyślałem, że lepiej się rozejrzeć. Wszystko jest zasnute pajęczynami, panie inspektorze. Myślę, że przynajmniej od paru miesięcy nikt tych drzwi nie otwierał.

– Wierzę wam – powiedział Pibble. – Dobrze, Robinie. To by-

łoby wszystko, jak na razie. Dziękuję.

– Czy moglibyśmy już iść do chaty, proszę pana? – zapytał Robin. – Mnóstwo czasu nam zabierze doprowadzenie wszystkiego do porządku przed nocą. Ależ to teraz okropnie wygląda, prawda?

– Fernham, czy ludzie z laboratorium już skończyli?

– Tak jest, panie inspektorze.

– A więc w takim razie zgadzam się, Robinie. Chciałbym przyjść i posłuchać, jeżeli wolno. Sądzę, że uczciwość wymaga, bym przyznał, że będę musiał podjąć jakieś działania w związku z pewnymi sprawami, które się tu działy.

Robin przestał grać rolę grzecznego chłopczyka. Na jego czarnej twarzy o miękkich liniach rysowała się przebiegłość dorosłego.

– Dlaczego? – zapytał. – Czy to pańska sprawa? Ręczę panu, że jeżeli Towarzystwo Opieki nad Dziećmi zacznie tutaj węszyć, nie wydusi pan już jednego słówka więcej ani ze mnie, ani z żadnego ze starych mężczyzn.

– Ręczysz mi?

– Tak.

Hm. Wyglądało na to, że jest dwóch Robinów: jeden, wielbiciel Ringo, gotów ulec kaprysom straszliwych starców plemienia i znieść wiele bólu, byle tylko móc walić w bęben, i drugi, dobosz dżungli, dobrowolnie przechodzący przez czyściec wtajemniczenia, aby po-siąść władzę nad starszyzną. Albo nawet stanowił połączenie... A, do 153

diabła z tym wszystkim, wracaj do swojej sprawy, policjancie!

– Więc ty i starcy moglibyście powiedzieć mi więcej?

– Oczywiście. Nie o wiele nas pan pytał.

– Czy Aron wiedział, że grasz na bębnie?

– No myślę. Musiał słyszeć, a mogłem to robić tylko ja.

– Dlaczego?

– Kapłan w wiosce był bratem mojej matki. Jestem jedynym, który może to robić.

– A czy nie ma znaczenia, kto jest twoim ojcem?

– Absolutnie. Czy nie powiedziano panu, że jesteście społecznością matriarchalną?

Chłopak z całą swobodą, choć bez żadnej zarożumiałości, spojrział na niego przeciągle, wyzywająco.

– No więc, co jeszcze wiesz?

– Nie można powiedzieć, że wiem... w każdym razie nie tak, jak wy to rozumiecie... z odciskami palców i tak dalej. Ale to nie był

nikt z chaty mężczyzn, to pewne. Nie spałem całą noc, bo bolały mnie plecy i byłbym słyszał, gdyby się ktoś ruszał.

– Słyszałbyś? Poruszają się za cicho, żebyś ich mógł słyszeć.

– Ale ja bym słyszał. Jestem jednym z nich.

– A jeżeli chodzi o kobiety?

– Wykluczone. Kręciły się wokół niego, jak dzieciaki wokół

nauczyciela, przynosiły mu piwo, zwijały papierosy, wycierały mu nos, kiedy miał katar. I nawet nie rzuciły okiem na swoich męż-

czyn. To było strasznie niesprawiedliwe!

– A Ewa i Paul, jak to przedtem sugerowałeś?

– Musieliby to zrobić wspólnie, prawda? A Ewa za nic nie chciałaby zniszczyć swego prywatnego zoo. On ma nas tu wszystkich 154

jak myszy w laboratorium, więc po cóż miałby pozbawiać się tej zabawy – dlatego tylko, że jakiś stary grzyb sobie tego życzy?

– A więc uważasz, że to nikt z tego domu?

– Nikt. Naprawdę jest tylko jedna osoba, która mogła to zrobić.

– Tylko że to wszystko, co mówisz, to nie są fakty.

– Byłyby to dla pana fakty, gdyby pan żył wśród tych ludzi czternaście lat i obserwował ich zachowanie.

To prawda. W tym cała bieda, jeżeli chodzi o pracę policji. Człowiek włącza się w jakąś sprawę, chce prymitywnym nożem z epoki kamienia badać delikatne tkanki powiązań międzyludzkich, ale oczywiście niszczy znacznie więcej, niż odkrywa. A to, co zobaczy, nie jest już tym samym, co przed jego przyjściem, bo pozostają ślady zniszczenia. Zadaje się pytania, które wystawiają na niszczące dzia-

lanie światła te tkanki, które są zdolne przetrwać i pełnić swe zadania tylko w osłaniającym je mroku.

Pibble westchnął i otrząsnął się. Spraw sądowych nie opiera się na tak ulotnych elementach. Liczą się tylko fakty.

– Okay – powiedział. – Spróbuję sobie wmówić, że to, co się z tobą dzieje, nie jest moją sprawą, jeżeli ty się postarasz przekonać starców, żeby mi powiedzieli wszystko, co wiedzą. Myślę, że wiem, kto jest tą jedyną osobą, którą masz na myśli, ale to jest dla mnie bez znaczenia, skoro nie mogę tego dowiedzieć. Ponownie przeprowadzę rozmowę z panią doktor, a potem będę chciał rozmawiać po kolei z mężczyznami. Mogą poczekać na mnie w świetlicy seniorów. Jak już się przygotuję, będę ich prosił do małego pokoiku na drugim piętrze. Potem odeślę ich do ciebie, żeby ci pomogli wszystko przygotować. Kiedy zaczynacie?

155

– Po kolacji – powiedział Robin. – Czy mógłby pan przyjść ko-
ło wpół do dziewiątej?

Paul był sam w jasnym pokoju na dole i malował w dziwny sposób: jednym powolnym pociągnięciem pędzla z góry na dół nakładał

na arkusz białego papieru szeroki pas pomarańczowej farby plakatowej. Pasy te wychodziły zdumiewająco prosto i gładko, z pochyło-nego pędzla farba spływała tak równo, jak gdyby w rękojeści znajdował się pojemnik. Paul pracował nad tym arkuszem, aż przesłonił

całą jego niewinną białość pomarańczowymi pasami. Potem odłożył

pędzel, obrócił papier o sto osiemdziesiąt stopni i badał każdy pasek po kolei. Następnie zgniół arkusz i rzucił go na podłogę, na której znajdowało się już około dwudziestu takich kulek.

– Co pan robi? – spytał Pibble.

– Uczę się. Uczę się, tak jak dziecko uczy się gry na skrzypcach. Późno zacząłem malować i jeszcze wiele mam do zrobienia.

Ewa poszła na spacer. Jest zdenerwowana.

– Bardzo mi przykro.

– Przyszedł już na to czas, nawet gdyby Aron nie umarł.

– Ma pan na myśli, że plemię zdecydowałoby się zerwać z nim... nią... i wrócić na Nową Gwineę?

– Zapewne.

– Po czyjej jest pan stronie?

– Po czyjej stronie?

– Czy pan uważa, że powinni wracać?

–

Nie chcę, żeby odeszli. Są mi niezbędni w mojej pracy. Czerpię siły twórcze z ich rozkładu... z naszego rozkładu. Poza tym pragnę tego, co Ewa, jesteśmy bardzo harmonijną parą, panie inspektorze.

156

Cisza, chociaż w powietrzu drżą jeszcze echa jego zdumiewającego miękkiego basu, jak gdyby znieruchomiały w tej ciszy.

– Ale pan nie odpowiedział na moje pytanie – zauważył Pibble.

– Bo ono właściwie nie ma sensu i dlatego odpowiedziałem tylko z osobistego punktu widzenia. Nie można panie inspektorze, traktować plemienia jako żywego organizmu, do którego mogłyby się odnosić takie słowa jak „powinni”. Plemię jeszcze nie umarło, ale utknęło w martwym punkcie i już z niego nie wyjdzie. Mieszkańcy tego domu są jako ludzie warcy tego, żeby o nich myśleć i troszczyć się. Ale sami na ogół nie uważają siebie za poszczególnych ludzi, tylko elementy całości, która została zniszczona przed dwudziestu pięciu laty i oddycha jedynie dzięki cudowi, dzięki woli Arona i umiejętnościom Ewy. Ten dom to żelazne płuco.

– W chacie mężczyzn odbywały się jakieś obrządki z bębnami

– powiedział Pibble.

– Jak to? A tak, to Robin bił w bęben. Czy Aron o tym wiedział?

– Ewa i Robin przypuszczają, że wiedział. Czy ona... on nie mówił panu?

– Niech pan używa rodzaju żeńskiego, panie inspektorze. Aronowi nie podobałoby się bicie w bębny. To byłby znak, że wola zaczyna tracić władzę nad ciałem. Powiedziałem panu, że zbliżała się już pora.

– Co mógłby zrobić, żeby to powstrzymać?

– Mógłby...

Znowu cisza. Paul wziął inny pędzel, tym razem malutki, i zanurzył go ostrożnie w dzbanku farby do podłogi. Z rozmachem nakre-

ślił wielkie O na czystym arkuszu papieru leżącym przed nim.

157

Włożył pędzel do wody, wziął linijkę i wymierzył swoje kółko wzdłuż i wszerz.

– Czy pan żywi podziw dla Giotta, panie inspektorze?

– Bardzo lubię jego obrazy.

– Ja także. Ale... co i pan wyraził przez swoją połowiczną odpowiedź... jego dzieło nie dorównuje jego talentowi. Łatwo jest narysować coś, co przypomina koło, bardzo trudno narysować prawdziwe koło.

– Wróćmy do Arona.

– Myliłem się, panie inspektorze. Nie mógłby zwołać całego plemienia i użyć swojego autorytetu wodza, aby zakazać bicia w bębny, ponieważ ten autorytet należał do tego samego świata, co i ten obrządek. Jego władza jako wodza wyrastała z tych samych korzeni co władza kapłana bijącego w bęben. Jeżeli Aron miał prawo zakazać bicia w bębny, to Robin miał prawo to robić. Mógł próbować ich przekonywać, ale nie wiem, jakich argumentów mógłby użyć. Nawet wielebny Mackenzie nie zakazywał bicia w bęben – on nas po prostu od tego odciągał, a kiedy kapłan przekonał się, że nie przychodzimy, schował swoje instrumenty.

– Odciągał was?

– Może istnieje jakieś lepsze słowo, panie inspektorze, trudno to wytłumaczyć. Dla prostych ludzi wielebny Mackenzie był cza-rownikiem. Teraz wiem, że jego magia to przede wszystkim hipnoza, ale nie sądzę, żeby on sam zdawał sobie z tego sprawę. Przed nim był u nas inny misjonarz, wielebny Smith, dobry człowiek, byłem jego służącym. Pracował ciężko, a potem umarł. Wierzyliśmy, że nasz kapłan zabił go bębnami, ale nie przejmowaliśmy się tym.

158

Potem przyszedł wielebny Mackenzie. Nasz wódz, Akotapolulo, zarządził, że mamy go przywitać uroczyście całym plemieniem.

Przechodził pomiędzy nami, rozmawiał z wodzem dialektem sąsiedniego plemienia, bardzo podobnym do naszego. Mówił także z kapłanem. Potem ukląkł i modlił się głośno w swoim własnym języku wśród nas wszystkich, a następnie spojrzął po mężczyznach. Jego wzrok padł na mnie i polecił mi, bym go zaprowadził do jego chaty.

Nie byłem ubrany inaczej niż reszta chłopaków – nasze plemię nie nosi ubrań – a jednak wybrał mnie, służącego dawnego misjonarza, więc zaprowadziłem go do jego chaty. Nie minęły dwa dni, a wszyscy mieszkańcy wioski nieustannie szukali go wzrokiem, w nadziei, że zobaczą wielebnego Mackenzie, jak będzie przechodził z chaty do szkoły albo ze szkoły do ołtarza, który sam wybudował pod wielkim drzewem. Wzniósł go własnymi rękami i nie pozwolił sobie pomagać. Wkrótce było

tak, jak gdyby wśród nas żył Bóg. Myśliwi starali się go dotknąć, nim ruszyli w góry, a kobiety mające rodzić błagały, żebym ukradł dla nich coś, co do niego należy, bo chciały trzymać jakąś jego rzecz w rękę, gdy przyjdą na nie bóle. A wszyscy starali-

śmy się zdobyć jego względy, robiąc to, czego, jak sądziliśmy, chciał, chociaż on rzadko wyjawiał nam wyraźnie swoje życzenia. W

końcu i kapłan zaniechał swoich bębnow i posługiwał się tylko liść-

mi i ogniem. Chciał powrócić do bębnow, ale nie zdążył – zastrzelili go Japończycy. Znalazłem go pomiędzy nimi.

– Czy bębny są czymś niewłaściwym?

– Są czymś innym, panie inspektorze. Są tak różne od chrześcijaństwa, jak moja skóra od pana skóry.

– Dlaczego całe plemię się nie ukryło?

159

Paul wziął żyłkę i wyskrobał cieniutką kreskę, którą zabłąkany włoszek pędzla zepsuł mu kształt jego O.

– Tak na pewno to nie wiem – odrzekł. – Akotapolulo nie żył i decyzję podjęli wspólnie Mojżesz z mężczyznami z chaty oraz wielebny Mackenzie. Ale miejsce, gdzie żyje plemię, jest święte, podwójnie święte, ponieważ żył tam sam wielebny Mackenzie. Nikt by go nie opuścił z własnej woli, tak jak nie opuszczali swoich świątyń mnisi w czasie najazdu Gotów. Prawdopodobnie powiedzieli sobie, że niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie, że Japończycy chyba wcale nie przyjdą. Bob jednak musiał się ukryć i musiało iść z nim tyle ludzi, żeby mu zapewnić opiekę. Wydawało się rzeczą rozsądną posłać dość dużą grupę, nie tak dużą jednak, aby rzucało się w oczy, że wioska się wyludniła. Myśleli, że jeżeli usuną ślady obecności Boba, wszyscy będą bezpieczni. Kiedy po odejściu Japończyków wróciłem do wioski, znalazłem wielebnego Mackenzie powieszzonego w drzwiach jego własnego domu z wetkniętą między zęby paczką papierosów Boba. Nigdy nie mówiłem o tym Ewie.

Pibble starał się nie myśleć o tym.

– Wspomniał pan o chrześcijaństwie – powiedział. – Wydawało mi się, że Aron był żarliwym chrześcijaninem. Dlaczego miałby chcieć, żeby plemię wróciło na Nową Gwineę?

– Prawdopodobnie dlatego, że słyszał bębny. Może czuł, że chrześcijaństwo wśród nas nie ma takiej mocy jak w dolinie i wobec tego powinniśmy wrócić i rozpocząć na nowo od tego punktu, w którym przerwał wielebny Mackenzie, aby chrześcijańskie plemię zapuściło korzenie w swojej własnej glebie. Może on czuł, jak na pewno i ja sam bym czuł, gdybym nie miał Ewy i swojej pracy, 160

że nic, co się tutaj dzieje, nie jest naprawdę realne, że większość z nas umrze, a reszta ulegnie asymilacji i nie pozostanie śladu po plemieniu, jak po piwie rozlanym na piasku, a razem z

plemieniem przypadnie całe dzieło wielebnego Mackenzie i w końcu będzie tak, jakby wielebny nigdy nie przyszedł do nas i nie zmienił naszego życia. My, panie inspektorze, jesteśmy pewną mutacją antropologiczną. Wielebny Mackenzie był promieniem kosmicznym, który padł przypadkiem na organy rozrodcze jakiejś rośliny – jakiegoś nikłego żółtego kwiatka o pojedynczej koronie płatków – i sprawił, że zakwitł podwójnie. Potem nadeszły przymrozki i Ewa umieściła nas w tej cieplarni, gdzie marniejemy. Więc Aron chciał przesadzić nas z powrotem na rodzimą glebę, teraz, gdy minęły już przymrozki.

Prawdopodobnie kierowały nim podobne motywy. Pana nie przekonują analogie?

– Na ogół nie.

– Mnie także. Ale wielebny Mackenzie był fenomenem swego rodzaju. Proszę spojrzeć.

Paul schylił się i wyciągnął z dolnej szuflady pękaty blok. Były tam studia z natury. Na wierzchu przeważnie koty, potem ludzie: wspaniała, choć życzliwa karykatura Jimmy Youbegooda, kilka portretów mężczyzn z plemienia, wykonanych różnorodnymi technikami: jedne piórkami, inne paroma pociągnięciami pędzla, wiele portretów Ewy i jeden rysunek przedstawiający mężczyznę w kapeluszu o opuszczonym rondzie.

– Opierałem się, oczywiście, na fotografii – powiedział.

Pibble doznał rozczarowania. Szczupła twarz, wąsko osadzone oczy, wysokie kości policzkowe, niezgrabna postać – z tego 161

rysunku można było wyczytać wszystko, wszystko, co się chciało wyczytać.

Patrzył na zaznaczoną delikatnymi kreskami pomietą kurtkę tro-pikalnego ubrania, pragnąc znaleźć jakąś wskazówkę, dowiedzieć się, czy kryje się pod nią pełen dynamiki święty, zgodnie ze świadectwem Paula i Caine'a, czy też samolubny przełożony, wielki pan, którego postać wynurzała się niewyraźnie z niedorzecznych fragmentów biografii spisanej przez Ewę. Nie znalazłszy w rysunku odpowiedzi, oddał go Paulowi.

– Pan uważa, że to hipnotyzer? – podsunął. – To tłumaczyłoby waszą znajomość angielskiego. Hipnoza by w tym pomogła, prawda?

– Tak – potwierdził Paul. – Ale kiedy umarł wielebny Mackenzie, nastąpiła regresja. Myślę, że zapomnielibyśmy zupełnie angielskiego albo wypaczyli go, gdyby nie Aron. Był człowiekiem pełnym oddania i sprowadził nas z powrotem na ścieżkę sprawiedliwości.

Czuł, że nie można zaprzepaścić niczego z osiągnięć wielebnego Mackenzie.

– Jednak, chcąc zachować swoją wizję żywą, musiał przejść zdumiewające przemiany – zauważył Pibble. – Podobnie chyba jak święty Paweł. Proszę powiedzieć pani doktor, że jej szukałem. Ale to nic pilnego. Ta sprawa pociągnie się jeszcze dzień lub dwa.

Paul chrząknął, wydając przy tym głęboki, donośny odgłos, przypominający czkawkę lwa. A potem

począł zamalowywać zielenią swoje O, zatrzymując się na krawędziach litery z precyzją gimnastyka. Pibble obserwował go jak zahipnotyzowany. Był rad z tej bezczynności, rad przyglądać się czemukolwiek, co nie ma związku z zamordowaniem Arona. Nagle przeszył go dreszcz poczuł, że

śledztwo musi się skończyć nieszczęściem. Pod tym wrażeniem wyszedł z pokoju.

Schodząc po ciemnych schodach zrozumiał, w czym tkwi przyczyna złego: wzdrga się przed wykryciem mordercy, jeśli nim nie jest Caine, a nie wierzy, aby to był On, chociaż Robin zdaje się tak myśleć.

Nie dostawało mu zmysłu tropiciela – przypominał raczej stworzenie trawożerne niż mięsożerne. A tym razem to już go po prostu nie obchodzi, czy ktoś w ogóle zostanie aresztowany, czy nie. Oczywiście, tło jest interesujące, ludzie ciekawi. W tym cały kłopot: tylko jakaś naukowa dociekliwość każe mu zadawać pytania i węszyć dokoła. Ale cel tych pytań wydaje się coraz mniej ważny, polowanie na mordercę tylko chwilowym odwróceniem uwagi od właściwej sprawy. Do licha, bardziej go interesuje możliwość przyjrzenia się obrzędowi, któremu towarzyszy bicie w bębny, niż przesłuchiwanie tych starych mężczyzn!

A skoro już tak jest, pomyślał, to z kim następnym rozmawiać? Z

kimś normalnym, na miłość boską, kto da mu herbaty i nie będzie go drażnił opowieściami o jakichś przedpotopowych tragediach! Pani Caine to jedyna odpowiednia osoba.

Słońce chyliło się ku zachodowi i jego ukośne promienie kładły na fasadę przeciwległego domu cień krenelaży, niby upostaciowane echo we wczesnej twórczości Dali. Schodził już do mieszkania sąsiadów, kiedy przyszło mu na myśl, że byłoby lepiej nie budzić w żonie podejrzeń, powinien teraz do niej zadzwonić. Nie zniszczona budka telefoniczna była tym razem wolna.

– Halo, kochanie! Przepraszam, że ci przeszkadzam. Ale obawiam się, że dziś wrócę późno, jeżeli ci to nie sprawi wielkiej

różnicy... Nie, nic podobnego... Strasznie mi przykro, ale czy nie możesz wsadzić do lodówki? Opowiem ci po powrocie, to bardzo dziwna sprawa i jeżeli nie będę się odrywać od pracy, to może...

Tak, naturalnie... Bardzo mi przykro... Czy mam coś może załatwić?

Napiszę do niej jutro... Nie, to bardzo ciekawe, ale nie takimi sprawami interesują się gazety... Może tylko „West Kensington Gaze-tte”... No cóż, takie jest życie... A co u ciebie? W porządku, zmyję mu głowę, jak przyjdzie weekend... Jakim cudem? Przedtem się nie spotkamy. Przykro mi... Pewno koło jedenastej. Zgaś światło, proszę. Do zobaczenia, Kocham cię.

Przeżywali razem minutę po minucie i każda minuta była jak ce-gła, z której wznosili Ścianę Płaczu.

Drzwi do mieszkania w suterenie były otwarte. Pani Caine siedziała przy kuchennym stole reperując

czerwoną piżamę. Przy tej pracy okulary opadły jej nedorzecznie na czubek małego noska.

Szyje jakoś niezgrabnie... ach tak, przecież to plaster na palcu przeszkadza jej trzymać igłę. Podniosła głowę tym samym szybkim, czujnym ruchem co rano, potem uśmiechnęła się i odłożyła szycie.

– Dobry wieczór, panie inspektorze. Czy Bob pana znalazł? On jeszcze nie wrócił.

– Tak, widzieliśmy się. Myślę, że jest pani za młoda, żeby wiedzieć, że kiedy policjant przychodzi do kuchni, spodziewa się, że go poczęstują herbatą.

– Filizanka herbaty od kucharki, a buziak od pokojówki. Wy-chowano mnie na starych numerach „Punchu”. Nie stać nas na pokojówkę, niestety, ale nastawię czajnik. Tylko czy na pewno nie wolał-

by pan whisky?

– Wolałbym właśnie herbatę, jeżeli nie sprawi to pani kłopotu.

164

– Naturalnie, że nie. Bob pije herbatę litrami. A ja napiję się ne-ski. Niech pan siada na tym fotelu, to nie będę pana potrącać.

Na pewno nie będzie, pomyślał Pibble, przyglądając się, jak szy-kuje herbatę: prawie się nie ruszyła stawiając na gaz wodę i mleko, a potem kubki, spodeczki, łyżeczki, herbatę, neskę, mleko, cukier i biskwity na stół. Inspektor, którego żona zwykła w tej sytuacji biegać od szafki do szafki, był nią oczarowany. Nie zawsze nawet spoglądała sięgając po coś.

– Czy całe swoje życie układa pani tak samo?

– Co znaczy, tak samo?

– Miejsce na wszystko i wszystko na miejscu, i to w zasięgu rę-

ki?

– Och, tak to wygląda?

Zaśmiała się. Jej śmiech brzmiał dziwnie, przypominał gruchanie gołębia w poranek majowy. Usta przy tym miała otwarte, tak że tworzyły idealne O, a czubki jej drobnych ząbków lśniły, ostre jak u szczeniaka.

– Tak tylko sobie mówię – tłumaczył się inspektor.

– Ale ja należę do ludzi, którzy nie myślą o sobie często – wy-jaśniła. – Nie usiłuję przez to powiedzieć, że nie jestem egoistką, ale jeżeli czegoś chcę, to chcę naprawdę i nie zastanawiam się dlaczego.

Czasami przeczytam sobie jakiś artykuł na temat psychologii... W

każdą niedzielę mówią o tym w telewizji... i nie twierdzą, jak mój ojciec, że to bzdury. Myślę po prostu, że chociaż to wszystko dzieje się we mnie, ja nie mam o tym najmniejszego pojęcia. Podobnie jak z trawieniem. Przecież nie zastanawiam się nad pracą moich nerek.

Chyba powinnam się z panem zgodzić, w jakimś sensie. Nie lubię zastawać rzeczy poukładanych, ale lubię je tak zostawiać. Dajcie 165

mi duże staroświeckie poddasze, gdzie ludzie przez dwadzieścia lat upychali różne niepotrzebne graty – stare kołyski z wikliny, od-

świętne stroje, żelazne łóżka i okropne wazony z zielonego szkła, kufry pełne albumów i pamiątek, walizki z ubraniami tropikalnymi, marmurowe umywalnie, ramy do obrazów, parawany sprzed kominka dzieciennego pokoju, połamane krzesła, maszyny trykotarskie, maszynki, w których w czasie wojny robiono z margaryny krem, kije do golfa i tak dalej – a będę szczęśliwa przez tydzień.

Lubię trzebić dżunglę, ale potem idę dalej. Może dlatego wybrałam Boba. On nigdy nie usiedzi w tym miejscu, w którym go zostawiłam, jest jeszcze większym wiercipiętą niż ja. Niech mi pan wierzy, to podstawa dobrego małżeństwa. Ile łyżeczek cukru mam wsypać?

– Dwie zupełnie wystarczą.

Znowu ten przypominający gruchanie śmiech.

– Bob sypie sześć – wyjaśniła. – A jak tam u sąsiadów?

– Trudno powiedzieć – odparł Pibble. – Dziękuję, doskonała.

To jest rzeczywiście dżungla, ale nie mam wielkiej ochoty na jej trzebienie. Wolałbym się po prostu przypatrywać. Czy pani w ogóle zna Robina?

Nagle gradobicie podczas garden party nie wywarłoby na go-

ściach większego wrażenia niż te słowa na pani Caine. Wesoła pa-planina, parasolki, a w moment później ucieczka pod dach. Na jej drobnej twarzy, przed chwilą pełnej ożywienia niczym buzia dziewczynki, która wystroiła się w babciny kapelusz z piórami, teraz odmalowało się napięcie i podejrzliwość.

– Pan wie, że Bob jest jego ojcem? – spytała.

– Bardzo przepraszam – tłumaczył się Pibble. – Wspomniałem 166

o nim nie po to, żeby zadawać policyjne pytania. Po prostu to jest przykład zafascynowania dżunglą. Ten chłopak zdołał wysunąć się na stanowisko duchowego doradcy ciotecznych dziadków, ponieważ jego wuj był kapłanem w wiosce, zanim nawrócili się na chrześcijaństwo. W jednej chwili z

przejęciem oprowadzał mnie po dachu, a już w następnej groził, że i on, i jego trzódka odmówią mi absolutnie wszelkiej pomocy.

– A jak mogliby panu pomóc?

– Po prostu mówiąc mi o wszystkim. Starzy zrobili sobie z tego swoistą rozrywkę: zakładają się między sobą, co znajdzie Robin, a w każdym razie Robin-kapłan odnosi się do tego bardziej serio. Twierdzi, że gdyby chciał, mógłby powiedzieć, kto jest mordercą.

– Mógłby rzeczywiście?

– Sądzę, że tak. Przypuszczam, że nie potrafiłby tego jeszcze udowodnić, ale na pewno on i ci starzy wiedza tyle, że starczyłoby to na akt oskarżenia, jeśli się do tego dodało te wszystkie policyjne historie – odciski palców i tak dalej.

– A bez jego pomocy nic pan nie znajdzie?

– Znalazłem już mnóstwo, ale nigdzie mnie to nie doprowadzi-

ło. Potrzeba mi, żeby mi ktoś nadał odpowiedni kierunek, żebym wybrał te ślady, które są istotnie ważne. Pani rozumie, podobnie jest z fotografią pozornie nijakiego budynku: dobra fotografia pokazuje, co chciał osiągnąć architekt. Jeżeli spojrzysz na to z tego punktu, w takim oświetleniu... Robin z łatwością mógłby tak mnie ustawić, żebym patrzył na tę całą sprawę pod właściwym kątem. Ewa też by mogła, ale tak się boi, żeby nie wzbudzić we mnie żadnych uprzedzeń, że przez to komplikuje tylko sprawę.

167

– A czy nie mógłby panu w tym pomóc któryś ze starych?

– Nie wydaje mi się. Po herbacie przeprowadzę rozmowy z każdym z mężczyzn po kolei i gotów jestem się założyć, że nie posunę się przez to ani o krok naprzód. Nie biorą tego poważnie i nigdy nie wiem, czy mówią prawdę.

– A jak pan myśli, kiedy Robin to wszystko wyśpiewa?

– Nie wiem. Dziś wieczór jest zajęty grą na bębnach, potem pewno wyjdzie na dach, żeby trochę ochłonać i, że się tak wyrażę, powrócić na ten świat, a potem może zechce mieć to już z głowy.

– Bębnienie?

– To należy do jego obowiązków kapłana. Czytałem, że i na Haiti szamani biją w bębny ze względów religijnych, a wydaje mi się, że tu jest podobna sytuacja. Wszyscy mężczyźni uważają ceremonię bicia w bębny za rzecz bardzo ważną. Zamierzam przysłuchiwać się temu wieczorem, jeżeli nic nie przeszkodzi.

– A co o tym wszystkim myśli Ewa?

– Była wstrząśnięta, kiedy jej to powiedziałem, a i Paul mówi, że jest wytrącona z równowagi. No, ma prawo być zdenerwowana.

– A czy nie wiedziała o tym wcześniej? Musiała przecież słyszeć bicie w bębny.

– Pani wie, jak są zbudowane te domy. Jimmy Youbegood, któ-

ry mieszka na najwyższym piętrze w tym samym domu co pani, powiedział, że pierwszy raz usłyszał hałas, kiedy poszedł na dach zwędzić trochę ołowiu. Teraz poznaje to po drzeniu ścian. Myślę, że Ewa jednak nic o tym nie wiedziała. Mieszka o dwa piętra niżej, a kobiety spędzają dużo czasu patrząc na telewizję. Jako etnografa 168

powinien ją ten obrzęd zainteresować. Z pewnością chciałyby temu przeszkodzić, ale przed wyborem nowego wodza nie może nic zrobić... to znaczy ona uważa, że nie może nic zrobić, chociaż ja myślę, że potrafiłyby postawić na swoim, gdyby doszło do dyskusji.

– Bob zawsze mówi, że ona jest zupełnie bezradna, gdy nie ma przy sobie mężczyzny.

Mówiła prawdę. Użył niemal tych samych słów. Pibble, taki wylewny przed chwilą, zamknął się w sobie. Doznał nagle tak silnego wzruszenia, że z pewnością po jego twarzy przebiegł skurcz i pani Caine nie mogłaby go nie zauważyć, gdyby nie to, że stała przy kuchence nalewając ponownie herbatę.

– A czy Paul cieszy się szacunkiem mężczyzn? – spytał.

– Nie wiem. Bob nienawidzi Paula, czy to nie zabawne? Nienawidzi go bardziej niż Arona, a zawsze mawiał, że Aron jest zło-dziejem. Ma bzika na punkcie ich dwóch.

– A co Aron ukradł?

– Och, nie wiem, czy w ogóle coś ukradł. To był taki zacny człowiek. Ale Bob zgubił maskotkę, którą miał przez całą wojnę, i wmówił w siebie, że to Aron mu ją ukradł.

– A dlaczego nie lubi Paula?

– Tego również nie jestem pewna, w każdym razie Bob zawsze był zazdrosny – no cóż, dwoje białych w puszczy, w gromadzie dzikusów... w filmie skończyłoby się na tym, że padliby sobie w ramiona, ale w prawdziwym życiu Ewa wybrała Paula. Szczęśliwie dla mnie, ale źle dla Boba. Nie sądzi pan, że ona jest jakaś inna od wszystkich? I taka pozostanie, gdy ja będę już grubą starą babą. Czy to ty, kochanie?

169

Pibble usłyszał kaszel i szuranie nogami w korytarzu, brzmiało to trochę nienaturalnie, tak jakby ktoś chciał dać znać o swojej obecno-

ści. Ewa wsunęła głowę przez drzwi:

– Czy mogę wejść, Zuzanno? – spytała. – Podobno pan inspektor chce ze mną pomówić.

– Świetnie – odparła pani Caine. – Będę przynajmniej miała pretekst, aby nalać panu inspektorowi jeszcze jedną filiżankę herbaty. Czy pan kiedykolwiek mówi po imieniu ludziom, których chce aresztować?

– Jak dotychczas, nie – odparł Pibble. (I, na Boga, nie tym razem).

– Bardzo mi przykro, pani doktor, że zabieram pani czas, ale są dwie sprawy, w których naprawdę potrzebuję pomocy. Pierwsza nie ma bezpośredniego związku z morderstwem. Jestem mianowicie w kłopotcie z powodu Robina. Powinienem zameldować Towarzystwu Opieki nad Dziećmi, co się tu dzieje, ale on na mnie wymógł, żebym tego nie robił. Jednak muszę coś zrobić, żeby móc spać z czystym sumieniem, choć doprawdy nie wiem co. Może pani ma jakiś pomysł.

Ewa westchnęła i usadowiła się we wdzięcznej pozie na wysokim kuchennym stołku.

– Ja się też nad tym zastanawiałam – odparła. – Nie wie pan, czy mężczyźni zmuszali go, żeby został kapłanem?

– Nie przypuszczam – powiedział Pibble. – Może on sam tak manewrował, żeby tego chcieli, ale to raczej odpowiadało im wszystkim.

Ewa westchnęła.

170

– To nie rozwiązuje problemu moralnego – powiedziała. –

Gdyby ode mnie zależało, nie zrobiłabym chyba nic, bo moje działanie musiałyby spowodować jeszcze większy zamęt, jeszcze głębsze zakłócenie ich życia. Ale rozumiem, że pan musi coś zrobić. Najlepiej, żeby pan powiedział Rebecce, co się dzieje, i pozostawił jej swobodę działania. Myślę, że to, co ona robi, z pewnością przynie-sie najlepsze skutki, a poza tym ona jest jedyną osobą, której inter-wencję Robin przyjmie. Kapłan żyje w wyraźnej izolacji od reszty plemienia, ale ponieważ nie może się ożenić, dąży do utrzymania silnych związków z matką. Czuje, że moc, jaką posiada, w dużej mierze pochodzi od niej. Nie orientuję się, jak wiele Robin wie...

– Czerpał wiedzę głównie z książki pani – przerwał inspektor.

– Ach tak, z mojej pracy doktorskiej. Rzeczywiście mu ją po-

zyczyłam. Jakież dołki człowiek kopie pod sobą samym. Kiedy ją pisałam, myślałam z ulgą, że to wszystko należy już do historii, że jest umarłe i pogrzebane. Skąd mogłam wiedzieć, że to widmo zmar-twychwstanie? Skąd mogłam wiedzieć?

– Oto twoja herbata, Ewo – włączyła się do rozmowy pani Caine. – Niech pan nie myśli, inspektorze, że jest specjalnie uprzywile-jowana, bo ma filiżankę, a pan tylko kubek. Ona pije herbatę bez cukru i mleka, więc zachowuję dla niej naszą jedyną filiżankę, ale nawet ta jedyna filiżanka nie ma

spodeczka.

– A co to jest? – zapytał Pibble, rad, że mówiąc o tym może dać Ewie chwilę na uspokojenie się. – Czy to Meissen? Bardzo ładna.

– Nieźle, detektywie. To Nymphenburg. Kupiłam tę filiżankę na Portobello.

171

– Jeżeli Robin uważnie czytał moją pracę – powiedziała Ewa –

będzie się bardzo liczył z życzeniami matki. Nie orientuję się, na ile on rzeczywiście wierzy, a na ile udaje, ale teoretycznie rzecz biorąc, Rebeka mogłaby go w dużej mierze pozbawić jego mocy. Rozumie pan, one są przysyłane za jej pośrednictwem. Mówię o właściwo-

ściach odziedziczonych. Interesuje mnie, jak wyglądały pierwsze stopnie wtajemniczenia. Nie mogę o to pytać sama, ale jeżeli powie panu, chciałabym to wiedzieć.

Głos miała chłodny, opanowany. Uczony, kiedy cholera zabiera mu dzieci, wycofuje się do swej zakurzonej biblioteki.

– Wobec tego porozmawiam z Rebeką – oświadczył inspektor.

– Druga rzecz, co do której chcę zasięgnąć pani rady, jest bardziej skomplikowana. Wydaje mi się prawdopodobne, że motyw zbrodni musiał się łączyć z przywróceniem obrzędowego bicia w bębny.

Każdy, kto znał Arona, potwierdza, że on na pewno chciałby z tym skończyć, i myślę, że kroki, jakie zamierzał podjąć w tym celu, były dla kogoś tak niedogodne, że postanowiono go zabić. Wydaje mi się też, że już od jakiegoś czasu usiłował nakłonić panią do przewiezienia plemienia z powrotem na Nową Gwineę i że to było jakoś zwią-

zane z próbą wykorzenia obrządku z bębnami. Czy widzi pani w tym jakiś sens?

– Rozmawiałam z Paulem – rzekła Ewa. – Przyszłam w chwilę po pana wyjściu. Chyba pan zorientował się do tej pory, że my wszyscy w mniejszym lub większym stopniu pozostajemy niejako pod urokiem mojego ojca. Nie zdawałam sobie sprawy, jak to jest silne u innych, bo u mnie, rzecz jasna, to zupełnie naturalne. Paul uważa, że 172

na Aronie wpływ mego ojca zaciążył silniej niż na reszcie plemienia.

Trudno Europejczykowi zrozumieć Arona, chociaż spotyka się jemu podobnych wśród ludzi z kręgu kulturowego przed powstaniem miast. Był jednocześnie inteligentny i prymitywny. Jeżeli powiedzia-

łabym, że wierzył z żarliwością wieśniaka, stworzyłabym fałszywy obraz w pana umyśle, ale to było coś podobnego. Niech pan wyobrazi sobie mroczne kapliczki, pełne rozmaitych relikwii, w spalonym słońcem kraju południa, gdzie sterczą stromo nagie, jałowe zbocza gór, zaś urodzajna ziemia w dolinach podzielona jest na małe działki uprawiane przez setki spokrewnionych ze sobą rodzin.

Mieszkańcy tam wieśniacy odznaczają się wiarą podobną do wiary Arona i na-miętnie wielbią relikwie własnej kaplicy, bezcenny strzęp welonu świętej. A relikwią Arona był mój ojciec. Aron rozmawiał z nim, uczył się od niego, podziwiał jego cnoty, wiedział, że były cnotami żywego człowieka, a nie zbłąkanym odblaskiem niebios. Paul i ja myślimy, że ziemia tej doliny, po której chodził mój ojciec, musiała mieć w jego oczach specjalną wartość. Ją właśnie wybrał mój ojciec, żeby dokonać swej życiowej misji, i porzucenie tej ziemi było czymś w rodzaju świętokradztwa (choć wyjechaliśmy stamtąd za namo-wą Arona). Myślę, że Aron, ze swoją niepospolitą inteligencją, znalazłby jakiś sposób, by sprowadzić swoje plemię w ojczystą dolinę.

To przecież na jego życzenie prosiliśmy pośrednika handlu placami, żeby oszacował Osiedle Flagga.

– A jakie napotkałby przeszkody? – zapytał Pibble. – Myślę, że jedną z najważniejszych stanowiłaby praca Paula.

– To może dziwne, ale nie – powiedziała Ewa. – W każdym razie ja tak uważam. Przypuszczam, że on nie zdawał sobie sprawy 173

z wartości pracy Paula. „Ukrzyżowanie” było dla niego po prostu świętym obrazem, równie dobrym jak tani oleodruk. Obrazy Paula posiadają dla nas szczególnie wstrząsającą wymowę, ale on zadowo-liłby się o wiele bardziej prymitywnym rysunkiem. W środowisku wiejskim artysta zajmuje zupełnie inną pozycję niż w mieście, panie inspektorze. Jest pod pewnymi względami o wiele szczęśliwszy: dla nas sztuka jest częścią normalnego życia i ten, kto maluje lub uprawia taniec baletowy, wykonuje, według nas, po prostu swoją zwykłą pracę, tak samo ja ten, kto zastawia sidła na zwierzynę albo pokrywa strzechą chatę. Każdy z nich ma swoje normalne uznane w społeczeństwie miejsce. Taki stan rzeczy jest o wiele zdrowszy niż stosunki panujące w zachodniej cywilizacji. Z drugiej jednak strony pozycja artysty o wyjątkowych uzdolnieniach jest znacznie gorsza.

Wprowadzenie czegoś nowego jest sprawą trudną i mieścić się musi w ramach tradycji. Niewielkie są możliwości różnych kultur. Od-biorcy są wrażliwi, ale nie wykształceni, potrafią ocenić odcienie sztuki tradycyjnej, jednak nie uznają niczego poza nią. Wierzę, że Paul jest wyjątkowym artystą, choć nie przypuszczam, żeby Aron tak myślał. Bawiło go, że londyńczycy tyle płacą za naszą plemienną sztukę, ale uważał, że Paul czułby się równie szczęśliwy i zadowolony ze swojej pracy, gdyby w naszej dolinie malował drzwi domów.

– Rozumiem – powiedział Pibble. – Jakie więc inne kłody musiałby usuwać sprzed nóg?

Ewa rzuciła spod oka spojrzenie na panią Caine, która siedziała, zdając się wcale nie słuchać i ogryzając do żywego ciała paznokieć małego palca.

– Jest jeszcze drugi problem, o którym mówiłam panu w domu.

174

Obsesją Arona była myśl, że przykładam do tego większą wagę, niż powinnam. Może postanowił poszukać sposobu przekonania mnie, że mój stosunek do pewnej osoby jest szkodliwy. Spacerując po

dworze myślałam o pana sztuczce, która dziś rano wywarła tak wielkie na nas wrażenie, i wydaje mi się prawdopodobne, że Aron zamierzał użyć dowodu, który posiadał (jeżeli to jest dowód), aby odwieść mnie od pozostania. Nie osiągnąłby celu, ale o tym nie wiedział.

Zupełnie jakby Pibble rozwiązywał łatwą łamigłówkę. Pewną osobą był Caine, dowodem – pens, sztuczką – podrzucenie monety.

Co, u diabła, pojmuje z tego pani Caine, jeżeli słucha?

– Bo Aron nie mógł zrozumieć, kim jest dla pani Paul?

– Pewnego dnia, jeszcze za czasów naszego pobytu na wyspie –

tłumaczyła Ewa – przyszedł przedstawić mi plany odnoszące się do przyszłości naszego plemienia, bo one dotyczyły i mnie. Był zawsze bardzo skryty, ale zarazem i bardzo uczciwy. Uważał, że byłoby nie w porządku planować coś, co dotyczyło i mnie, bez powiadamiania mnie o tym. Wtedy odkryłam, że nie ma pojęcia, jakie nas łączą stosunki...

Rozdział VIII

Jestem jemu poświęcona, myśli Ewa, jestem poświęcona Paulowi. Tacy młodzi, tacy młodzi, tak nad nami rozszumiały się te li-

ście... Zabiorę wszystkich do Londynu, a tam kupię odpowiednie łóżko, takie mosiężne, z gałkami, które można odkręcać, zostawiać 175

tam listy. Brzeg jego powiek jest wewnątrz czerwony, czerwony jak... jak... jak róża. Szkarłatny Paul. Moja miłość to czarna, bardzo czarna róża. Kiedy zamknę oczy, wtedy czubkami palców i wną-

trzem dłoni wyczuwam kolor jego skóry, czarnej, tak czarnej jak...

och, do licha! Jak zamsz, coś w tym rodzaju, ale nie... coś w tym rodzaju. Aksamitna. To ta dodatkowa warstwa naskórka, którą oni mają dzięki słońcu. Założę się, że biali mężczyźni są w dotyku jak gąbki. Nie mogę sobie wyobrazić, żebym miała być skazana na gąb-kę. Nic teraz nie wiem. Wszystkich mężczyzn widzę teraz poprzez Paula, on jest całym światem, jeśli chodzi o mężczyzn, i wszystkimi mężczyznami na świecie. Ojciec uczył, że nie można mówić o Bogu, tak jakby był jednym z wielu. Wierzę w jedyne Boga, a ponieważ jest jedyny, nie można go ująć statystycznie. Toteż... toteż... jest tylko jeden Paul w moim świecie, jeden jedyny cud na moim małym niebie. A może to tylko namiętność? Czy mogłabym żywić taką namiętność do kogoś innego? Do Humphreya Bogarta albo nauczyciela historii, albo księcia Windsoru? Jego oddech tchnie cytano-nem. O, Chryste, co ja mam z nimi wszystkimi zrobić? Dlaczego właśnie ja? Chcę stąd odejść i żyć tylko z Paulem, z nim tylko, w cywilizowanym kraju, gdzie można kupić mosiężne łóżko. A jak pani zamierza zarabiać na życie, Ewo Mackenzie? Samo łóżko nie zaspokoi potrzeb mężczyzny, a tym bardziej dwóch mężczyzn. A Bob, proszę cię, Boże, niech wraca do Australii i niechaj już go nie widzimy, nie słyszymy i nie myślimy o nim. Możemy mu tylko posłać telegram, kiedy otrzyma wysokie odznaczenie lotnicze. Biedny Bob!

sześciu miesięcy. Jeżeli ktoś jest w wielkim napięciu i wszyscy przyjaciele giną, i brak jedzenia, wtedy można paść w ramiona najbliż-

szego mężczyzny, po prostu dlatego, że jest pod ręką, ale my trzy-mamy się razem cały ten czas. Przeżyliśmy trzy święta, nie takie wprawdzie jak w wiosce, ale jednak... Mam nadzieję, że mama i ojciec byli szczęśliwi po świętach w wiosce... co też mama z tego wszystkiego rozumiała? Cztery święta, licząc to pierwsze święto księżycowe, na które nam nie pozwolono iść, a oni nic nie zrobili, bo byli radzi, że mają parę strażników. Ciekawe, czy Aron o tym też pomyślał, przebiegła stara małpa. Oni mają bystre umysły, ale po-sługują się nimi inaczej. Teraz to już czasem wiem, co en myśli, wiem, kiedy jest szczęśliwy. To śmieszne, trzy noce pijaństwa, wrzasków i tańców, i nawet nie trzymaliśmy się za ręce, a potem wpadliśmy na siebie na drodze do sideł na jaszczurki i oboje powiedzieliśmy tak. Jestem nasiąknięta, nasiąknięta miłością, taka gąbka pełna szczęścia. Jeżeli zabiorę jego... ich wszystkich... do Londynu, będzie musiał mieć coś do roboty, co by robił z przyjemnością, nie dla pieniędzy, tylko dla zajęcia myśli, bo inaczej wrosną one do wewnątrz, jak zęby królika, i znajdą grób w jego czaszce. Do czego może się przydać zdobnictwo? – tkaniny, tapety i inne rzeczy? Mu-szą być jakieś szkoły techniczne, w których tego uczą.

A ja napiszę książkę o ojcu, tylko że mało wiem o tym wszystkim, ale muszą tam i tego uczyć, muszą uczyć wszystkiego. A teraz, w następnym wykładzie, przejdziemy do dziwnego i raczej odpychającego aspektu kultury doliny Tamizy, do rytualnej segregacji dziewcząt z wyższych kast w okresie dojrzewania i umieszczania ich w zakładach zwanych college'ami, w których żyją przez pięć lat 177

czując pomniejsze bóstwo, zwane Namiętnością. On także wie, co ja myślę. Jest święty. Jego skóra ma gorzki posmak, jak spalone zioła.

Gdybyśmy mogli odejść i żyć razem, mielibyśmy dzieci i naszego życia nie wyznaczałby ten koszmarny rytm. To tylko mężczyźni w swych poezjach robili tyle szumu na temat księżyca. Muszę zapytać Arona, czy nie zdarzyło się nigdy, żeby Ku-myśliwy miał dziecko, może mity mówią o czymś takim, a wtedy życie byłoby prostsze. On jest ambitny, to właściwe słowo, nie taki jak inni członkowie plemienia, on chce robić to, co robi, najlepiej jak tylko można, a nie tylko tak dobrze, jak zwykle. Nie ma tu dla niego pola do działania w tym drobnym okruchu plemienia. Edynburg. Jeżeli starczy pieni-

dzy. Czy mama była bogata? Ciekawe, czy on na starość stanie się gruby, tak gruby jak inni starzy Ku. To zależy od tego, jak go będę karmiła, chyba że taka tusza jest dziedziczna. Muszę prowadzić notatki. W Londynie będziemy mogli odpowiednio żywić Rebeke, choć z pewnością jest już za późno. On chodzi jak przemyślnie wy-konana zabawka. Oni dlatego tak cicho się poruszają, że w specjalny sposób stawiają stopy. Namówię go, żeby narysował, jak chodzi ktoś z plemienia i jak chodzi Bob, i wtedy się przekonam, czy widzi róż-

nicę. Szczęśliwie się składa, że Bob tak szybko robi się zamroczony w czasie naszych uctw rytualnych. Ciekawe, czy on się domyśla, jak to jest ze mną i z Paulem. Gotowa jestem się założyć, że tak. Tak naprawdę to Bob nie jest głupi... to niewłaściwe słowo. Ma mnóstwo do nauczenia się, ten

nachmurzony drągał z ostatniej ławki, ale jest bystry, jeżeli chodzi o ludzi... mogę się założyć, że Bob wiedział

przed Aronem, jeżeli w ogóle Aron teraz wie. Zabawne. Aron jest 178

zdolny, gdyby mu dać szansę, na pewno zdobyłby stypendium, ale zbyt naiwny, jeśli chodzi o ludzi: umie policzyć ich listki i płatki korony, ale nie czuje, jak ich korzenie wciskają się między grudki ziemi. Paul to czuje. Gdybym próbowała go opisać, wypadłoby nie tak, jak jest: szlachetny dzikus, czuły orangutan, wspaniała kompozycja mięśni i wrażliwej skóry – całkiem źle. Nigdy nie widziałam, jaki jest naprawdę Bob, dopóki Paul nie narysował go na piasku.

Biedny Bob.

Jeżeli Paul zgodzi się jechać do Edynburga albo nawet do Londynu, będziemy musieli pomówić z Aronem. To naprawdę byłoby dobre dla wszystkich, naprawdę. Odejść i zapomnieć o tych nieszczęściach, znaleźć duży dom na Wynds, gdzie moglibyśmy zacząć wszystko od początku. Kiedy już Paul powróci z wybrzeża... O Bo-

że, zachowaj go od złego, błagam! Błagam Cię!... Zabili także pastora Bollerna i wszystkich jego ludzi, nie tylko nasze plemię. Pięć dni, powiedzmy, do rzeki, i trzy dni dalej, to jest osiem i dwa na szuka-nie, i osiem z powrotem... dlaczego to nigdy nie może wypaść mniej niż osiemnaście! Jedenaście dni już go nie ma, jedena-

ście... Odwagi, Ewo Mackenzie! Kiedy Paul...

– Panno Mackenzie!

Odwraca się na plecy i siada. Niska postać Arona czernieje w altance pnączy, jaką znaleźli niedaleko szlaku do sideł na jaszczurki.

– Czy Paul wrócił? – pyta Ewa.

– Chyba już niedługo wróci. Myślę, że nie musi iść aż na samo wybrzeże. Efraim spotkał jednego z Amalotolutów, który łowił na naszych bagnach, i dowiedział się od niego, że Japończycy odeszli.

– Odeszli?

179

– Odeszli z całej wyspy. Jeżeli to prawda, panno Mackenzie, to co mamy robić?

– O Boże, nie wiem. Myślę, Aronie, że muszę jechać do Anglii i zobaczyć, jak tam jest, i chciałabym, żeby Paul także pojechał.

– Wszyscy musimy jechać. Musimy wyjechać stąd i stać się nowym ludem w chrześcijańskim kraju.

– Ale co wy tam będziecie robić? Mężczyźni nie będą mogli polować przez cały dzień, bo są tam

tylko pola i łąki. Jeżelibyście znaleźli tu nową dolinę...

– Nowa dolina tutaj byłaby jak dawna dolina, panno Mackenzie. Jest nas niewiele, a wielebny Mackenzie nie żyje. Wkrótce zniknęlibyśmy, jak znika kałuża, gdy świeci słońce. Musimy iść gdzie indziej, gdzie mielibyśmy tylko samych siebie. Tam nasza samotność nas połączy. Paul musi wrócić do mężczyzn i poślubić Rebekeę, a pani musi wyjść za mężczyznę swojej rasy.

– *Sikataro kani takarato Paul ni plarai pikaru ni kala tai!*

Aron chrząka i patrzy na nią, drapiąc się w brodę. Kiedy pojedę do Edynburga, Paul musi zacząć się golić, to nas oboje odróżni od reszty plemienia. Aron chrząka znowu i zawraca, jak zwierzę, które zobaczyło nadeżdżający samochód. Ewa rozumie, co się stało: on już obmyślił swoją kampanię z detalami, nawet wie, które zdania mają być w trybie warunkowym, a teraz cały jego plan upadł z powodu drobnej taktycznej porażki. Odejdzie i zbuduje nowy plan, licząc się już z jej odchyleniem od normy. Ewa zastanawia się, jakie on ma wyobrażenie o Anglii. Mama często rozmawiała z nim na ten temat, tłumiąc swoją nostalgę dodatkową lekcją angielskiego. Wojna w każdym razie wszystko zmieniła, absolutnie zmieniła.

180

Przewraca się z powrotem na brzuch, ale nie wpada już w ten błogi stan pół-marzenia, pół-zamyślenia, jak przed nadejściem Arona. Przypatruje się dwóm brzydkim żuczkom, którym ich własne skrzydełka przeszkadzają w parzeniu się, tak że robią to tak niezręcznie, jak gdyby nikt przed nimi tego nie robił.

Rozdział IX

– Bardzo przepraszam. Na czym to stanęłam? Aha! Sądzę też, że Aron nie miał pojęcia o stosunku Paula do jego pracy. Uważał, że byłoby rzeczą zupełnie naturalną, gdyby wrócił na Nową Gwineę i wykorzystał swój talent do ozdabiania drzwi chat.

– A czy nie mówił o tych sprawach z panią, pani Caine? – zapytał Pibble.

Zaniechała torturowania paznokcia, niczym podeszła w latach dama, odkładająca na kolana robótkę szydełkową, aby się zająć natrętnym wnukiem.

– Aron? – powtórzyła z jakimś dziwnym, piskliwym chicho-tem, którego nie słyszał u niej przedtem i który wydał mu się bardzo nie na miejscu. – On zawsze mówił o powrocie na Nową Gwineę, ale ja uważałam, że to po prostu mrzonki.

– A wczoraj nie mówił o tym jakoś inaczej?

– Nie zauważyłam tego, ale doprawdy trochę puszczałam jego słowa mimo uszu. Przyjemnie mi było, że jest u mnie, ale ja już to wszystko słyszałam przedtem – o polowaniu na świnie i budowaniu chat, tańcach, świętowaniu i biciu w bębny.

– Biciu w bębny! – zawołała Ewa.

– Tak, i że całą dolinę porastała dżungla i wszystko na wiele mil dokoła należało do nich. Mówił też, że dzieci im rosły w tym świecie, a nie wśród murów...

– Ale czy wczoraj nie mówił nic nowego? – zapytał Pibble.

– Ja nic nie słyszałam. To było tak, jakby z płyty płynęły dźwięki Beethovena, ale pan by tego nie słuchał, bo rozwiązywałby pan krzyżówkę albo martwił się o pieniądze czy coś takiego. Wiedziałyby pan, że to nie jest w porządku, bo nie należy tej cudownej muzyki traktować tylko jak miłego dla ucha szumu, ale jednak robił-

by pan to, po prostu dlatego, że to panu odpowiada.

Roześmiała się znowu, tym razem swym właściwym gruchającym śmiechem.

– A czy jesteś pewna, że mówił o biciu w bębny tak, jakby mu się to podobało? – spytała Ewa.

– Tak, tak mi się wydaje. Chociaż nie... chwileczkę... to wina tego, że nie słuchałam uważnie. Może powiedział, że ktoś bił w bębny, a jemu się to nie podobało. Czy tam gdzieś w pobliżu żyło inne plemię? Ale właściwie to wydaje mi się, że wczoraj wieczorem wcale o tym nie mówił.

– Mniejsza z tym – uspokoiła ją Ewa. – Wydaje mi się, że po-plątałaś różne rzeczy. Jeżeli się tych ludzi nie zna bardzo dobrze, trudno jest zdać sobie sprawę, czy coś chwala, czy gania, oczywiście sądząc po ich tonie, bo jeżeli chodzi o ich słowne wypowiedzi, to niektórzy Europejczycy uważają, że są oni – zwłaszcza kobiety –

ambarasująco niedwuznaczeni. Aron musiał się czuć u ciebie swobodnie, skoro w ogóle wspominał o bębnach.

– Och, nie zdawałam sobie z tego sprawy – szepnęła pani Caine.

Rozmowa wlokła się jeszcze jakiś czas, ani na chwilę nie odzyskując swobody, jaka ją cechowała na początku. Pibble uświadomił

sobie, że wszyscy troje są znudzeni, a na twarzach kobiet maluje się zmęczenie. Podziękował pani Caine za herbatkę i udał się na rozmowę ze starymi.

Zabrało mu to dwie godziny i czas ten okazał się absolutnie stracony. Wszyscy mówili zupełnie to samo, z pogardliwym spokojem znosili chwile jego denerwującego milczenia, manifestacje przyjaźni ze strony policjanta napotykały na ich chłodną wyniosłość, a zaczepki nie znajdowały do nich przystępu. Zastanawiali się chwilę nad każdym jego pytaniem, a potem udzielali odpowiedzi ze sztywną formalnością, niczym drugorzędni bohaterowie tragedii Racine'a.

Najbardziej interesującym z nich był Jozue, kucharz, którego inspektor nazwał Kłusownikiem. Rozmowa z nim miała zupełnie inny charakter. Może dysponował uboższym słownikiem, w każdym razie mniej polegał na słowach niż na wypracowanym systemie gestów. W

małym pokoiku, który Pibble wybrał jako siedzibę inkwizycji, gruby Jozue przycupnął na skraju łóżka niby Humpty Dumpty z „Alicji w Krainie Czarów”, bujając cieniutkimi nóżkami, podczas gdy jego duże, delikatne ręce trzepotały lub odzęgnywały się od czegoś, nadając sens mrocznym sylabom, które dobywały się z jego ust. Przez cały czas jego lśniące czarne oczy utkwione były nieruchomo w inspektorze. Pibble nie mógł się oprzeć uczuciu, że gdyby kucharz był białym człowiekiem, jego zachowanie świadczyłoby, że jest wystraszony i kłamie. Można by wtedy myśleć, że to stary paser, który związał się z grupą złodziejasków, zuchwalszych od siebie, i wpadł, a teraz usiłuje się wykręcić strojąc grymasy, wzdychając 183

i patrząc bezczelnie wprost w oczy policjantowi. Ale jak można odgadnąć, co wyraża ta obca fizjonomia?

Nie, spał spokojnie całą noc. Nie, nie przychodzi mu do głowy, z jakiego powodu ktoś mógłby chcieć zabić wodza. Nie, nie słyszał

nawet o innym wyjściu z chaty, z wyjątkiem drzwi, przy których czuwał Elias. Tak, to on przygotował *kawę*, ale wrzucił do niej tyle samo pastylek nasennych co zwykle. Oczywiście, wyczułby w sma-ku, gdyby ktoś dodał więcej tabletek. Przecież jest kucharzem, a co to byłby za kucharz, gdyby nie wyczuł czegoś tak oczywistego.

Trzepnięcie palcami podkreślić miało bezdenną głębię jego zawodowego doświadczenia.

Pibble zaczął z innej beczki.

– A czy pan sądzi, że Aron był przeciwny biciu w bębny?

– Naturalnie. – To bez żadnych gestów.

– Czy rozmawiał z panem na ten temat?

– Nie. On w ogóle nieczęsto się odzywał. – Ruch przegubów dłoni i łokci, jakim tancerka ze Syjamu odrzuca zalotnika, ilustrował

rezerwę wodza.

– Ale dlaczego by to zwalczał?

– Ze względu na wielbnego Mackenzie. – Dłonie złożone w nabożnym geście.

– A czy pan czuje to samo co on w stosunku do wielbnego Mackenzie?

– Rzucił na nas urok na pewien czas. – Wzruszenie ramion i rozłożenie rąk świadczyło, że ten urok to nieszczęście, które mogło spaść na każdego. – Gdyby on nie przyszedł... – Odmienne wzniesienie

ramion mówiące, że wszystko mogłoby być zupełnie inaczej.

– Ale Robert Caine zjawiliby się w wiosce, czy pan Mackenzie 184

byłby u was, czy nie – powiedział Pibble.

Jozue błyskawicznym ruchem rozsunął dłonie i złączył je razem, dając tym gestem do zrozumienia równie jasno, jak słowami, że to nie miałyby żadnego znaczenia.

– A co byście zrobili? – zapytał Pibble, w którym ciekawość wzięła górę nad poczuciem obowiązku.
– Czy byście go zjedli?

– Ludzie opowiadają wiele bajek – powiedział Jozue, podrzuceniem dłoni w przegubie wyrażając pogardę dla przesądów białych ludzi.

– Byłby twardy – podsunął Pibble.

– Wszystkie dorosłe zwierzęta wymagają przygotowań – powiedział Jozue, a w jego błyszczących oczach odmalowało się zawodowe zainteresowanie. – Niektóre części dałyby się upiec. Szyunki i łopatki. Trzeba by, oczywiście, polewać często tłuszczem. Wtedy miał więcej ciała i był młodszy. Ale nawet wtedy należałoby dodać dużo silnie pachnących ziół, żeby mięso nie miało nieświeżego smaku. Mniejsze części dałyby się łatwo upiec na ruszcie. Jeśli chodzi o płuca, to nie wiem. Myślę, że wykorzystałbym je tylko wtedy, gdyby brakło mięsa. Mieliśmy w naszej dolinie ogromne jaszczurki, szybkie, ale głupie, trudno je było dogonić, choć łatwo wpadały w sidła.

Niektóre części ich mięsa były soczyste, miały aromat smacznego kapłona i przypominały mięso krabów. Inne części były trujące. Tak samo może być z człowiekiem.

Lewa dłoń nieco wysunięta, z podkurczonymi palcami, dawała do zrozumienia, że są to tylko przypuszczenia, nie oparte na do-

świadczeniu. Oczy nabrały znowu wyrazu głębokiej obojętności.

Pibble westchnął.

– Co mógł zrobić Aron, aby zapobiec biciu w bębny?

185

Jozue wyduł wargi i przechylił głowę na bok. Niepoważne pytanie.

– A co by się zdarzyło – pytał znów Pibble – gdyby Aron zdołał

przekonać panią doktor, że całe plemię powinno wrócić na Nową Gwineę?

Jozue splótł palce, kładąc kciuki na wierzchu, niczym kierownik przedszkola, który zorientował się, że będzie musiał przeprowadzić z jednym z chłopaczków rozmowę na temat seksu o cały okres wcze-

śniej, niż przewidywał to program. Poruszono interesujące, ale kłopotliwe zagadnienie.

– Co by się stało?... – odparł. – Kto może wiedzieć?

Pibble przez chwilę nie przerywał ciszy. Stary wpatrywał się w niego przestraszony i znieruchomiał – przypominał zagonionego zająca, który przycupnął w udęce ze stulonymi słuchami, z wytrzeszczonymi oczyma. Zdarza się, że psy go nie znajdują, ale rzadko tak bywa. Pibble wiedział, że jest niestety bezbronny. Nie podniesie teraz głowy, niby pies gończy, co to wysuwa z trawy pysk umazany posoką zająca jak dżemem jagodowym. Wreszcie policjant odezwał

się:

– A czy chcielibyście wrócić?

Jozue westchnął. Opuścił ramiona i rękami poklepał się po udach.

– Jesteśmy starzy – powiedział. – Starzy.

Rozpostarł znowu ręce, szerokim drżącym ruchem mierząc odległość do Nowej Gwinei i długość czasu, jakiego wymagało osiągnię-

cie tej nowej równowagi w życiu, a jednocześnie krótkość okresu, jaki im jeszcze pozostał na znalezienie innej postawy.

– Ale przecież życie na Nowej Gwinei nie będzie się tak bardzo różnić od życia tutaj. Czyż nie dlatego właśnie zachowujecie swoje 186

obrzędy? A czy w sensie duchowym, że się tak wyrażę, nie zaczęli-

ście już wracać, czy nie to właśnie oznacza bicie w bębny?

– To nie te same bębny. Kapłan wzywa nie te same duchy. My nie jesteśmy tymi samymi ludźmi. Powiedzieli nam w telewizji, że kiedy odeśle się do dżungli oswojonego lwa, nie potrafi już zdobyć sobie mięsa. – Uczynił dłońmi niezdatny ruch przypominający skok zwierzęcia, któremu umknęła ofiara.

– A więc pan uważa – zapytał Pibble – że na nic nie zdały się starania doktor Ku, żeby zachować wasze obyczaje, o ile to tylko możliwe, nie tknięte?

– Wy wszyscy jesteście tacy sami. – Jozue z irytacją strzelił

palcami. – Wszyscy ludzie, którzy tu przychodzą z zewnątrz. Wszyscy myślicie, że on coś zrobił dla nas, tak jakbyśmy byli dziećmi, które same nic dla siebie zrobić nie potrafią. On jest niczym – to *parahili*. – Wzruszył ramionami tak po kobiecemu, że zrozumiałe się stało znaczenie tego słowa. – Ale na pewno jest mądry. Wie, żeśmy się zmienili, podobnie jak zmienił się sposób malowania Paula.

– Czy panu się podobają obrazy Paula? – dopytywał się Pibble.

Jozue był czwartym starym Ku, z którym rozmawiał. Miał jeszcze przyjść Izmael i dwóch młodszych mężczyzn, Jakub i Daniel, ale inspektor wiedział, że nie dowie się od nich niczego, co mogłoby mu się przydać. Prowadził więc rozmowę pełną dygresji. Może coś z tego wyniknie.

– To nie są prawdziwe obrazy – powiedział Jozue. – Nie takie, jakie znajdują się w naszej chacie i na drzwiach. Te obrazy są trudne, choć mądre. Kiedy je zrozumie, chce mi się śmiać.

187

– Ale bicie w bębny zmieniło się w sposób, który pan rozumie?

Jozue kiwa głową uroczyście, co jest wymowniejsze od słów.

– I bicie w bębny jest dla was ważne?

Ponowne skinienie głową.

– Dlaczego?

– My już umieramy, panie władzo. Od wielu godzin, od wielu dni, właściwie już jesteśmy umarli. Ale kiedy krew w żyłach poruszy się do wtóru bębna, znów jesteśmy na chwilę żywi. To jest coś takiego: stary człowiek ma żonę, są małżeństwem od wielu lat, ale teraz nawet po uczcie nie potrafi dać jej żadnej radości i mówi w swym sercu: jestem już stary, wkrótce nie będę już nic widział ani słyszał i moja rodzina złoży mnie do grobu. A wtedy żona pozwala mu wziąć inną żonę, młodą dziewczynę o twardych mięśniach, i wraca siła staremu człowiekowi, i doznaje przyjemności z nią, a także ze starą żoną, jeżeli jest dobry. Podobnie jest z nami i z bębnami. Jak pan usłyszy bębny, to pan to zrozumie. – Całą tę swoją krótką przypowieść ilustrował nieprzyzwoitymi, pełnymi wyrazu ruchami palców.

– Myślę, że dziś wieczór tam pójde – zapewnił go Pibble.

– Kapłan zabije zabójcę naszego wodza – wyjaśnił Jozue.

Pibble powrócił natychmiast na drogę obowiązku.

– Myślę – oświadczył – że Aron rzeczywiście zamierzał przenieść całe plemię z powrotem na Nową Gwineę. Jeżeli Aron, pani doktor i kobiety doszliby w tej sprawie do porozumienia, to czy chata mężczyzn mogłaby ich powstrzymać?

188

Pięści Jozuego zderzyły się w czołowym starciu dwóch przeciw-stawnych rodzajów głupoty. Spojrzał żałośnie na obolałe kciuki.

– Nie wiem – powiedział. – Kobiety nie mają głosu, ale mądry człowiek przez cały czas słucha, co

mówią.

Pibble patrzył na niego ponuro. Zgodnie z ich szaleńczymi kryteriami, starzy mieliby powód do zabicia wodza i mogliby tego dokonać we wspólnym działaniu. Prawdopodobnie ciągnęliby losy, kto ma czyhać na Arona w ukryciu. Inspektora od początku intrygował

problem zapachu i każdy się zgadzał, że Aron poczułby zapach kogoś z zewnątrz, na przykład Boba Caine'a, ale w domu, gdzie było tylu czarnych, dodatkowy wiew zapachu któregoś z Ku przeszedłby nie zauważony. Podejrzewał jakieś porozumienie między nimi, bo wszyscy mieli wystraszone spojrzenia zagonionego zająca. Ale może się mylił. Bardziej wierzył gestom Jozuego niż słowom innych ludzi.

Być może po prostu lękali się reprezentowanej przez niego władzy, drżeli przed nieznanym.

A może jeden z nich, najprawdopodobniej Robin, zdobył się na chwilę działania. Mógł mieć nawet klucz albo też posiadał sztukę tak cichego poruszania się, że strzegący drzwi nie zauważył jego wyj-

ścia, zdaje się, że nikt nie słyszał, gdy odsunawszy przepierzenie wymknął się na dach. A teraz oni wszyscy czują, że on to zrobił, ale nie wiedzą tego na pewno: to świadomość intuicyjna, a nie znajomość faktu, tym wytłumaczyć można ich strach i pozorną wiarygodność ich odpowiedzi.

Ale jak mógłby tego dowieść? Jeżeli młodzi mężczyźni nie okażą się łatwiejsi w kontaktach, nie wyobraża sobie, żeby ktokolwiek mógł się załamać... Chyba że sam Robin, ale to dopiero po miesiącach badań... Tylko co by było, gdyby dowiedziała się o tym 189

obrona? Ma, zdaje się, piętnaście lat?

Odprawił Jozuego, który kłaniając się wyszedł, ale natychmiast wtoczył się z powrotem, tak jakby wreszcie miał coś ważnego do zakomunikowania.

– Myślę, że najlepiej byłoby – szepnął – pociąć mięso z łopatki w poprzek włókien na cienkie plastry i mocno zbić. Smażyłbym je z czosnkiem i koperkiem.

Młodzi mężczyźni nie byli ani łatwiejsi w kontaktach, ani mniej przestraszeni – jeżeli to był strach. Jakub był wylewny, Daniel milczący, ale żaden z nich nie powiedział nic przydatnego, potwierdzili tylko, że słyszeli, jak starzy robili zakłady, co inspektor zdoła wykryć w chacie mężczyzn. Podobnie jak starzy, tak i oni obaj byli zwolennikami bicia w bębny i wyznawali opinię, że nikomu nic do tego, co dzieje się w chacie, a już w żadnym razie nie jest to sprawa Ewy. Pibble postanowił być w stosunku do Jakuba ostry i ironiczny, ale przypadkiem odpowiedź czarnego zdradziła, że straszliwie nienawidzi Caine'a i nie ufa mu. Po tym odkryciu przesłuchanie nabrało niemal przyjaznego charakteru. Pibble złapał się nu tym, że sam sobie zadaje pytanie, czy mógłby wyniosłego, ascetycznego Arona polubić tak, jak niektórych mniej ważnych członków plemienia. Gdy minęła ostatnia chwila jałowego milczenia, zszedł na ganek, gdzie zastał Fernhama i Stronga.

– Czas, byście wracali do domu – powiedział. – Przykro mi, że was tak długo przetrzymałem. Ja tu jeszcze chwilę zostanę. Czy w tym barze podają gorące kolacje, Strong?

– Owszem, nawet dość dobre, panie inspektorze.

– Gdybyście spotkali inspektora Grahama, powiedzcie mu, że 190

będę tutaj do jakiejś dziewiątej. Mam zamiar słuchać rytualnego bicia w bębny w chacie mężczyzn, ale gotów jestem założyć się, dwadzieścia do jednego, że to mi nic nie da. Myślę, że nie macie po co przychodzić tu jutro – wystarczyłby mi jeden z was, moglibyście mu to powiedzieć? To chyba wszystko. Dobranoc.

– Dobranoc, panie inspektorze.

Kolacja była to sama rozpacz – stęchła ryba w niesmacznym so-sie i samotne milczenie. Kiedy wrócił do Osiedla, drzwi były już zamknięte i musiał dzwonić. Wpuściła go Rebeka.

– Halo – powitał ją, zanurzając się w zimną kąpiel rozmowy, przed którą się wzdragał. – Chciałbym z panią pomówić. Czy pani wie, co dzieje się na górze?

– W chacie mężczyzn – nie zdołała podnieść głosu, aby to zabrzmiało jak pytanie, ale zapytała spojrzeniem.

– Tak.

– Robin... bębny... nacięli mu plecy.

– Tak. Skąd pani wie?

– Robin mi powiedział... przedtem. Powiedział: ja będę to robił.

Płakałam. Mój brat Paka... Paka... Paka... Pakatoluji... był kapłanem.

Miał ciężkie życie. Powiedziałam: Robinie... mówię ci... wybierasz czarną drogę życia... nie znajdziesz... nic... na jej końcu. Zapytał: czy mi zabraniasz... Powiedziałam: synu, jesteś siostrzeńcem mego brata i moim synem.

Z oszpeconej twarzy spoglądały na niego ogromne oczy promieniujące miłością i tak wymowne jak oczy sierot z plakatu. Słyszał

jednak również i surowy głos obowiązku. Jak zwykle poszedł na kompromis.

– Bardzo to dla mnie kłopotliwa sprawa – powiedział – i muszę 191

się zdecydować, co mam robić. Najlepiej byłoby, gdyby pani i pani doktor udały się do miejscowego komitetu opieki nad dziećmi, któ-

rego adres przyślę, i poradziły się ich. Powinienem złożyć raport w tej sprawie, ale wstrzymam się na parę dni, aby pani mogły same coś postanowić. Rozumie mnie pani?

– Ja... rozumiem... kiedy... pan usłyszysz... bębny... pan także...

zrozumie.

Odsunęła się. Niebieskawy odblask ekranu telewizyjnego wpadał

do hallu ze świetlicy seniorów. Pibble (podobnie jak Aron poprzedniego wieczora) wchodził po wyłożonych dywanem schodach do chaty mężczyzn. Czekali tu już na niego wszyscy.

Pachniało palonymi ziołami, a poprzez dym przeświecało żółta-we światło domowych świec. W jego blasku dostrzegł, że mężczyźni

– wszyscy, z wyjątkiem Robina – przykucnąwszy na środku podłogi grają w kości, pogdakując, chrząkając i bijąc się po udach. Stał w drzwiach, dopóki go nie zauważyli.

Poderwali się, jak stadko spłoszonych gołębi, a jeden z nich, Izmael, podszedł do niego.

– Jest pan nareszcie, panie władzo – powiedział. – Najpierw musimy dokonać inicjacji, potem będziemy mogli zacząć. Proszę się nie lękać. W dolinie, kiedy członek innego plemienia chciał zasiać w chacie mężczyzn, stosowaliśmy łatwy obrzęd.

– W dolinie – burknął Jozue – ktoś obcy przyniósłby prosiaka.

Pibble zrobił do niego oko i cały pokój rozbrzmiał gromkim śmiechem.

– Niech mi pan poda rękę – powiedział Izmael. – Nie, proszę odwrócić dłoń.

Chwycił swoją czarną łapą białą dłoń inspektora. Szybko, 192

niczym kłusujący wąż, mignęła jego druga ręka z nożem, pozostawiając na wewnętrznej stronie przegubu maleńkie nacięcie. Pibble był

zbyt zaskoczony, żeby się cofnąć. Wystąpił naprzód Melchizedech, starł palcem kroplę krwi z ranki i splunawszy na nią zmieszał jego krew i swoją ślinę z kurzem z podłogi, zmiecionym w małą kupkę.

Starzy umazali sobie wskazujące palce tą kleistą mieszanką i z rozmachem nakreślili na policzkach inspektora dwie faliste linie, symbolizujące ich dożywotnie blizny.

– W porządku – orzekł Izmael. – Teraz możemy zaczynać. Mo-

że pan tu zasiać, panie władzo. Nie potrzebuje pan nic robić. Nie jest pan członkiem rzeczywistym chaty. Dziś w nocy kapłan zgładzi zabójcę naszego wodza. Jutro wróci pan do siebie, bo sprawiedliwo-

ści stanie się zadość.

Pibble usiadł w zacisznym gniazdku z różnych szmat w kącie jednej z zewnętrznych alków. Mógł widzieć stąd cały środek pokoju.

Mężczyźni powrócili do swojej gry. Przykucnęli, zaś Daniel, a potem Jozue rzucali kości. Było to już, najwidoczniej, zakończenie, bo Daniel klepnął żartobliwie Eliasza po ramieniu, a ten rzucił się na niego z pięściami jak bokser. Inni mężczyźni roześmieli się i coś do siebie zagadali. Scena ta przypominała wyjście grupki ludzi z karczmy. Potem wszyscy, podobnie jak to dzieje się z taką grupką, roz-proszyli się i znikli w cieniu.

Dały się słyszeć pochodzące nie wiadomo skąd odgłosy podobne do uderzeń kropli deszczu o dach stodoły, bezładne a ciągnące się bez końca. Niepostrzeżenie poszczególne uderzenia ułożyły się w pewien rytm, a może było to po prostu złudzenie zmęczonego ucha.

193

Podobnie o północy tykanie zegara tworzy melodię niepokoju. Potem te odgłosy przycichły i zagłuszyło je szuranie. To jeden z męż-

czyn czołgał się do tyłu po podłodze. Wynurzył się z mroku, nagi, ze splecionymi na plecach rękami, i sunął ku środkowi izby. Głowę miał uniesioną zaledwie o kilka cali ponad podłogę, a w zębach trzymał woreczek, z którego sypał się białawy proszek. Poruszał się wolno, chyląc głowę to w prawo, to w lewo. Inspektorowi stanął

przed oczyma Paul, z rytmiczną precyzją poruszający pędzlem.

Mężczyzna, a był nim Jakub, kreślił na podłodze szerokie, wymierzone koło, a proszek sypiący się z jego woreczka tworzył jakiś regularny wzór. Nim obszedł pół swej drogi, na jego granatowoczarne mięśnie wystąpiły krople potu, lśniące w świetle świec. Dał się słyszeć niewyraźny śpiew – pomruk, któremu towarzyszyły głucho uderzenia bębna, potem szybkie brzęczenia, a wreszcie tajemnicze, przerażające zawrozczenie fletu. Jakub kręcił się na wszystkie strony, rzucając gwałtownie głowę w przód i w tył, aby dokończyć wzoru nie uszkadzając tej części, którą już nakreślił, i węzowym ruchem wpełzł w mrok. Hałasy ustały, z wyjątkiem deszczowego stukotu.

Z innej alkowy wyszedł bez żadnego skrępowania nagi Melchizedech i postawił w nakreślonym kręgu drewniany bęben. Powtórzył

tą czynność pięciokrotnie.

Rozległy się znowu furkoty i pobrzękiwania i w krąg wstąpił

Izmael, kręcąc warkotką. Przykucnął na środku, lewe ramię trzymał

wyciągnięte nad głową na pozór bez ruchu, a wygięte drewno wiro-wało z hukiem. Szarpnąwszy ręką przerwał lot warkotki i wszedł w cień alkowy.

Pojawiła się teraz grupa kilku osób: czterej nadzy mężczyźni 194

wnieśli na rozchybotanych noszach Robina. Dłonie chłopca trzepota-

ły się nad niewielkim bębniem, leżącym mu na kolanach. Stąd płynę-

ły odgłosy, przypominające dudnienie deszczu o dach. Postawili nosze na środku kręgu i odeszli. Robin przestał grać. Uwertura się skończyła.

Wszyscy mężczyźni wyszli z cienia i przechadzali się lub siadali koło przepierzeń. Robin majstrował coś przy bębnach, odpowiednio je nastrajając. Największy z nich to była półtorametrowa kłoda, wsparta z jednego końca na dwunożnej podstawie. Obok stały trzy mniejsze. Na jednym z nich grał poprzednio, drugi był zrobiony nie wiadomo z czego, a trzeci wyglądał jak zgnieciony pojemnik na śmiecie. U przegubu ręki Izmaela kołysała się warkotka. Melchizedech trzymał flet, w który dmucha się nosem.

Nagle Robin chwycił coś w rodzaju indiańskiej maczugi i trzy razy, przeciągle, uderzył w największy bęben, który trzykrotnie jęknął, a mężczyźni trzykrotnie ciężko westchnęli. Izmael powoli zakreślił poziome koło warkotka, która wydała głucho buczenie.

Robin przytrzymując udami trzeci z małych bębnów uderzał w niego monotonicznie nadgarstkami dłoni w rytmie, który Pibble pamiętał z pięćdziesięciu bez mała popularnych płyt. Od czasu do czasu Melchizedech wzbogacał tę muzykę zawodzeniem swego fletu. Wirująca coraz prędzej warkotka wydawała jakieś hipnotyzujące głucho buczenie. Mężczyźni zaczęli wznosić urywane, podobne do szczekania okrzyki. Miało się wrażenie, że wszystkie te odgłosy rozlegają się niezależnie od siebie.

Robin igrał trochę z rytmem, wprowadzając niepotrzebnie głucho odgłosy klapsów i uderzeń. Jego bęben miał w swojej głębi 195

brzękliwy rezonans, a on w jakiś sposób rozbudowywał go w nie-przerwany chrypliwy ton.

– Bębny muszą się rozgrzać, zanim przyjdą duchy.

Jozue podszedł do inspektora i usiadł koło niego. Jego brzuch sięgał niemal kolan i drżał lekko nieustannym dreszczem podniecenia. Zmienił się rytm muzyki: Robin grał teraz na trzech bębnach, wydobywając lewą ręką płaskie, martwe tony z dwu drewnianych bębnów, podczas gdy metalowy tętnił życiem pod uderzeniami jego prawej dłoni. Grał na nim coraz wolniej, pobudzając jego wewnętrzny rezonans dopiero wtedy, gdy już zamierał w cichym kwileniu.

Początkowo wypełniał przerwy urywanym grzechotem małych bębnów, potem dodał do tego uderzenie wierzchem dłoni w bęben-kłodę, którego głucho jęki splatały się z metalicznym szczękiem bębna-pojemnika na śmiecie. Pibble pomyślał, że Robin musi mieć chyba przymocowany do grzbietu dłoni rodzaj drewnianego kastetu, ale trudno mu to było dojrzeć poprzez kurz i dym.

Jakub z powagą wyszedł zza kulis i zaczął przechadzać się majestatycznie przed kręgiem, tak miarowym krokiem jak gołębie, które inspektor obserwował tego ranka. Jeden ze starych mężczyzn

wręczył mu butelkę, on ją przechylił i pił z niej.

Warkotka umilkła, tylko starzy wykrzykiwali chórem jakieś pojedyncze słowa do wtóru przynaglającym odgłosom bębna. Jakub, nie wypuszczając z rąk butelki, wciąż chodził wielkimi krokami.

Nagle zatoczył się w marszu, odrzucił do tyłu głowę i począł ogromnymi susami mknąć dokoła pokoju. Nedorzecznie wysokim głosem, urywając nagle słowa, mówił coś gwałtownie w języku swego plemienia. Przechylił ponownie butelkę, ale tym razem większa część 196

napoju wylała mu się na brodę i ramiona. Łykał nie zwracając na to uwagi.

– W porządku – odezwał się Jozue. – To Korapu. Jest pijakiem, brutalem i tchórzem, ale przychodzi przed nim.

– Przed Zielonym Wężem? – zapytał szeptem Pibble.

– Nie wymawiaj jego imienia! – syknął Jozue. – To sprowadza nieszczęście.

Odsunął się od inspektora jak od zarzonego cholera. Bicie w bębny było teraz bardzo głośne. Zdawało się, że cały pokój rezonuje jak metalowy bęben, deski i belki podchwytywały rytm uderzeń, grzechotań i jęków, wprawiając w drżenie inspektora. Robin siedział

na skraju kręgu światła, całe jego ciało lśniło od potu, gdy odgłosem swych bębnów starał się oddać rytm szaleńczych podrygów tchórzliwego boga. Korapu, który wykonywał ósemkę jak na lodzie, poderwał się nagle i popędził wprost na inspektora. Pibble zerwał się na nogi obronnym ruchem. Korapu wrzasnął gwałtownie jakąś klątwę i podsunął swoją butelkę detektywowi pod sam nos. Pibble chwycił ją i przytknął do ust. Boże! Czysty spirytus! Zakrztusił się, poleciało mu aż do nosa, zakrztusił się znowu. W uszach mu dzwoniło. Korapu zachichotał po błazeńsku i oddalił się chwiejnym krokiem. Pibble usiadł.

Korapu jeszcze kilka razy przerywał swe pląsy, aby dać się napić patrzącym. Żłopali z butelki, a kiedy była już pusta, dawali mu inną.

Kiedy ponownie zbliżył się do inspektora, Pibble zachował się z godnością: na pijany bełkot odpowiedział jedynym zdaniem łaciń-

skim, jakie sobie przypomniał – *bis dat qui cito dat* – i tym razem panując nad sobą całkowicie przełknął trunek. Starcy byli już znudzeni tym pomniejszym demonem i zaczęli między sobą szeptać.

197

Wtedy Robin powstrzymał go w pół kroku, uderzając trzykrotnie w bęben-klodę, co położyło kres rozpustnej symfonii dźwięków. Korapu uciekł. Czarne ciało, którym się posługiwał, skurczyło się i zapadło w sobie. Jakub klęczał na środku pokoju w pozie embrionalnej.

Widać było, jak silnie, niczym u embrionu, pulsuje w nim krew, gdy wyczerpany gorączkowo

chwycił oddech w tym zadymionym pokoju. Mężczyźni nie patrzyli na niego.

Robin wykonywał teraz powolne ruchy, wydobywając ciężki, głuchy rytm z bębna-kłody i jako kontrapunkt – miękkie postukiwa-nie z małego bębna. Brzmiała ponura przyziemna muzyka, o rytmie zbyt powolnym dla ludzi, płynąc nieprzerwanie, głuszac wszelką myśl. Mężczyźni stali, wyczekując. Izmael znów puścił w ruch swoją warkotkę, miarkując jej rozmach w ten sposób, żeby jej buczenie podkreślało jeszcze głuche stękanie bębna. Nikt teraz nie wznosił

okrzyków. Po długiej, wlokącej się w nieskończoność chwili, Robin wprowadził pewne urozmaicenie, podwójne trzepotliwe uderzenie, a potem jeszcze jedno. Bezładne ciało na środku pokoju już nie unosiło się w gwałtownym oddechu. Przebiegł je dreszcz. Powoli wypełniało je nowe, ciche, spokojne życie. Kazało człowiekowi, w którym zamieszkało, dźwignąć się w górę. Głowa pochylila się, błysnęły białka oczu, język wysunął się spomiędzy napiętych warg.

Spod belki dachu dobiegł cichy niby syk, niby szept.

Wszyscy mężczyźni wydali jeden okrzyk, na który odpowiedzia-

ło syczenie. Bębny huczały w wielorakim rytmie. Melchizedech wygłosił krótką mowę w języku Ku i znowu odpowiedziało mu syczenie. Był to po prostu syk, nie słyszało się sylab. Melchizedech przemówił ponownie, tonem człowieka, który broni jakiejś sprawy, 198

ale nim skończył mówić, przerwał mu ten syk. Mężczyźni zaczęli wspólnie śpiewać jakąś pieśń-litanie, której każda nowa linijka róż-

niła się trochę od poprzedniej. W środku jednego z tych zdań bóg-waż ich opuścił. Jakub skurczył się gwałtownie, pochylił naprzód w biodrach tak, że głową niemal uderzył w podłogę. Potem wstał, podrapał się w kark i żebra, podszedł do miejsca, gdzie stała butelka Korapu, łyknął sobie potężnie i usiadł obok Izmaela.

Następnie Daniel we własnej osobie odtńczył sprośny błazeński taniec. Nie wstąpił w niego żaden duch, a mężczyźni pokrzykiwali ochoczo, gdy skakał i przybierał różne pozy. Robin żartobliwie, od niechcienia, postukiwał w bębny. Wreszcie tancerz zmęczył się i usiadł, a wtedy mężczyźni wynieśli Robina z kręgu. Nacięcia na jego plecach były wciąż czerwone i wyglądały okropnie. Pibble zastanawiał się, czy mieli tyle rozsądku, żeby zastosować antyseptyki.

Eliasz uprzejmie przyczłapał ku niemu.

– A teraz napijemy się *kavy* i pójdziemy spać – oznajmił. – Czy pan chciałby napić się *kavy*?

– Nie, dziękuję. Muszę czuwać wieczorem. To było bardzo interesujące. Co to takiego było w tej butelce?

Eliasz zrobił do niego oko i wyjął klucz z torby, dyndającej mu na piersiach.

– A pan powinien nas kiedyś oprowadzić po Scotland Yardzie –

powiedział. – To byłoby również interesujące. Dobranoc.

– Dobranoc – odparł Pibble i chwiejąc się na nogach zszedł ze schodów. Zdawał sobie sprawę, że przeżywa coś w rodzaju szoku.

Doznawał uczucia, jakby był na wpół martwy – podobnie jak wtedy, kiedy jego pierwszy zwierzchnik, Richard Foyle, którego 199

uważał za swego bohatera, został skazany za przekupstwo. Więcej niż podobnie: teraz znowu zniknęła ta pogodniejsza i pobudzająca intelektualnie strona jego działalności zawodowej i pozostał tylko odrażający szkielet. Był przekonany, że obrzęd bicia w bębny to coś niegodziwego, tak ohydneho, jak wszelka degeneracja, jak na swój sposób tamte konszachty Richarda.

Z pokoju Ewy padało światło. Czyjś głos zapytał:

– To Jimmy? – więc wszedł do środka.

Paul leżał na podłodze czytając „Grafikę”, a Ewa i Ned Rickard siedzieli razem na kanapie, uroczyście zapatrzeni w misterną strukturykę ze sznurka, którą Ewa trzymała na palcach.

– Następny kawałek nie jest łatwy – ciągnęła Ewa profesorskim tonem – i plemiona należące do grupy Ku uważają go za *pons asino-rum* albo sprawdzian. Plemiona po drugiej stronie wielkiego pasma gór, a także na wybrzeżu i na większości wysepek, mają zupełnie odrębną historię kultury, w której skład wchodzi pewna forma „ko-ciej kołyski”, a w to można bawić się samemu. Doprawdy, stanowi to chyba najlepsze kryterium przynależności kulturalnej plemienia, ponieważ jest całkowicie niezależne od tradycji ustnej czy też kontaktów międzyplemiennych. Trzeba to pokazać. Człowiek z innej grupy plemiennej mógłby nauczyć się łatwiejszych faz, ale jeżeli nie nauczył się tego jako dziecko, nie wprawiał się podczas zabaw z innymi dziećmi w swojej wiosce, prawdopodobnie wszystko pokrę-

ci. Jak pan uważa, inspektorze, czy mógłby pan wziąć to na palce? Ja bym panu pokazała.

– Nie wiem, gdzie włożyć palce – odparł Ned. – Niech pan 200

i spróbuje mi wytłumaczyć. Mniejsza, jeżeli wszystko popłaczę, bo i tak powinienem porozmawiać z Jimmym. Mam nadzieję, że nie uskarża się pani na niego.

– Byłby z niego rzetelny uczony – stwierdziła poważnie Ewa.

Paul podniósł głowę znad magazynu, roześmiał się basem, po-machał ręką inspektorowi i zabrał się znowu do studiowania grupy plakatów André François.

– A więc, panie inspektorze – zwróciła się do niego Ewa – ma pan dwa problemy. Po pierwsze, Jak pan widzi, początkowa asymetria występująca przy skrzyżowaniu sznurków w każdej formie „ko-ciej kołyski” doszła już do takiego punktu, że musimy się albo cofnąć, albo splątać wszystko w węzeł, albo też stworzyć przeciwstawną symetrię. Lewa ręka ma łatwe zadanie. Trzeba ująć w palce wskazujący i kciuk górne skrzyżowanie i zahaczyć małym palcem najniższy sznurek od środka.

Potem trzeba będzie obrócić lewą rękę do środka. Teraz proszę ująć niższe skrzyżowanie małym palcem i kciukiem prawej ręki. O tak, dobrze. Proszę trochę wysunąć przegub ręki. Trzeba będzie skierować tę rękę do środka i do góry. Proszę zabrać środkowe palce, bo przeszkadzają, cała rzecz w tym, żeby pan włożył kciuk i palec wskazujący w dwie pętle, utworzone wskutek obluźnienia się górnego skrzyżowania, i to wtedy gdy miną już pierwszy równoległy sznurek, ale nie dojdą jeszcze do drugiego.

– Teraz wiem, co pani miała na myśli mówiąc o ustnym przekazie – powiedział Ned. – Jeden, dwa, trzy, już.

Cztery ręce poderwały się razem tanecznym ruchem. Jedna sfu-szerowała. Ned zaklął, a potem roześmiał się, patrząc na bezładną 201

plątaninę sznurków na swoich palcach.

– Nie tak źle – pocieszała go Ewa. – Jedna ręka dobrze złapała.

Gdyby złapały obie, byłabym panu winna tuczonego prosiaka. Co działo się na górze, panie Pibble? Bardzo bym była wdzięczna, gdyby pozwolił mi pan zrobić trochę notatek, gdy już pan skończy z kryminalną stroną tej afery.

– O Boże, Jim – wykrzyknął Ned. – Cóżżeś tam robił? Wyglądasz, jakbyś tańczył z upiorem.

– Bo tak było – odparł Pibble. – Za to ty, Ned, wyglądasz lepiej. Czy coś się wyjaśniło?

– Trochę. Wyjdź na dwór, to ci powiem. To stało się przez ciebie. Pani wybaczy, doktor Ku.

– Dobranoc – pożegnał ją Pibble. – Wrócę koło dziewiątej rano.

Może wtedy już będę coś wiedział. W każdym razie jest kilka spraw, o których chciałbym z panią pomówić.

– Dobranoc – powiedzieli razem Ewa i Paul.

Na ulicy było zupełnie ciemno. Paliła się tylko w oddali jedna lampa. Ned podszedł do długiego wozu, który lśnił w tej bladej po-

świacie, i gestem właściciela położył na nim rękę.

– Jak ci się podoba moja nowa autogablota? – zapytał. – W

komendzie kazano mi go wziąć. Jest kuloodporny.

– Rety, Ned, to już do tego doszło?

Była to limuzyna Mercedes z podrasowanym silnikiem – temat żartów i mit Scotland Yardu, szaleństwo dawno już zemerytowanego komisarza, który wyobraził sobie, że Londyn lada chwila stanie się drugim Chicago. Potrafiła wyciągnąć sto czterdzieści mil, jej karoseria była znacznie solidniejsza niż zazwyczaj, wewnątrz znajdowało 202

się dużo kieszeni na rewolwery, pojemniki z gazem łzawiącym, granaty dymne i tym podobne, a na dachu był szperacz i nie brakło też, jak zwykle w takich samochodach, głośnika. Pibble pochylił się nad dachem szukając mechanizmu odchylającego.

– Jest w środku – wyjaśnił Ned. – Szperacz można włączać i wyłączać, obracać i przechylać jedną ręką. Słuchaj, Jim, to mieszkanie stanie się punktem zwrotnym w całej sprawie. Wiedzieliśmy, że ono jest, ale nie mieliśmy pojęcia, że jest takie ważne. Pięciu chłopów głowiło się nad tym całe popołudnie, ale mieliśmy szczęście. Zapisane jest na panięskie nazwisko pani Furlough – to miła dziewczyna, z Westhighlands, z Sonning, ona myśli, że mężulek pracuje w przemyśle rozrywkowym... Burnaby'emu poszczęściło się ze sprzedawcą warzyw z naprzeciwka – z tym przy Covent Garden, wiesz.

Pamiętał nazwiska murarzy, którzy ubiegłego lata coś tam przebudowywali w tym mieszkaniu. Sam chciał sobie zrobić drugą łazienkę i poszukiwał murarzy. Wydaje mi się, że w końcu zawsze coś wylezie, jeżeli się tylko dostatecznie długo poczeka. Wiesz, co oni umie-

ścili tam, gdzie każdy normalny człowiek zawiesiłby szafkę? Ol-brzymią ogniotrwałą szafę pancerną. Wybieramy się tam dziś wieczór i niech mnie wyrzucą z pracy, jeżeli nie ma tam nic więcej prócz programów teatralnych. Furlough ma przyjaciół wśród waż-

nich osobistości.

– Powodzenia – powiedział Pibble. – A czy zdołasz nie mieszkać w to panny Hermitage?

– Myślę, że tak, Jim. Dobra sztuka, co?

– A co z Caine'em?

– Nasi prawnicy nie sądzą, żeby on w jakikolwiek sposób 203

złamał prawo – powiedział Ned bezbarwnym głosem. – Poza tym nie chcę go w to mieszać, bo mi zarzucą, że to moje osobiste uprzedzenie. Zresztą Sukie jest z nim szczęśliwa. Jak twoja sprawa?

– Nic nowego. – Zdawało się, że wstrząs, jakiego doznał oglą-

dając rytuał bicia w bębny, i odrażający trunek pozbawiły go woli.

Spojrzał na krenelaże Osiedla Flagga. Domy stały czarne w odbłasku niebieskawo-różowego neonu – a to jest wszystko, co Londyn wie o nocy. Prawdopodobnie gdzieś tam w górze jak Robin, włączy się po dachu, z powrotem stając się uczniem. Pibble wbił wzrok w czarne jak smoła cienie znajdujące się tam, gdzie nie docierał blask jedynej lampy ulicznej.

Nie ma mowy, żeby można było dojrzeć kogoś, kto by się tam wspinał, nawet gdyby się patrzyło. A jednak... W każdym razie on coś widzi.

Cicho otworzył drzwi samochodu, wśliznął się do środka i poło-

żył na wznak na przednim siedzeniu tak, że mógł patrzeć przez przeciwległe okno. Zdawało się, że w cieniu już nic się nie porusza, ale on wiedział, gdzie to coś czy ktoś powinno się w tej chwili znajdować, i sięgnął po włącznik szperacza. Z pozycji, w której leżał, było bardzo niewygodnie przekręcić włącznik, ale jakoś sobie poradził.

Źle wycelował! Krąg światła wydobył z martwoty mur, rury i pa-rapety okien leżące zbyt nisko i za bardzo na lewo. Pibble nakiero-wał reflektor w górę i uchwycił postać wspinającą się półtora metra poniżej krenelaży.

Do licha, ależ szybko się porusza! Jak umykający pająk! Jest za mały! Co on robi! Spadnie!

Trafiony strumieniem światła, jak buntownik strumieniem wody z policyjnego węża, nieznajomy zawahał się w swej zwinnej 204

wspinaczce. Pobladła, pełna napięcia twarz zajaśniała na chwilę nad jego ramieniem, a wtedy prawa ręka, nie kierowana już oślepionymi światłem oczyma, chybiła o cal rury, po którą sięgała, i to w momencie, gdy lewa oderwała się już od występu w murze. Ciało, z twarzą wciąż zwróconą ku fatalnemu światłu reflektora, odchyliło się z wolna do tyłu stopy przez moment trzymały się wąskiego na cal wygięcia rury ściekowej, potem ześliznęły się i znikły z kręgu światła. Człowiek runął cztery piętra w dół, nie wydając żadnego krzyku.

Rozległ się tylko głuchy łomot, jak gdyby spadł worek cementu i popękał w rogach.

Pibble wyśliznął się z samochodu i przebiegł przez ulicę. Stojący już tam Ned wyciągnął szyję ponad sztachetami. Inspektor spojrział

w tym kierunku, gdzie leżało ciało z kręgosłupem połamanym na sztachetach ogrodzenia dzielącego tereny numerów ósmego i dziewiątego. W kuchni kobiet paliło się światło i widać było od razu, że to już tylko zwłoki leżące w ciemnej kałuży krwi. Widać było włosy koloru mysiego. Widać było, kto to.

– O Boże! – zawołał Pibble – ona była mańkutem!

Przesunął rękę po sztachetach ku Nedowi i natknął się na coś, co tam zawisło: okulary ze strzaskanymi grubymi szklami. Instynktow-nie, jak gdyby chcąc pocieszyć Neda, wyciągnął ku niemu oprawkę.

– Doprawdy – zaczął – ja...

Nie widział wynurzającej się z mroku pięści Neda, tylko poczuł

dojmujący ból w nosie i całej twarzy, bezradnie zatoczył się do tyłu i...

Rozdział X

Szpital Hammersmith

150 Du Cane Road, W. 12

Oddział Wypadków

Nazwisko

i imię pacjenta

Pibble James

Wiek: 53

Adres

New Scotland Yard

Zawód: policjant

27.V

Przywieziony karetką policyjną.

t. 98,3

1967

Ranny w rozruchach ulicznych,

p. 60

godz.

niezdolny opowiedzieć o tym.

ciśnienie

22

Według kierowcy karetki

125/90

policyjnej został uderzony w

oddech 20

nos i upadł na plecy odnosząc

obrażenia

Opis obrażeń: 1) krwawiący nos, widocznie złamany 2) półtoracalowe rozcięcie u podstawy czaszki za prawym uchem

3) otarcie skóry na prawym łokciu

Centralny system nerwowy: senny, majaczy, brak kontaktu, reaguje na ból, źrenice reagują na światło. Dno oka bez odchyłeń od normy.

Nerwy czaszkowe bez widocznych zmian. Trudno badać z powodu braku współpracy pacjenta

Kończyny i napięcie mięśniowe

P | L

górne

++

dolne

++,

206

Układ motoryczny: siła i koordynacja mięśniowa nie badana z powodu braku kontaktu.

Odruchy ściągające

P | L

triceps

++

biceps

++

żuchwowy

++

kolanowy

++

Achillesa

++

podeszwowy — obustronnie prawidłowy

brzuszo-skórne — obecne prawidłowe

Wrażliwość: na ból

na dotyk

na temperaturę

nie badana

na wstrząsanie

Badanie ogólne:

Tętno: 60 dobrze napięte

Ciśnienie krwi: 125/90

System oddechowy: tchawica położona centralnie, rozszerzalność dobra

Odgłos opukowy — jawny

Szmer oddechowy i pęcherzykowy — bez dźwięków dodatkowych Układ krążenia: tony serca dźwięczne, bez szmerów dodatkowych.

Jama brzuszna: powłoki miękkie, nie stwierdza się bolesności ani oporów.

Wątroba, nerki, śledziona — niewyczuwalne. Nie ma zalegania.

Ruchy perystaltyczne słyszalne prawidłowo.

Wstrząs ogólny: wstrząs mózgu (?)

Wykonano szycie ran czaszki, następnie skierowano na zdjęcie czaszki.

207

Przyjęty na oddział na obserwację. Skon i taktować z chirurgiem.

Rtg czaszki: pęknięcie podstawy czaszki nie sięgające sklepienia.

Kłopot z delirium jest ten... kłopot z delirium jest ten... j bo kłopot z delirium polega na tym że jeżeli nie weźmiesz się mocno w garść człowieku i nie będziesz się mocno trzymał w garści i nie będziesz się starał mocno trzymać w garści i... jeżeli nie... i... jeżeli...

nie... to po prostu lecisz w dół coraz niżej w dół i spadasz na szka-radny zapaskudzony podjazd biegnący wkoło i wkoło i wkoło... i głowa przystojnego mężczyzny z sinymi workami pod oczami kręci się i kręci w garnku ludożercy i nigdy nie będzie ugotowana, kiedy się do ciebie tak śmieje ponieważ ożenił się z kobietą leworęczną... a ona struga swój lewy kciuk powoli, powoli jak gdyby było bardzo ważne, żeby wszystkie paseczki były dokładnie tej samej szerokości ponieważ ona nie chce żebyś wiedział że jeżeliby strugała swój prawy kciuk lewą ręką, mogłaby to zrobić rach ciach ciach i wszystko byłoby skończone w jednej chwili i mógłbyś go... płataniną sznurka nakładaną i zdejmowaną... bo tradycje kulturalne po drugiej stronie góry miłości... i nie zwracasz uwagi na zapach mięsa ponieważ mia-

leś go w nozdrzach całą noc i nie możesz oczekiwać że poczujesz go rano, tak samo jak nie możesz oczekiwać po starym człowieku, który spędził wieczór ze znajomą że poczuje jej zapach, kiedy będzie czyhać, żeby go zabić kawałkiem drewna albo kamieniem znalezionym na ścieżce i nie możesz oczekiwać... i nie możesz... weź się w garść, człowieku, i trzymaj się w garści i staraj się trzymać w

garści...

trzymaj się... że skryty, ale również bardzo uczciwy stary człowiek 208

w piżamie nie zajdzie człapiąc do swej znajomej, żeby jej powiedzieć, że już nie będzie dłużej ponosić tych ofiar... dwadzieścia lat niewielkich wydatków po pierwszej wpłacie i w końcu okazało się że nie warto było... więc ona wiedziała... wiedziała... i my wiemy że ona wiedziała ponieważ tak pokręciła z tymi bębniami o których on mówił... oczywiście że powiedział bo był uczciwym człowiekiem i powiedział dlaczego a także pokazał jej ten pens... ale ona pokręciła z tymi bębniami... i bębny ją zgubiły kiedy zabił ją... boski wąż zmiażdżył na krwawą masę w jaką Ned chciał obrócić Furlougha... a może ona wiedziała także i o nim... więcej niż Bob przypuszczał

powiedziała panna Hermitage a nigdy już nie zobaczysz jej tak nie-zdarnie się poruszającej... ona już teraz wygląda inaczej i mówi klientom swoje prawdziwe nazwisko nim jeszcze zdejmie pończochy a na przyszłe Boże Narodzenie odbierze sobie życie okręcając wokół

szyi szarfę college'u ponieważ była fanatykiem prawdy... ale Caine powiedział że pani Caine potrafiłaby skłamać pójść na posterunek i spytać o rzekomo zgubione klucze by dowiedzieć się o męża który nie wrócił do domu... więc nie wiedziała wtedy o Furloughu... ale może starała się to wykryć a więc wiedziała podobnie jak wiedziała co ukradł Aron ale nie chciała tego powiedzieć tak jak wiedziała, że Caine to lekkoduch i że to miało być podstawą szczęśliwego małżeń-

stwa wierz lub nie wierz ale te fundamenty były na lotnym piasku i kiedy Bob zostałby wyrzucony oczywiście by ją opuścił powiedziała panna Hermitage ale ona była mądrą księżniczką i chciała pozostać ze swoim odrażającym gadem... a jeżeli chcę tego to chcę i już... i jeżeli chcę żeby ktoś nie żył to chcę żeby nie żył i kiedy idzie do domu ja idę też i biorę błyszczący przycisk z biurka męża ale 209

przypominam sobie o sowie więc kładę go z powrotem ale nie na to miejsce i idę i rozwalam głowę mojemu dawnemu znajomemu a wszystko to dla pary podbitych oczu kręcących się w koło w garnku... niektóre kawałki ciała Boba są soczyste ale inne części są trują-

ce... a oczy śmiały się bo on był katalizatorem... zwiódł was i uwie-rzyliście że może zrobić coś sam kiedy ma kogoś kto mógłby zrobić to za niego a nasi prawnicy uważają że nie złamał prawa a prawo jest ponad naszymi zwyczajami ale mogą być rzeczy których nie rozumiesz tak samo jak nie możesz zobaczyć ryby w brzuchu czapli tak jak nie możesz zrozumieć dlaczego córka przylepnego admirała...

przylepnego admirała... córka przylepna... córka admirała... tak samo nie możesz zrozumieć dlaczego... dlaczego... dlaczego... mam! ci co szydzą z rajy uderzają w konkury w Cora Lynn więc uprzejmością byłoby zabranie ciała... uprzejmością zabranie nudnego starego pury-tanina z tego stroju w którym drażnił... przecież Ojciec Nasz był

przeciwny łamaniu kogokolwiek nie tak jak niektórzy których znam co to chcą wytrzebić dżunglę i wchodzi do dżungli i wychodzą z niej ilekroć jest tam szkarlatyna ponieważ są pielęgniarkami i... Ned powiedział że miała wtedy przerwę między szpitalami a w jej głosie brzmiał zimny rozsądek... nie był to rozsądek kobiety pracującej z popularnego, filmu ale pielęgniarki która każe żeby Gregory

Peck pozostał w łóżku więc... one wiedzą dokładnie gdzie uderzyć i gdzie znaleźć luźno stojącą sowę ponieważ one wchodzą i wychodzą z dżungli ilekroć jest tam szkarlatyna i w dżungli właśnie żyją swoim okrutnym tygrysim życiem a są zbyt głupi żeby zrozumieć że to jest co innego a ich opiekun zapamięta to sobie na przyszłość ponieważ właśnie taki jest i jest ważniejszy niż ta nasza nie interesująca 210

nikogo tragedia... słabe punkty zawsze w końcu wyjdą... pan łowi ryby... ale ma też swoje momenty... kiedy pan widzi jakąś zmianę na powierzchni wody w jej kolorze i pan wie że jest tam gruba ryba i pytanie tylko czy zdoła ją pan wyciągnąć... ale komu to choć trochę zaszkodzi jeżeli nigdy nie wykryjemy co się tutaj działo... więc nie przysłano by tutaj żadnych ważniaków do tej drobnej dziwacznej sprawy gdzie jest zbyt wiele do stracenia a nic do zyskania więc przysłano Pibble'a bo to jest twoja specjalność uczciwie mówię przysłano uczciwego Pibble'a uczciwego Jago Pibble'a ażeby wkłęcił się tam jak larwa w to mrowisko o szklanych ścianach ze swoją dociekliwością uczzonego i... o mój panie strzeż się zazdrości bo ona zmieni cię w psa gończego węszącego za białym Otellem z sinymi workami pod oczyma a biada czarnemu który już dotarł do kresu podró-

ży i to ty staniesz się katalizatorem podczas gdy śmiejąca się głowa kręci się dookoła w tym co my nazywamy potrawką... ty który powiesz jej że Robin mówi że mógłby pokazać mordercę gdyby zechciał i ty będziesz leżeć na wznak w samochodzie i po omacku poszukasz wyłącznika i nastawisz reflektor na ślepo ale za nisko i za bardzo na lewo oślepiony oczywistością... oślepiona światłem reflektora... zaślepiony zbyt zaślepiony żeby spostrzec... ach nie... zauwa-

żyłeś coś nieporadnego w jej sposobie szycia ale choć to ty opatrzy-

łeś plastrem jej wygięty kciuk tego samego rana... jej wygięty kciuk z paznokciem obgryzionym do żywego... jej lewy kciuk... idealna kobieta budzi sensację... wyginając lewy kciuk bo usiłowała otworzyć puszkę prawą ręką nie lewą która z łatwością dałaby sobie radę ale jej prawą ręką a nie lewą... prawą... lewą... prawą... weź się w garść człowieku jeżeli nie powiedziałam już tego wcześniej weź

211

się... on powiedział więc ona wzięła się w garść i przytrzymała igłę kciukiem z plastrem i ty widziałeś że jej lewy kciuk przytrzymuje igłę... przytrzymuje igłę... ale utknęła... więc obracał się jak śmiejąca się głowa w garnku mówiąc trzymaj igłę... trzymaj igłę...

– Mike, czy nie będziesz przechodził tędy niedługo? Jestem na Prince Albert.

– Dla ciebie wszystko, Mary. O co chodzi?

– Nic ważnego, ale mam tu pacjenta ze wstrząsem, który jest za bardzo niespokojny. Nie daje innym spać.

– Sam chętnie nie dałbym ci spać którejs z najbliższych nocy, kochanie.

– Nie cierpię typowych Irlandczyków.

– Jutro idę na operację plastyczną zlikwidować sobie piegi.

Tymczasem wpadnę i dam zastrzyk twojemu dowcipnisiowi.

Zapomnienia się nie kupi ale mogę ci je dać igłą... igłą... igłą...

Pibble zbudził się późno jak na szpital. Nos miał jak worek z piaskiem. Głowa pękała mu z bólu. Popijał lekarstwo, kiedy wtoczył się Graham w tak opiętym garniturze, jakby mu nagle przybyło kilka kilogramów. W ręku miał paczkę.

– Jak się masz, Sandy – powitał go Pibble. Miał obie dziurki od nosa zalepione krwią, więc zabrzmiało to gardłowo.

– Dzień dobry, Jim. Przyniosłem ci mandarynki. Winogrona są od zastępcy komisarza wzwyż...

212

– Dziękuję ci, Sandy. Obawiam się, że narobiłem cholernego kłopotu.

– Czy chcesz, żebym ja dalej wojował, czy mam prosić o kogoś innego ze Scotland Yardu?

– Nie ma znaczenia. Zabiła go pani Caine, ale nie da się tego dowieść. Jedyne, co mógłbyś zrobić, żeby ulżyć mojemu sumieniu, to posłać doktora, żeby obejrzał plecy Robina – to jeden z chłopaków. Ale najpierw porozmawiaj z panią doktor Ku.

– Masz rację, Jimmy. A co było z tobą?

– Ned Rickard ci nie mówił?

– Rickard nie żyje.

– Nie żyje?

– Tak. Zostawił cię tutaj i pojechał na obławę do jednego domu w Soho. Tak mi przynajmniej mówiono. Jakies bandziory paliły tam jedne papiery, a inne wywoziły. Kilku z nich miało strzelby. Rickard dostał cały ładunek śrutu w brzuch. Posłali tam teraz pięciuset ludzi, ale jeszcze nie wdarli się do środka. Burnaby dzwonił, że Caine był

w to jakoś zamieszany. Myślał, że może Rickard powiedział ci na ten temat coś ważnego.

– Nie, nie mówił. Chryste, Sandy!

– Pielęgniarka powiedziała, żeby cię nie denerwować, bo chcą cię wypisać po południu, więc nie przyniosłem gazet. O co się uderzyłeś?

– O Neda. Jak pani Caine spadła ze ściany domu, właśnie wy-ciągał rękę, żeby coś pokazać, kiedy ja mu się podwinąłem, i oberwałem. A potem padając potłukłem sobie chyba o coś głowę. Czy moja

żona wie?

213

– Dzwonili do niej ze szpitala wieczorem. A co pani Caine ro-biła na tej ścianie?

– Wspinała się, żeby zamordować Robina. Powiedziałem jej, że on mówił, że wie, kto zabił starego, i powiedziałem jej też, że będzie na dachu. Ja ją tam posłałem, Mac, a potem ją strąciłem tym cholernym reflektorem!

– Spokojnie, Jimmy, spokojnie. Z niej był też dobry numer.

– Przypuszczam.

– Dlaczego to zrobiła? Była stuknięta?

– Nie. Jej obsesją był Caine. Kochała go, Sandy, pewno bardziej niż którykolwiek z nas kochał kogokolwiek, mimo że był łaj-dakiem, mimo wszystko. Siedziała w domu i myśląc o nim obgryzała paznokcie do żywego ciała. Chyba wiedziała o Furloughu...

– Burnaby coś o tym wspominał – przerwał mu Graham. – Powiedział, że przed paru miesiącami tak niepokoił się o Rickarda, że posłał pani Caine anonim, pisząc wszystko o jej mężu. Czy to ma coś do rzeczy?

– Tak. Ale nie rozpowiadaj tego, Sandy. Aha. Ona wmówiła w siebie, że Aron Ku mógłby nakłonić panią doktor Ku, żeby wyrzuci-

ła Caine'a z mieszkania.

– Nie wydaje mi się, żeby to mógł być motyw morderstwa.

– Panna Hermitage powiedziała mi, że gdyby został wyrzucony z mieszkania, opuściłby żonę. Najwidoczniej już kiedyś coś takiego zrobił. A pani Caine mówiła... ach, zapomniałem, co ona takiego mówiła... Pamiętałem w nocy... O Boże!

– Spokojnie, Jimmy, spokojnie. Najważniejsze, czy jesteś pewien, że ona zabiła tamtego?

214

– Oczywiście. A po co by się wspinała po ścianie w ciemno-

ściach, jeżeli nie po to, żeby zabić Robina? A po co by udawała przy policjancie, że jest praworęczna. Do diabła, ależ ja ciężko myślałem!

Jak sobie radzisz z tym zbrojeńcem, Sandy?

– Jeszcze nic nie zrobiłem. Powinienem do niego wracać. Czy mógłbym coś dla ciebie zrobić?

– Bądź dobrym kolegą i dowiedz się, czy pomyślano o matce Neda. To święta staruszka. Niewidoma.

– Naturalnie. Masz tu list od Crewe'a. Do widzenia.

Napisana ręcznie notatka głosiła: „To od mojej dziewczyny ze służby ruchu. Niemal zaprzyjaźniłem się z facetem z Uniwersytetu Londyńskiego. Panuje tu przekonanie, że pani doktor Ku jest niezrównana, jeżeli chodzi o bardzo specjalistyczną i wąską dziedzinę, i że jej poglądy – w odróżnieniu od jej wiedzy – są bardzo staroświeckie. Tutaj bałagan. Szybkiego powrotu do zdrowia!” Do tego dołączona była napisana na maszynie informacja.

Efraim Flagg, 18?? – 1893, urodzony w Newcastle. Nic nie wiadomo o jego młodości. Przybył do Londynu w połowie lat sześćdziesiątych z niewielkim kapitałem i założył własne przedsiębiorstwo budowlane. Było to w czasie, kiedy Londyn rozbudowywał się w sposób nie kontrolowany w związku z powstawaniem kolei podmiejskich. Wkrótce Flagg zyskał sobie złą sławę partacza budowlanego, choć w ogóle był to okres tandetnego budownictwa. Spekulacje placami umożliwiały mu hojne przekupywanie urzędników. Nigdy nie miał żadnej sprawy w sądzie, ale raz ledwo zdołał uniknąć dochodzenia 215

Komisji Parlamentarnej, co go kosztowało majątek w łapówkach. Ostatnio minister uchylił wniosek o objęcie Osiedla Flagga ustawą o ochronie budynków.